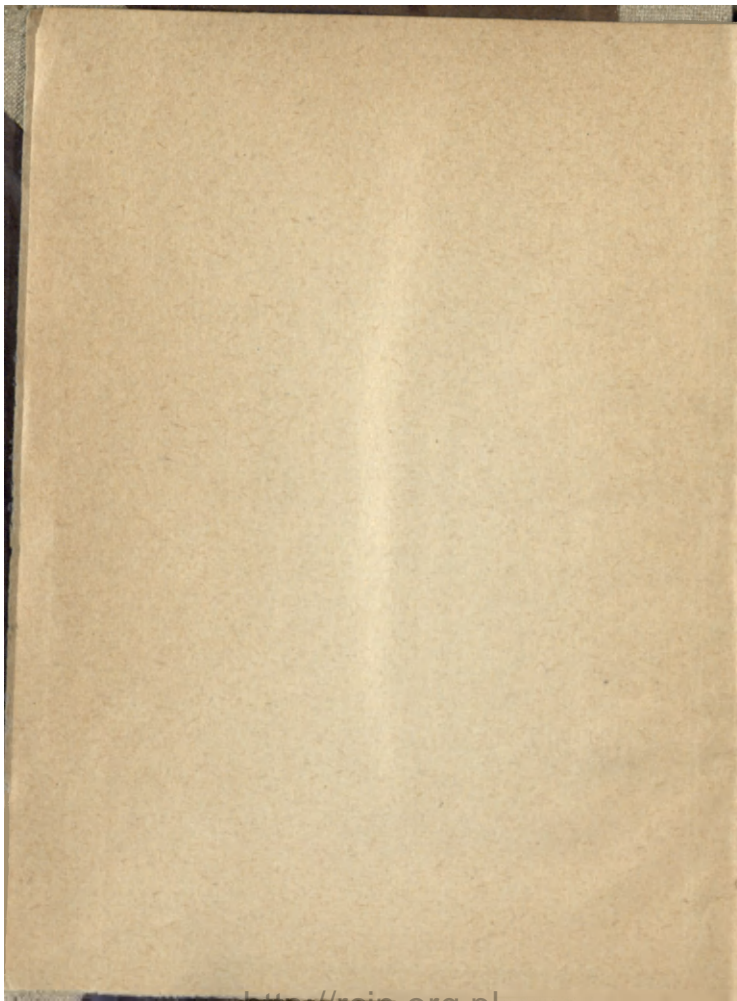




<http://rcin.org.pl>



NIEZABUDKA

NOWOROČNIK.

WYDAWCA

W O W O R O Z M I E

NIEZABUDKA

NOWOROCZNIK,

WYDANY

PRZEZ

Jana Barszczewskiego.

ROK CZWARTY.

w PETERSBURGU.

w DRUKARNI KAROLA KRAJA.

1843.



ПЕЧАТАТЬ ПОЗВОЛЯЕТСЯ,

съ тѣмъ, чтобы по напечатаніи представлено было въ Цен-
сурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ.

С. Петербургъ, 22 Декабря 1842 г.

П. Гаевскій.



P. I. 645

~~*P. I. 645*~~

.... Znasz kwiatek mały w niebieskich sukienkach.
Który rośnie ukryty, samotnie nad wodą,
Co nie raz może uwiądnąć zerwany w twych rękach.

.
.
Ten kwiatek mały, skromny, jest to kwiat pamięci.

J. I. KRASZEWSKI.

. Biada życiu, gdy ze snu nie budzi
Ani żądza, ni praca; gdy w kim serce bije
Dla tego że krew płynie; kto bez jutra żyje,
Wlecze się bez nadziei, niknie bez pamiętek;
Od starej to świątyni oderwany szczątek;
Do gmachu nie przystaje, na ziemi zawadza....

JÓZEF KORZENIOWSKI.

... Książek mały w niemieckich szkołach
... i wiele innych...
... w tym celu...
... w tym celu...

... Książek mały...
... w tym celu...

J. I. Borkowski

... Książek mały...
... w tym celu...
... w tym celu...
... w tym celu...
... w tym celu...

J. I. Borkowski

SPIS RZECZY

podług nazwisk autorów.

P O E Z J E.

	str.
BARSZCZEWSKIEGO JANA:	
Północna zorza	1
Sonety	12
Dla Józefy Szepielewicz	85
Portret, Ballada	110
Jezioro zarosłe , Ballada	123
Wiosna w Stolicy	139
Rybak, Ballada	152
Bratek, dla	165
Nina, fantazja	206
Zemsta, Ballada	221

	str.
BEZIMIENNYCH:	
Uroku kraj	162
Obraz z natury do E. J.	185
Wiersz na szczęście dla H. J.	197
Sześć Elegii na odjazd do Petersbur- ga Karoliny z L. S.	251
DAWIDA WINCENTEGO:	
Wyjątek z powieści „Oleszko”	113
Do A. A.	132
Imatra	157
DE PERTHEES LUDWIKA:	
Kapłan	8
GOLKA ANTONIEO:	
Bałabuszki	209
Do pod imieniem przyjaźni	242
HOLUZINSKIEGO TEODORA:	
Do W. R. po stracie córki	240
M... STANISŁAWA AUGUSTA:	
Coś podobnego być mogło	267
PANTOFLA:	
Magda Karczmarka	89

	str
Natura	141
POLONSKIEGO FILIPA:	
List do Ks. A. S. Krasieńskiego	117
REUTTA GOZDAWY WINCENTEGO:	
Piosnka do przyjaciół przy winie	135
Zofja Chrzanowska (ustęp historyczny)	174
Ośmiowersz, Improwizacja	239
RUDZINSKIEGO IG.	
Lampa	195
SIEDROTSKIEGO KAROLA EMERYKA:	
Fantazja do	17
Wyjątki z fantazii opisowej „Nowy Rok 1840 r.”	94
Cyprys, fantazja	168
Do	182
Do L. R. S. P. O.	199
Wyjątki z fantazii historycznej: „Zbu- rzenie Korostenu”	225
SWIATKOWSKIEJ IZABELLI:	
Rozstanie	83
Przecucie	137

	str.
SZPIELEWICZA GAUDENTEGO: . . .	
Wyjątki z powieści „Psycha” . . .	187
Rubon	244
SZTYRMER ELEONORY:	
Żal dziewczyny	3
Bartłomiej w chmurach	180
TURCEWICZA PIOTRA:	
Widzenie Piekła	205
Mizantrop	265

P R O Z A:

GOLKA ANTONIEGO:	
O szczęściu człowieka	259
REUTTA GOZDAWY WINCENTEGO:	
Dwaj Bracia Aniołowie	144
SZTYRMER ELEONORY:	
Trupia główka, Powiastka	22
TURCEWICZA PIOTRA:	
Rozbiór Świetnego. Księżyca	214

RYCINY RUDOLFA ŻUKOWSKIEGO:

str.

Bard Północny	1
Trupia główka	22
Ostra brama w Wilnie	83
Dwóch Braci Aniołów	144
Białoruskie tańce	125
Widok spadku rzeki Uszy w ogrodzie Iskorostyńskim	225



SPIS TREŚCI

1 Dzień pierwszy

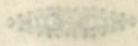
22 Dzień drugi

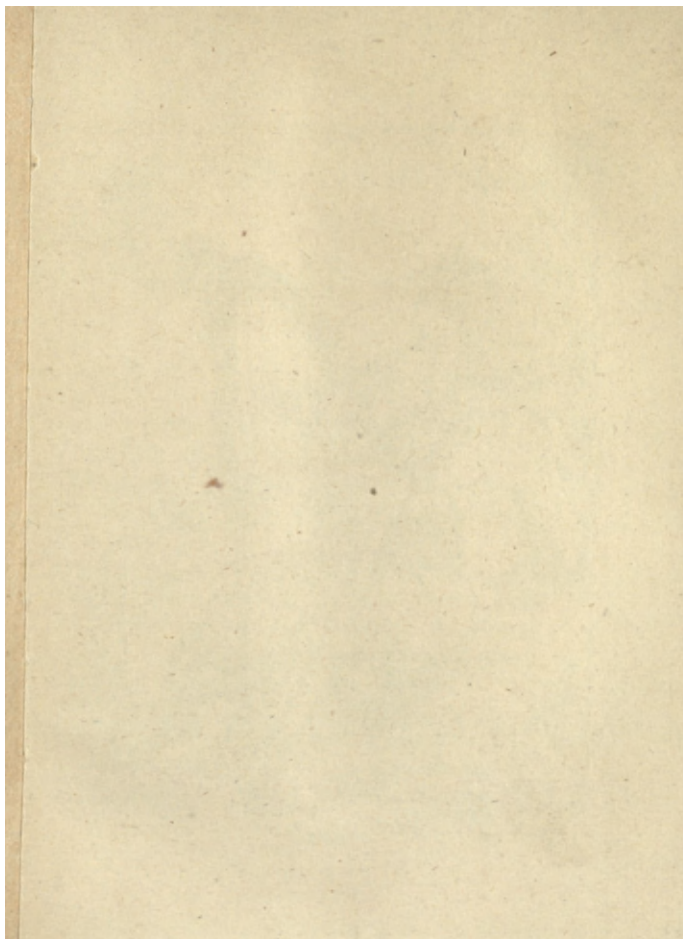
34 Dzień trzeci

101 Dzień czwarty

122 Dzień piąty

135 Dzień szósty





<http://rcin.org.pl>



POŁNOCNA ZORZA.

Światło dziwne zapala niebieskie sklepienie.
Płomienieją obłoki znikły nocne cienie
I górną przestrzeń blask ten jaśniejszy od słońca,
Ognistą rzeką przebiegł od końca do końca.

Zdaleka świt północnej zorzy błysnął w cieniu,
Ta się pali na niebie, tam gdzie na jeleniu,
W bystrym biegu Lapończyk śnieżne mija pola,
I gdzie w lasach Sybirskich polują sobola.

Lecz oto nowy widok, z chmur ognistych fal,
Rycerze jak Tytany w rospalonej stali
Powstają, wnet olbrzymim zbliżają się krokiem,
I znowu dzielą szyki swe krwawym obłokiem.

Bard siwy spójrział w niebo, tarcze i pancerze
Widzi swych bohaterów, arfę do rąk bierze
I grzmiącym głosem dawne opiewa zwycięstwa,
Ich czyny pełne cnoty, odwagi i męstwa.

Śpiew jego smutny drżący, lecz tyle ma siły,
Że zda się chce ich prochy wywołać z mogiły,
Arfa jękiem chce potrząść przyrodzenie całe,
Lecąc burzą wygrzebać kości pobielale.

Włos śnieżny Barda, ogniem pałające lice
Wiatr obwiał, jeszcze jege ogniste zrzenice
Z północy blask rzucały jak dwie jasne gwiazdy
Nad rodziną szukając bohaterów jazdy —
Mgła wszędzie — on zapłakał.

JAN BARSZCZEWSKI.

ZAŁ DZIEWCZYNY.

W zimny grób go
Położyli,
Ziemią pierś mu
Przytłoczyli,
A nad głową
Dla pamięci
Postawili
Krzyż drewniany
Prosty krzyż!

Tam na niebie
Lazurowem

Świeci słońko
Jasno włosy,
I promieniem
Dobroczynnym,
Brylantowym
Purpurowym,
Światło leje,
Ciepło sieje,
Na świat boży;
A on martwy
Leży w grobie
W ciemnym, chłodnym
Ciasnym dole
 Biedny on!
Szumie wietrzyk
W młodym gaju
Igra w listkach,
Drzewek kwiatów;
Nad zwojami
Cudnej róży
Złoty motyl
Się kołysze;
Z góry — z nieba
W falach światła
 Pływający
 Skowroneczek.

Piosnkę dzwoni,
I przyroda
Tchnie roskoszą
Jako młoda
Narieczona
Przy kochanku,
Przed ołtarzem.

Czemuż on —

Tylko on!

W śród wesela
Tego święta
Leży martwy
Cichy smętny
Jak sierota
Której został
Tylko Bóg
Jeden Bóg.

Wstań mój luby!
Wstań mój miły!
Do kochanki
Wyjdź z mogiły!
Ja cię przyjmę
W swe objęcia,
Ja cię pierśią
Swą ogrzeję,

Łez mych rosą
Piasek z oczu
Ci obmyję;
I twą piosnkę
Ulubioną,
Śpiewać będę;
I na szyi
Tweją zawisnę
Wiecznie — wiecznie
I na ziemi
I za ziemią
Będę twoją
Miły mój
Luby mój!

Wszystko próżno !
On nie słyszy
Moich jęków,
On nie widzi
Moich łez.
Matko Boska !
Z niebieskiego
Tronu twego
Litościwie
Na mnie spójrz;
Skróć me życie,

Próżne życie!
Przy kochanku
Daj mi spocząć
Wiecznym snem;
I co ziemia rozłączyła—
Świątą dłonią
Ty na wieki
Znowu złącz.—

ELEONORA SZTYRMER.



K A P Ł A N .

Gdy wielki obowiązek rządzącego ludem,
Rządzącego docześnie — chwilowo — na ziemi,
Bo celem jego starań — jego władzy trudem —
Być winno: — szczęście ziemskie między podwładnemi;
O, jak jest stokroć bardziej ciężkim zarząd ducha!
Jak skutki jego dziwne — wielkie — niepojęte!
Bo choć szczęścia ziemskiego pęknie bańka krucha, —
Wiara — winna wskazywać szczęście wyższe — święte...
Wielki więc obowiązek stróżów wiary — cnoty;
Bo im szczęścia wiecznego wręczony klucz złoty...

*

Kto człowieka wprowadza w świat ducha z spowicia
Niewinnego — czystego — nakształt rannej zorzy?

Kto mu wskazuje wielkie jego przeznaczenie ?
 I kto mu daje pierwsze — święte namaszczenie —
 Którém krzepi go w trudną podróż tego życia ?
 To Kapłan — sługa Boży !

*

I potem — na burzliwym świata oceanie,
 Gdy człek się puści po nim — w wątej łódce życia—
 Pośród burz przeciwności — przez zbrodni otchłanie,
 I nie raz śród skał cnoty jest bliskim rozbicia...
 I jedna tylko gwiazdka świeci mu na niebie, —
 To wiara—śród chmur zwąpień— namiętności brudnych:
 Nie raz by człek znękany ją rzucił w potrzebie !
 I puścił się na oślep — gdzie nim rospacz ciska —
 Śród dzikich — ciemnych występku bezdroży!...
 Jeden sternik za gwiazdą wiedzie śród dróg trudnych—
 Aż nim go niewprowadzi w bezpieczne siedliska.
 To Kapłan — sługo Boży !

*

I — gdy człek już rzucony na boleści łoże,
 A śmierć — śmierć niezblagana nad tem łożem stoi,
 Gdy już zgasty ostatnie czczych nadziei zorze;
 Gdy żałuje — przeszłości, przyszłości się boi:
 Bo w przeszłości — zagrzebał wszystkie swe nadzieje!
 A przyszłość — jako przepaść bezdena czarnieje!...

Gdy może został jeden — biedny — zapomniany !
 Chociaż wielu tak zwanych *przyjaciół* miał w szczęściu,
 Bo zmiana losu — wszędzie dziwne sprawia zmiany —
 I inna twarz przyjaciół — w szczęściu — i nieszczęściu...
 Kto się zjawia — jak Anioł — pocieszyciel z nieba ?
 Kto na skrwawioną duszę — leje balsam wiary ?
 Kto zasila pokarmem niebieskiego chleba —
 I wskrzesza skrę nadziei — z tej cierpień ofiary ?
 I tą skrą rospromienia mrók ciemnej przyszłości,
 Przyszłości — która wzrok mu jeszcze ziemski — trwoży,
 I zamyka mu oczy — by przejrzał w wieczności,
 I duszę wziętą z nieba — odsyła do nieba ?
 To Kapłan — sługa Boży !

*

Cześć wam Boga Kapłani! cześć wam wiary stróże!
 Cześć tym, — co godnie idąc w świętem powołaniu
 Za śladem Zbawcy — w nocy, pokorze, wytrwaniu,
 Niezważają na ciernie, przeszkody — i burze !
 Cześć tym, którzy w ubóstwie swoje życie całe —
 Całe życie — z lat młodych — do cnej sędziwości
 Poświęcili na służbę Bożą, Bożą chwałę,
 Na pociechę i wsparcie cierpiącej ludzkości!...
 I skazawszy swe ciało — na długie cierpienia,
 I świat cały przyniosłszy duchowi w ofierze,

Prowadzą swoich braci — w świętej ojców wierze —
Do cnoty, a przez cnotę — na łono zbawienia!

*

Lecz biada — jeśli ciemność od tych że pochodzi—
Od których czysta jasność pochodzić powinna!
Lecz biada — jeśli ziemskie widoki, lub inna
Dążność — nie zaś niebieska — wyższa — im przewodzi
Lecz biada — jeśli zamiast służyć bliźnim szczerze,
Zamiast bronić ich mężnie — wytrwale — otwarcie:
Oddadzą swoją trzodę wilkom na pożarcie —
Sądząc swym obowiązkiem jedynym — pacierze
I zamiast strzedz swych braci od błędów bezdroża —
I sami się błąkają — po ścieżkach omamień;
To lepiej — by im młyński uwiązano kamień
U szyi — i w przepaściach pogrążono morza!...

LUDWIK DE PERTHEES.

Wilno.

S O N E T Y.

1.

N O C.

Latających iskr w górze morze się rozlewa
 Bez granic płoną jasnych planet diamenty,
 Namiot nieba ciężarem tych cudów ugięty;
 Chyli się k' ziemi, wielki hymn o tworczy śpiewa.

Westchnął wiatr, obudzone pacierz szepcą drzewa;
 Szmer wody w brzegach cicho hymn powtarza święty,
 I jakby dym z ołtarza w górze obłok wzdęty
 Wstępuje k' niebu, lekkie tumany rozsiewa.

Kto pojął hymn natury, który wielbi Pana?
 Gdy ziemia nocnych cieni żałobą pokryta
 Pogrąża się w dumanie lżą rosy oblana?

Kto pojął duszę człeka? gdy na nim wryta
 Boleść uczuć tajemnych, w sercu ciężka rana,
 Nie śpi w nocy, i smutny wschód jutrzeński wita.

2.

R A N E K.

Ledwie ranek zaświecił, i wnet okolicy
 Zajaśniał obraz barwą zieloną pokryty,
 Zadrżał blask nad jeziorem nakształt błyskawicy,
 W krąg rysują się lasy i pięknych gór szczyty.

Blisko czarnieją ściany drewnianej kaplicy,
 W krąg świątyni znak bliskiej ruiny wryty,
 W nieładzie pada ołtarz Najświętszej Dziewicy,
 I dach jakby żałobą cieniem brzozy pokryty.

Ja ukląknę przed drzwiami. wschód gasnął w obłoku,
 I las szumiał w około, modliłem się szczerze,
 I widziałem jak anioł ukląkł przy mym boku.

Ach jak wtenczas gorliwe były me pacierze,
 Anioł w modłach, świątynia, niebo w moim oku,
 I z oczu moich kilka łez padło w ofierze.

3.

D Z I E Ń

Już dzień, to anioł światła, jego skroń ubrana
 Ognistym wieńcem, bielsza śniegów jasna szata,
 On palcem ukazuje piękność tego świata,
 I cuda na tej ziemi Wszechmocnego Pana.

Na miastach świecą krzyże, lud padł na kolana,
 Jak słońce świat ogrzewa wiara i oświata,
 Dla czegoż możny w bliźnim nieuznaje brata,
 Nie zmiękczy serce silnych, sierot łza rozlana.

Odkryj aniele światła siejąc twe promienie,
 Gdzie jest świątynia prawdy? gdzie z jasnego źródła
 Bieży woda pociechy, co leczy cierpienie?

Jaka mię przyszłość czeka? gdzie mogiła moja?
 Gdzie mi spocząć pozwoli niebios przeznaczenie?
 Ciężkie życie tułaczę wśród trudów i znoju.

P O Ż E G N A N I E.

Bez spoczynku wy dalej i dalej biedz radzi,
Szczęśliwi! was nie truzdi podróź,— niebo sprzyja,
Ciągłe w szumnych rozmowach czas wesoło mija,
I nadzieja po drodze bezpiecznej prowadzi.

Niech was zawsze przyjemna zabawa gromadzi,
Niech się w waszych rozmowach wesołość odbija,
Lecz moje myśli, smutne wspomnienie obwija,
Truje przeszłość, i przyszłość tymże smutkiem zdradzi.

Idźcie dalej przyjemną tam spotkacie drogę,
Przywitają was wszędzie wesołe widoki,
Ja idę w inne strony, z wami iść nie mogę.

Już ranilem ja nie raz cierniem w drodze nogę,
Niebo duszy mej czarne zaćmiły obłoki,
Nauczyłem się cierpieć.

CZAS WSZYSTKO RUJNUJE!

Luba ziemiol gdzie młode niegdyś moje chęci,
Gdzie się kończyły jasnych, błogich dni koleje,
Gdzie ja serce pogrzebłem i wszystkie nadzieje,
Jakiś urok ku tobie wspomnienie me nęci.

Czemuż! kiedy myśl kartę rozwija pamięci,
Marzenie moje w chmurach żałoby ciemnieje.
Jakiś nucąc o tobie duch jad w serce leje;
I do duszy mej burzę swym śpiewem przynęci.

Kiedy późnym snem skrócić żądam me cierpienie,
Uspokoić myśl pośród tych uczuć natłoku,
Ten się duch znowu wpląta w senne me marzenie.

I wciąż smutnie o tobie nucąc w nocnym mroku,
Rysuje rzędy grobów, ruiny, płomienie.
I porywam się ze snu ze łzami na oku.

JAN BARSZCZEWSKI

Sierpnia 1842 roku
Petersburg.

FANTAZJA.

D O

- »Lzom przypomnienia nie szczędził biegu
- »Lecz przeszłość któż mi powróci,
- »Kwitnij ma róza na dzikim brzegu,
- »Wkrótce cie zeglarz porzuci!»

Tęskno mi!... przeszłość jak lampa grobowa,
 Świeci mi w duszy, i jasnością swoją,
 Taką mi boleść na serce nasówa,
 I tak omracza smutną duszę moją,
 I tak mnie gniecie, że czuję w tej dobie,
 Ciężkość tak silną, jak gdybym był w grobie!—
 Gdzież są dnie moje, dnie słodkiej katuszy?
 Gdzie nektor szczęścia, com pił z zachwycenia?

Gdzie moje niebo? — gdzie raj mojej duszy?
Gdzie balsam życia co słodził cierpienia?
Gdzie wy jesteście złote życia chwile?
Gdzie?... gdzie?... was wzywam!... lecz cichość do koła,
Tak omroczyła, że choć serce woła,
Wszystko tak milczy, jak usta w mogile!—
Wszystko już znikło!— lecz jeszcze została
Pamięć przeszłości!— i z niemi wspomnienia
Gorzkie, urocze,— a dusza zbolała,
Lęka się napić wody zapomnienia,
I rwie się tęskna na znikome błonie,
I tam spoczywa jak w rodzinnej stronie!—
Słońce już dla mnie dwa razy zapadło,
Dwa razy całun na serce rzuciło,
Dwa razy z nieba do piekieł upadło,
Dwa razy serce goryczą umyło.—
Pomnę te przejścia — pomnę tę rozpaczą,
Jak dnie żałoby na matczynym grobie,
Lecz oczy moje w serce łzami płaczą,
A gorycz bólu tłumią same w sobie,
I bolesnego tak strzegą cierpienia,
Jak stary sknera, zebranego mienia!—
Lecz jeszcze czasem uśmiech na mej twarzy,
Jakąś radością muska moje lica,
Jeszcze czasami zbolała zrenica,
Przecuciem szczęścia serce me obdarzy,

I w jednej chwili całuny grobowe,
 Przestroi w kwiaty i odzież godowe.
 Lecz to są rzadkie tylko zapomnienia,
 Bo lada przeszłość zabłyśnie na chwilę,
 Kwiaty wędnieją — a całun wspomnienia,
 Serce pogrąża w wieczystej mogile!—

Dziś sam zamknięty jako mnich w klasztorze,
 Myślą przebiegam mą przeszłość uroczą,
 Dumam o znikłej wesołości porze,
 I na niej myślą zawiesam ochoczą.
 A jako pajak nici wewnętrzznemi,
 Snuję siedzibę wątłą acz swobodną,
 Tak zadumany myślami tęsknemi,
 Snuję dla duszy siedzibę podobną! —
 Przeszłość więc moją, któż mi dziś powróci?!—
 Ona zagasta jako lampa światu;
 Myśl jedna jeszcze czasem ją zakłóci,
 Przywdziawszy w odzież z jasnego szkarlatu.
 I tak mię łudzić dziś poczyna jeszcze,
 Tak dnie żałoby chce jeszcze ominąć,
 Że zda się mówić przez przecucie wieszczce,
 „Tam masz mieć szczęście, lub tam musisz zginąć!”
 Błoga więc myśli! — skrzydłem Cherubina,
 Ulatuj chyżo przez znikome błonie,
 A nim wybijie skonania godzina,
 Wieńcem nadziei ubierz moje skronie!—

I ty coś nową zesła dla mnie gwiazdą,
I żartem duszę zajęłaś mi skrycie,
I ciebie błagam z dniem i chwilą każdą,
Rószczką nadziei omamiał me życie! —
Jeśli twe serce innym ogniem tleje,
Jeśli twa dusza w inną stronę lata,
O! wtenczas jeszcze rób dla mnie nadzieje,
Niech się przeciągnie choć z dniem ma utrata!
Bo za cóż ciebie ja kiedy obwinę?
Wszak jam ci wyrzekł stanowczą przysięgę,
Przyszłość więc twoja najswobodniej płynie,
Moja wpisana już w przeznaczeń księgę.
Dziś ją na nowo ponawiać się ważę,
Nowemi więzy krępuję sam siebie,
Niedbam na losy! — na nic się nie skarżę,
Lecz zawsze wolną żądam widzieć ciebie! —
Kto wie jak skończę! — przyszłość dróg zakryta,
Los mnie posunąć może w kraj daleki,
Spełnię go! — lecz dusza do ciebie przybita,
Wiecznie przy tobie zostanie na wieki —
Jak cień nieodstępna w każdej życia dobie,
Będę cię ścigać i błądzić przy tobie! —
I teraz nawet choć odlegle żyję,
Z tobą — przy tobie, chowam moją duszę,
A jeśli kiedy godzina wybije,
W której na wieki postradać cię muszę,

Wtenczas przy tobie szłać gorzkie westchnienia,
Tem słodzić będę bolesne cierpienia! —

„Łzom przypomnienia nieszczędnę biegu,
Lecz przeszłość któżby mi wrócił,
Choć kwitniesz różą na obcym brzegu,
Lecz cię sam żeglarz nie rzucił.

KAROL E. SIEDROTSKI.

1841.



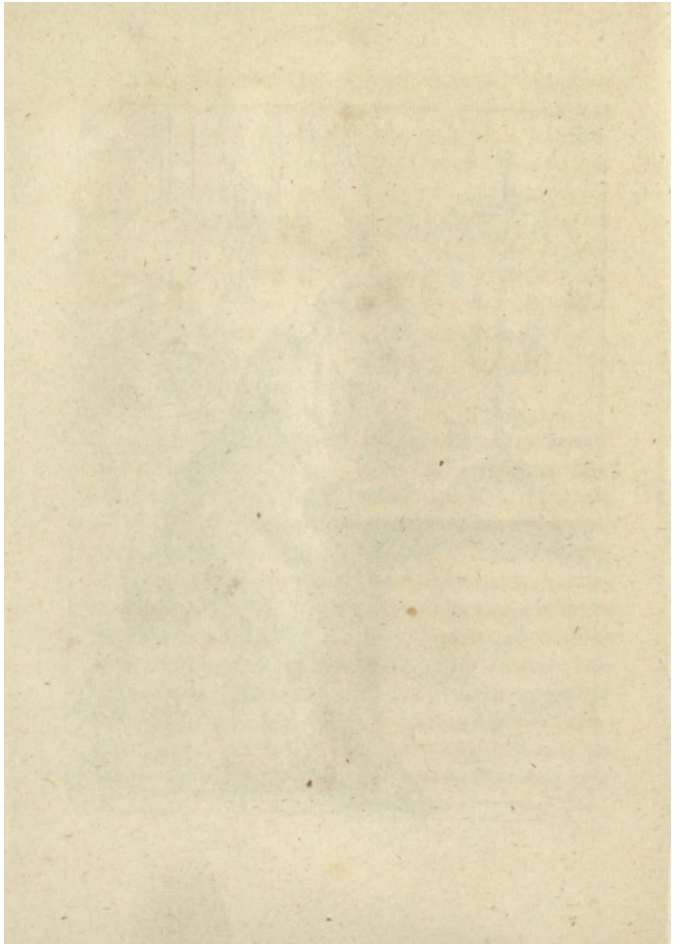
TRUPIA GŁÓWKA.

P O W I A S T K A

NAPISANA PRZY KOLEBCE MOJEGO LEONKA.

Kiedy Bóg udzieli kobiecie odrobinę pisarskiego talentu, zdaje mi się, że nie może ona właściwie użyć tego daru jak dla pożytku własnych dziełek.— Pisać dla publiczności, dla narodu, mogą tylko kobiety z większą zdolnością. Ja piszę dla swoich dzieci. Choćby płody mego pióra były mniej jak mierniej wartości, choćby publiczność przyjęła je jak najzimniej, zostaje mi nadzieja, że przynajmniej dzieci będą mi wdzięczne za dobrą chęć macierzyńskiego serca. W szumie świata w wirze codziennych marzeń, może kiedy wzrok ich padnie przypadkiem na moje dziełko; przypomną sobie młodość, a z nią matkę i przeczytawszy kilka kartek, ze łzą w oku, z modlitwą na ustach postanowią pełnić rady





<http://rcin.org.pl>

pierwszej swojej przyjaciółki i opiekunki. W tym celu piszę dla ciebie tę powiastkę mój drobnutki Leonku, w której potocznym sposobem, chcę ci przedstawić jedną myśl moralno-chrześcijańską. Pamiętaj, że często sądząc po ludzku, człowiek zdaje się być wolnym od zmyły, a jednak w głębi jego serca wije się wąż grzechu. Powściągnij się od wszystkiego podobieństwa złości, boć owoc światłości jest we wszelkiej dobroćliwości, w sprawiedliwości i w prawdzie. Nie zapominaj, że Religja nakazuje nam być mądrymi jako węzowie, a prostymi jak gołębice. W naszym wieku mędrkowania jest to jedha z najzbawienniejszych przestrog, które ci dać mogę. Teraz niezrozumiesz tego dziecinol niewinna twoja dusza patrzy tylko w oko matki, słucha tylko pieśni piastunki, i w snach niemowlęcych marzy tylko o niebie; radość nie długo cię cieszy, łzy twoje nie długo płyną; ale przyjdzie czas kiedy z rozpiętym żaglem wpłyniesz na morze żywota.... wtedy przeczytaj z uwagą moją powiastkę. Teraz śpij gołąbku mój miły! matka czuwa nad tobą.



W ciemną i burzliwą noc jesienną, stara Małgorzata oknęła się ze snu i wsłuchując się w rozgłosy nawałnicy huczącej na dworze, zawołała z pobożną bojaźnią: „a Słowo stało się Ciałem! Jezusie Nazareński! zmiłuj się nad nami! cóż to się dzieje na bozym świecie?— Zmówiwszy krótką modlitwę przeciw gwałtownej pogody, chciała nieco zasnąć, lecz sen nieprzychodził. Jakiś przestרח ogarnął biedną kobietę, zerwała się z pościeli i przeraźliwie krzyknęła na męża: „Symonie! w imie Boga zywego!...

— A co wam potrzeba Małgorzato? odezwał się zbudzony Symon.

— Słuchajta no, cy niesłysyta? tam na dworze...

— Łaska Boza z nami, słyszę niewiasto jak tam carci salejom, pewnie się który zeni, albo się grzesny człowiek obwiesił.

— A cy nic więcej nie słysyta? słuchajta jeno dobrze...

Symon pod starość cokolwiek głuchy, zaczął się przysłuchiwać baczniej, ale oprócz łoskotu burzy nie mógł nic więcej rozpoznać. Wreszcie zniecierpliwiony, że mu Żona przerwała sen, zawołał z niechęcią: „Spita z Bogiem zono; nie kłóćta mi głowy na prózno. Warcy tam sparko na dworze, alić to ustanie. Widziałem takie sturmy nieraz kiej byłem wiarusem i do tego na gołym polu, cegos mi się wej turbować w chałupie.

— Ogłuch zupełnie mój Symon, mruknęła Małgorzata — zal się Boże, nic nie słyszy dziad stary. Symonie! zawołała głośniejsz — dyć tam pod oknem płace coś jakby dzieciątko. . .

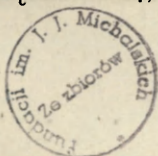
— To desc plusce matko, śpita z Bogiem! z kądby się wzięło dzieciątko pod oknem w taką pogodę, kiej i psa niewypędzis kijem z domu?

— Oj nie desc to Symonie! idzta no duchem za wrota, jak Bóg zywy to niemowlątko płace. . .

— Jezusie Nazarenski królu zydowski, co się z tobą dzieje niewiasto — jakie niemowlątko? to moze kot zmokły miaucy na poddasu, albo cart udaje głos ludzki, zeby się zabawić nad twoją grzesną dusą.

— Symonie! jesli ci Bog miły idź zwawo, uzal się dziecięcia, jabym sama posła, ale mi strasno, az mroz przelatuje po skórze.

Stary Symon chociaź był kiedys wiarusem, choć w całej wsi słynął z odwagi, bynajmniej jednak nienależał do ludzi śmiałych w nocy. Jest to zupełnie odrębny rodzaj śmiałości, który najwięcej zależy od natury i wrażeń dziecinnego wieku; wiara, czyste sumienie, rozum i lata mogą wiele pomódz bojazliwym, ale rzadko zastąpią to, czego odmówiła natura. Symon nieuląkby ani się człowieka, ani niedźwiedzia, gdziekolwiek by ich spotkał, ale ciemność nocy, burza, zabobonność gminna i przelęknienie żony, naprowadziły na niego mimo-



wolną trwogę; zimny pot wystąpił mu na czoło, stary kręcił się na ławie i myślał nad tem, jakby się wywinąć od poruczenia, które ufając w jego śmiałość żołnierską, dawała mu Małgorzata. Wstyd i strach walczyły w jego duszy i może strach byłby wziął górę, lecz w tym rażące światło błyskawicy nagle oświeciło całą izbę. Symon postrzegł swą żonę, stojącą przy oknie w bieli, przeległą i bladą jak trup. Żal mu się zrobiło pocziwej kobiety, widok jej słabości obudził miłość własną starego żołnierza, zerwał się z ławy i zuchowato zawołał: „Niech się dzieje wola Boza! rozdmuchaj ogień i zapal latarkę.” Nałożył na siebie siermięgę; wziął światło i wyszedł.

Po kilku chwilach płacz dziecięcy coraz bliżej zaczął się rozlegać. Słysząc go było naprzód przy wrotach, potem w przysionku: „dzieciątko! zawołała Małgorzata i pobiegła na spotkanie męża, który istotnie wniósł do izby koszyk z niemowlęciem, starannie zawiniętym w pieluchy.

„A widzita Symonie! zawołała pocziwa wieśniaczka ze łzami radości, schwyciła koszyk, zdjęła zdziecięcia mokre pieluchy, okryła go suchą bielizną, chuchała, ogrzewała, śpiewała nad nim i tuliła do łona, póki nieprzystało kwilić. Potem przyszło jej na myśl, że dziecko zapewne głodne. „Biedny gołąbek! rzekła z żalem, Symonie przynieś mleka i drewek na komin.”

Stary wiarus, który dotąd stał nieruchomy, wpatrując się w milczeniu w miłe rysy dziecięcia, myśląc nad tem, czy też ma rok skończony lub nie? czy to chłopczyk czy dziewczynka? czyje to dzieciątko? pobiegł ile mógł skwapliwie i wypełnił co mu mówiono. Mleko się zagrzało, Małgorzata wyjęła ostatek obwarzanków kupionych w mieście, zrobiła papkę i nakarmiła dzieciątko, które chciwie połykało pokarm. Wtedy dopiero uspokoiła się dobra kobieta, usiadła przy dziecięciu patrząc jak miłe zaczęło drzemać i z cicha modliła się póki nieusnęło zupełnie.

Małgorzata była szczęśliwa, dziękowała Bogu, że jej pozwolił ocalić życie biednej istoty, i z pierwszej chwili pokochała dziecko uczuciem prawdziwej matki. Kobiety z niezepsutem sercem mają w ogólności tę cechę, że każde dziecko budzi w nich tkliwe wzruszenie. Jest to w naturze kobiety kochać wszystkie dzieci na świecie, kochać bez uszczerbku swoich własnych, bez krzywdy męża, rodziców, krewnych i przyjaciół, bo serce kobiety jest jedyna *nieskończoność* na ziemi, gdzie wszystko ma ciasne granice. Dowód tego widzimy nawet na osobach światowych, płochego i lekkomyślnego charakteru. Alboż to raz dostrzeżliście na ulicy okrzyczaną nawet kokietkę, zatrzymującą piastunkę z obcym i nieznanym jej dzieckiem? patrzy na jego milej jak na wszystkich swoich zalotników, całuje go, pieści się z

nim, wypytuje piastunki o najmniejsze szczeguły, troskliwie udziela swoich rad, a często i pieniężnego zasiłku lub protekcji nieznanym rodzicom. To spótczucie dla dzieci najwięcej jest rozwinięte w kobietach gminu, bo lud nasz prosty ma znatury dobre i tkliwie serce; Małgorzata zaś więcej jak inne kobiety była do niego usposobiona, bo miała kiedyś własne dzieci, które Bóg wszystkie zabrał do siebie. Biedne podrzucone niemowlę, rachowała sobie za dar Boży, za cząstkowe wynadgodzenie ciężkiej i nieopłakanej straty.

— A Cy chłopak? cy dziwecka? zapytał w półgłosu Symon.

— Chłopiec, odrzekła z cicha Małgorzata.

— A cyjes to dziecko?

— Złej jakieś matki Symonie, kiej go podrzuciła cudzym ludziom, jesce w taką pogodę. Niebożátko zaledwie nieumarło.

— Tseba jutro powiedzieć wsystko księdzu proboscowi w mieście; co tez on kaze z nim zrobić.

— Co kaze zrobić? smiesny ty człowiek! Pan Bóg nam posłał, to go wychowamy.

— Juzci ja nieprzeciwno tego zono, ale zawse tseba się zapytać księdza probosca, wsakci to nienase dziecko.

— A cyje Symonie, kiej porzuciła go rodzona ma-

tka? ale popatrsta no w pieluchach, zdami się ze tam był jakiś papier.

— Jest maleńki kawałek, odpowiedział Symon wyciągając papier z kosza, i na nim coś napisano; widzita matko ze trzeba iść do księdza probosca on przeczyta.

— Pojdzimy jutro, rzekła Małgorzata; albow to daleko ze starej wsi do Siedlec? westchnęła i spojrziała na śpiące dzieciątko. Biedna kobieta, ulękała się żeby na tym kawałku papieru nieznalazło się czegoś takiego, coby ją zmusiło oddać dziecko w drugie ręce, ale ta obawa nie długo trwała. „Kto go porzucił ten się nie będzie o niego dopominać” powiedziała sobie i drugi przedmiot zajął jej umysł: „Symonie! rzekła do starego wiarusa, jak się tobie zdaje! cy chrzcone to niebożatko?

— Albo ja wiem Małgorzato? odpowiedział Symon, juzci pewno chrzcone, chyba jaki zydzowski bachor; rozumie się ze chrzcone.

— Oj nierozumie się Symonie; kiej matka mogła go porzucić, to mogła tez nie podać do chrztu świętego.

— Ksiądz pleban zobacy, rzekł Symon spokojnie — juzci napapierze pewno napisano o tem. —

Nazajutrz wizyta u proboszcza w Siedlcach odbyła się jak najpomyślniej dla dobrych wieśniaków. Małgorzata wróciła spokojna i wesoła do domu, ksiądz pro-

boszcz, nie tylko pozwolił zatrzymać dziecko u siebie, ale nadto pochwalił, ten dobroczynny zamiar i odjął jej wszelką obawę względem chrztu, albowiem na karteczce było nabazgrano prostą i nie wprawną do pisania ręką: „To dziecko ochrzczone, nazywa się Jerzy, skończyło rok na Ś. Michał, rodzice jego już nieżyją.”

„Moja więc dziecina! moja! wołała Małgorzata ze łzami radości, wracając na starą wieś — widzisz Symonie! choć to nie nase, ale zawsze dziecko, nie będzie nam tak markotno w chałupie.

— Wola Boza! odrzekł Symon, juzci nieopuscimy to pachole, wychowamy niebożątko; będzie z niego kiedyś tęgi wiarus.

— Co będzie to będzie, mój Symonie, byle po cciwie Bogu służył, a teraz spiesmy do domu, bo wiatr na skroś przejmuję dzieciątko, i drzy mi biedne u piersi jak liść osinowy.

Przyszędzszy do chaty Małgorzata powydobywała ze skrzyń najcieńsze płótno, rozmierzyła i pokrajała na bieliznę i pościółkę dla Jerzego, odłożyła najlepsze perkaliki, pomyślała o czepeczkach, pończoszках, słowem o całej garderóbce dziecięcia, czego nie było w domu to kazała Symonowi, w pierwszą niedzielę kupić w kramach Siedleckich. Nareszcie kiedy się skończyła narada dobrych wieśniaków, Symon który lubił przy okazji podzielić swoją radość z drugimi, poszedł do wsi spro-

się sąsiadów i na ten raz Małgorzata bynajmniej się temu nie sprzeciwiła.

Dziecie rośło i krzepło bystro, jak wszystkie w ogólności dzieci wieśniaków; dzieci prostoty, natury i Boga. Małgorzata zdawało się odmłodziła nie tylko sercem, ale całą istotą. Czas upływał nie zostawiając żadnego na niej śladu, nie odejmując jej sił i nie chyłąc ku ziemi. Kiedy gospodynie we wsi żartobliwie czyniły jej tę uwagę, odpowiadała im rzewnie; „Bóg łaskaw moje kumy, zachowuje mnie w zdrowiu zebym oglądała dojrzałym i szczęśliwym moją miłą dziecinę.

Przyszłe szczęście Jerzego było jednak bardzo wątpliwe. Nawet prosty umysł Małgorzaty, przy zaślepieniu prawdziwie macierzyńskim dostrzegał widocznie, że w charakterze tego dziecka, było coś takiego, czego w nim być niepowinno. Im więcej się rozwijał ten charakter, tym więcej trwożyła się Małgorzata o los swego wychowanka, chociaż nigdy nie mogła sobie zdać sprawy z tego co ją tak mocno zastraszało. Było to samopoznawcze *przekonanie serca*, które chociaż jest równie a nawet więcej silne, jak przekonanie rozumowe, ma jednak to do siebie, że pospolicie bywa ciemne, nieokreślone i nie daje się ani rozłożyć na cząstki, ani wyrazić słowami. Biedna kobieta płakała nieraz opowiadając Symonowi swoje trwogi, a stary Symon śmiał się i pokręcając wąsa mówił: „będzie z niego tęgi wia-

rus.” Jerzy w miarę tego jak rósł, stawał się krnąbrnym, upartym, zawdijaką; dziecięce żądze jego były ogniste i niepohamowane; słuchał Symona, bo go się lękał, opiekunkę zaś swoją albo raczej matkę miał za nic, słowa jej przedrzeźniał, a z łez śmiał się. Mówię matkę, bo taką w isocie była dla niego Małgorzata i z uczucia i z imienia, gdyż poczciwi wieśniacy nienazywali Jerzego inaczej jak synem. Ale chłopiec był nieczuły z natury. Rowieśnicy jego we wsi często się skarżyli, że im wydierał wszystko co tylko u nich spostrzegł. Ulubioną jego zabawką było przywiązywać kotom pęcherze do ogonów, wojować z psami, wybierać jaką zgniazd ptasich i wykłuć oczy złapanym wróblom i dzierlatkom. Próżno strofowała go Małgorzata, próżno opowiadała mu tradycyjną powiastkę o człowieku co z młodu obcinał języki ptakom i puszczał na wolę, a potem kiedy wyrosł i ożenił się, Bóg go ukarał, bo wszystkie dzieci u niego rodziły się nieme. Jerzy śmiał się i zaczął używać tej nowej męczarni nad ptactwem. Pewną razą przed Wielkonocą, kiedy Małgorzata kłua wrzecionem prosie na święta, Jerzy stojąc przy niej patrzył z jakąś dziwną radością na ponsowę strugę krwi płynącą ze zwierzęcia, oczy jego zaiskrzyły się, uchwycił oburącz prosie i zaczął go dusić żeby się dłużej cieszyć widokiem tej fontany co go tyle zajmowała. Małgorzata wzdrygnęła się mimowolnie.

Później kiedy tylko wypadło zakłuć prosię, albo zarznąć gęś lub kurę, Jerzy przyjmował zawsze ten obowiązek na siebie. Symon powtarzał swoje ulubione, będzie z niego tęgi wiarus! Małgorzata smuciła się i płakała.

Nareszcie i Symon zaczął dostrzegać, że chłopiec zupełnie dobrym będzie wiarusem i to go mocno dotknęło, bo u tego starca nie było wyższego pojęcia o szlachetności i cnotie nad pojęcie żołnierza. Niepodobnało mu się, że Jerzy mając już dwanaście lat skończonych, zasypiał często niezmówiwszy pacierza, nie modlił się w kościele, kiedy na niego niepatrzano, nie chciał chodzić za bydłem, ani pomagać swoim opiekunom w gospodarstwie; biegał tylko nieustannie do miasta i grał w piłkę ze studentami. Wszystko to byłby stary żołnierz doprowadził do porządku, ale Jerzy miał silną protektorkę w Małgorzacie, która go strzegła jak oka w głowie, i dla tego gniew Symona kończył się zwyczajnie jednemi tylko pogroźkami. Wreszcie okoliczności dopomogły Jerzemu. Syn zakrystjana w Siedlcach poznał się z nim przy piłce i wprowadził go do domu swoich rodziców, a pani zakrystjanowa pomówiwszy z chłopcem i widząc że jej odpowiada jak z drukowanej książki, napomknęła Symonowej przy pierwszym spotkaniu, że warto by go uczyć czytać. Odtąd Małgorzata jakby obudzona z ciężkiego snu, dopóty su-

szła głowę Symonowi, dopóki się niezgodził na to, że Jerzy powinien być czemś więcej w świecie jak prostym wieśniakiem. „Jusci to nie źle zdecydował w końcu Symon, kiej chłopak nauczy się czytać z książki; zostanie kiedyś sierżantem, a kto wie może i oficerem. Zakrystijan niedrogo weźmie za naukę, boć to nas kum; niechaj chodzi do zakrystijana.

Jerzy chodził kilka miesięcy do swego bakałarza, i nad podziw wszystkich starców we wsi, którzy go rachowali za ladaco, uczył się nadzwyczajnie gorliwie, Małgorzata płakała z radości i wybaczała mu wszelkie szaleństwa. Myśl, że jej wychowanek, nie tylko czyta z drukowanej książki, ale i pisze na białym papierze, miała w jej oczach tak wysoką cenę, że tkliwie jej uczucia dla dziecka powiększyły się jeszcze szacunkiem dla jego uczoneści. Najmniejsza iskierka cywilizacji wydaje się świetną gwiazdą dla prostych umysłów. Od tego czasu, kiedy Jerzy sprzecząc się o co z Małgorzatą, mówił z gniewem: *głupiaś matulu*, dobra kobieta choć ją serce bolało, odpowiadała mu spokojnie: „rób jak wies moja dziecino, wsak ty ucony chłopiec.

Jerzy przestał swawolić z rówieśnikami na wsi, spoglądał na nich dumnie, i nawet w mieście wybierał sobie ile mógł zamożniejszych rodziców dzieci za towarzyszy. Byli to wszystko studenci, Jerzy zrobiwszy pierwszy krok na drodze cywilizacji, samopoznawczo

czuł, że mu potrzeba było iść dalej. Pewną razą wróciwszy do domu, rzekł do Małgorzaty opryskliwie; „Matulu nie pójde już więcej do zakrystjana.

„A to dla czego moja dziecino?
 „Dla tego, że on głupi, niczego mnie już nie potrafi nauczyć.

„Co tez ty gadas moje dziecie! Zakrystijan głupi! moj Boze, zeby to słysał Symon.

„Ja i ojcu powiem to samo, niechaj mnie odda do szkół.

„O mój Boze zawołała Małgorzata, jakze mi to dotąd nie przysło do głowy! Matka Bozka cię natchnęła moje dziecie, mas raciją trzeba ci chodzić do szkół; tak, tak, musimy cię oddać do szkół. Potem nagle jakby przelękniona własnymi słowami zawołała z rozpaczą: „ale z kądze my weźmiemy pieniędzy płacić za ciebie.”

„Weź zkad chcesz Matulu, odparł cierpko Jerzy; szewczyk Adaś biedny, a wszakże chodzi do szkół.

„O bądź spokojny moje dziecko, rzekła dobra Małgorzata; ostatnie grose zbierzemy, oddamy sad w aręde, sprzedamy część bydelka, a ty będziesz w szkołach! Istotnie po żwawej dyspacie z Symonem, Małgorzata postawiła na swoim i wkrótce potem przy pomocy księdza proboszcza, który przez wzgląd na bogobojną rodzinę, zobowiązał się płacić połowę summy, Jerzy został przyjęty do szkół. Symon pocieszał się tym, że

wychowanek jego będzie niezawodnie oficerem. Poczciwy starzec niedoczekał się jednak tej pociechy. Śmierć zatrąbiła mu ostatni apell, właśnie wtedy, kiedy Jerzy skończył trzy pierwsze klasy. Umierając stary wiarus czule błogosławił swego wychowanka, zalecał mu kilka razy, żeby był bogobojnym, uczciwym, odważnym w boju i dobrym kolegą. W końcu odkrył mu wszystko co wiedział o jego urodzeniu i przykazał szanować Małgorzatę.

Po zgonie Symona, Jerzy niezważając na rozpacz biednej wdowy, zapytał ją cierpko, dla czegoż nazywaliście mnie synem, kiedy tak nie jest?

„Dla tego, że cię kochaliśmy jak syna, odrzekła szlochając Małgorzata! dla tego, że zapomnieliśmy żeś nie nase własne dziecko.

Jerzy zasmucił się mocno, pierwszy raz zrozumiał, dla czego we wsi dawano mu krzywdzące nazwiska podrzutka, b... i t. d. kamień spadł na jego serce i w głowie zaczęły się snuć dziwaczne myśli o nieznanym rodzicach. To wystawiał sobie, że muszą być bogaci, nie pojmował dla czego go porzucili, i spodziewał się, że go będą poszukiwać. To znów niechciał ich nigdy znać i przeklinał ich okrucieństwo. Na pogrzeb Symona poszedł z jawną niechęcią. Przez kilka dni nie mówił ani słowa z Małgorzatą.

Na staruszce niewiadać było żadnej odmiany. To sa-

mo przywiązanie do wychowanka, ślepe, nieograniczone, macierzyńskie; ta sama powolność, uległość, szacunek i zupełne wylanie się dla niego we wszystkich aktach życia.

Jerzy tym czasem przechodził pozostałe klasy w szkołach Siedleckich, siedział dnie i noce nad książkami, czynił nadzwyczajne postępy w naukach, i jeśli nie osiągał pierwszych miejsc na liście examinacyjnej, to w zdaniu kolegów, które często bywa sprawiedliwszem nad wszelkie akta szkolne, uważany był zawsze za najzdolniejszego. Widząc że szczupłe środki Małgorzaty niepozwołały mu ubierać się jak dzieciom zamożniejszych rodziców, zaczął się w wolnym czasie zatrudniać prywatnymi lekcjami i tym sposobem nie tylko mógł się przyzwoicie nosić, ale nadto zyskał wstęp do wielu porządnych domów w mieście, o co mu jeszcze więcej chodziło jak o dobre odzienie. Spotykały go wprawdzie z początku częste upokorzenia, bo chłopiec lubił się obsesem poufalić, ale powoli nauczył się skrywać urazy, naginać się do okoliczności, ulegać kiedy nie można było walczyć i mścić się, kiedy pora była po temu. Nareszcie skończył szkoły, wziął kilka listów rekomendacyjnych, małą kwotkę własnych pieniędzy i wszystko co mogła zebrać jego opiekunka; pożegnał się obojętnie z Małgorzatą i z pierwszą okazją puścił się do Warszawy.

Próżno byłoby opisywać żal poczciwej staruszki, kiedy sama jedna została w osierociątej chacie. Kum jej zakrystijan zlitował się nad nią i wziął do swego domu, bo myśli jej niekupione już w całość widokiem ulubionego dziecięcia rozprzęgły się zupełnie. Zdzieciła do tego stopnia, że bez cudzej opieki umarłaby siedząc na miejscu i myśląc tylko o Bogu i o swoim Jerzym. Spoczątku wyglądała od niego wiadomości, pytała każdego czy jej nieprzynosi listu, chodziła codzień na pocztę; potem straciwszy wszelką nadzieję, wybrała sobie miejsce przy oknie i całe dnie przesiadywała nieruchoma, patrząc na ulicę, po której wyjechał jej wychowanek. A Jerzy? — Jerzy przyjechał do Warszawy, oddał listy, poznał się z kilkoma uczniami uniwersytetu, badał, pytał, wywiadywał się u każdego, dla czego wybrał ten fakultet a nie inny? i nareszcie rzekł sobie, będę doktorem! w naszych czasach jest to stan powszechnie uważany, karijera niezależąca od rodu, szlachectwa, protekcji, lecz jedynie od zdolności umysłowych, a co najważniejsza, jest to jedyna droga na której biedny człowiek może napewno dorobić się majątku; będę doktorem.

W kilka dni potem zaczął uczyć się na medycynę. Jak w Siedlcach tak w Warszawie utrzymywał się z prywatnych lekcji, uczył się gorliwie, odznaczał się międky kolegami, skarbił sobie łaski profesorów i starał

się zabierać znajomość z dziećmi bogatych rodziców, przez których wcisnął się do wielu domów w Warszawie. Było to wczesne i ostrożne przygotowanie do przyszłego zawodu.

Jerzy zgłębiał medycynę z zapałem, nie dla tego, żeby w niej widział jedną z tych szlachetnych nauk, które bezpośrednio są przeznaczone dla polepszenia losu człowieka na ziemi, ale dla tego, że upatrywał w niej klucz do skrzyni z pieniędzmi. A pieniądze dla tego człeka były *kwintessencją* szczęścia. Cóż to jest szczęście? pytał często sam siebie; zapewne nie wysokie miejsce w towarzystwie, ani honory, ani władza, bo to wszystko bez pieniędzy jest tylko ciężkim brzemieniem w życiu. Cnota, uczciwość i pożyteczna dla społeczności praca nie prowadzą też do szczęścia, bo ludzie żyjący podług tych prawideł cierpią — o i bardzo cierpią! Mądrość i sława jeszcze nikogo nie nakarmiły i nie ogrzały. Wszystkie te duchowne łakocie każdy chwali, ale nikt na nich nieprzestaje. Pieniądze i zdrowy rozum, oto najlepsza rękojmia szczęścia w naszym wieku. Trzeba się starać o pieniądze, bo dziś wszystko się sprzedaje, wszystko trzeba kupić. Wszystkie cztery żywioły poszły na frymarkę. Najmniejszego kawateczka ziemi nienazwiesz swoim, póki za niego niezapłacisz, niebędziesz miał przytułku, póki niekupisz sobie kilku sążni kubicznych przestrzeni, nie będziesz miał wody,

ani ognia w kwaterze, póki ich nie nabędziesz za pieniądze. Człowiek kupuje życie u piekarzy i rzeźników, oświecenie u profesorów i typografów, radość, sławę, przyjaźń kupuje; kupuje nawet obronę od śmierci, kiedy mu się uda, u doktorów i aptekarzy. O trzeba się starać o pieniądze! Po rozwiązaniu tej ważnej filozoficznej kwestij, siadał zwyczajnie do książki i z nowym zapałem zgłębiał tajniki swego przyszłego zawodu.

Pewną razą wracając z lekcij Osteologii w deszcz ulewny i szarugę, Jerzy dumał nad tym, dla czego też to u człowieka taka zawikłana organizacja kościogłowu? i jak trudno będzie mu oznajomić się ze wszystkimi kosteczkami w części wierzchniej, dolnej, z boków i wewnątrz? w tej samej chwili nowa myśl błysnęła w zakątkach własnej jego głowy. Moi koledzy pomyślał sobie, będą się uczyć zapewne z figur... co figury! ażeby pojąć skład kościogłowu, trzeba go mieć przed oczyma; dostanę sobie trupiej główki." Mógł był wprawdzie znaleźć trupa główkę, albo model w uniwersytecie, ale do domu by mu może niedano, zresztą nie chciał prosić o to, co samemu nie trudno dostać. Przypadkiem w tym samym momencie spotkał go zmoczony deszczem, żyd faktor, który mu często sprzedawał rozmaite rupiecie.

"Żydzie mam do ciebie interes" zawołał Jerzy i pociągnął go pod bramę.

„Ny! a co Jegimosci pocieba? mozie pońcochy? mozie buty? mozie majtki....

„Głupis̄ żydzie!

„Ny! i co z tegie ze aspan mądry?... dla tegie aspan akademik, a ja zid.

„Chciałem ci powiedzieć żydzie, żebyś mi dostał trupiej główki; dam ci złoty.

„Cegie? cegie aspan chces?... i wylupił oczy.

„Trupiej główki z waszego kierkuta — rozumiesz?

„Herstu! aj waj! a na co to aspanu taki trupi główka?

„Co tobie do tego durniu! będę się uczyć na niej.

„Och! dla cegie aspanu nie ucyc się na ziwej główkie? wszakże u aspana jest główka, po co aspan chces jesce drugie główki od umarłych zidziów. Och nie trzeba umarłych zacipiać.... tegie nie mozna za zadne pieniądze — i nieczekając dalszej rozmowy, popłynął z wiatrem po błocie, mrużąc długo pod nosem: Herstu, a gojl...

„Bestija żydzisko! rzekł sobie Jerzy, wydrze człowiekowi ostatni grosz, okpi, oszwabi rodzzonego ojca, a dla trupiej główki ma jakiś zabobonny szacunek i niechce nawet przyjąć pieniędzy. Tchórz! w tym cały sekret, trzeba poprosić Jana, ten lubi gorzałeczkę, i nie pożałuje nóg na Powązki.

„Janie! rzekł do stróża wchodząc do swego domu.

— „A co Panu potrzeba? zapytał Jan czerwony i cokolwiek w czubku.

„Oto widzisz, uczę się doktorstwa i potrzeba mi ko-
niecznie trupiej główki, czy nie mógłbyś pójść na Po-
wązki i przynieść mi jedną; dalbym ci złoty.

— „W Imie Ojca i Syna i Ś. Ducha, co też to Panu
przychodzi do głowy panie Jerzy, rzekł oburzony Jan,
żartować zemnie tak dziwnie.

„Ja wcale nieżartuję mój Janie, istotnie potrzeba mi
trupiej główki.

„Co z Panem się dzieje! zawołał Jan — jako mo-
żna czerepy umarłych zbierać z Bożej ziemi, na której
do dnia sądnego powinny doleżeć? za żadne pieniądze
nie zrobię tego grzechu!

„Janie, jaki żeś ty cymbał! cóż to złego, że trupia
główka będzie leżeć u mnie na stoliku? wszak to kość,
nic więcej.

— „Kość! kość! to prawda panie Jerzy, ale kość ludzka,
a nie psia; kość umarłego, pokropiona od księdza święco-
ną wodą. Wiesz Pan, że ręka odpadnie temu, kto bez-
bożnie dotyka się takiej kości. Daj mi Pan pokój i
odszedł oburzony.

„Ciemne chamskie plemiel mruknął pod nosem Je-
rzy, zabije żywego, a uważa za grzech dotknąć się cze-
repa, co się wała po smętarzu. Niema rady, trzeba iść
samemu na Powązki.

Jerzy nie lubił odkładać, kiedy chodziło o medycynę, niezważając więc na deszcz ulewny, najął doroszkę do Powązek. Doroszkarz wytrzeszczył oczy, i odmykając powóz rzekł rozczulony jakby nawiasem. „Pewnie Panu niedawno umarła matka?”

„Umarła, odpowiedział akademik machinalnie, żeby niezawiazywać rozmowy.

„I Pan w taki deszcz jedziesz się modlić za jej duszę? podchwycił gadatliwy doroszkarz.

„Jadę, bąknął Jerzy.

Doroszkarz zaciął konie i w milczeniu zmówił *uściczny odpoczynek* za duszę matki tak czulego syna.

Przyjechawszy na smętarz; Jerzy szybkim krokiem pobiegł do kruchty. Znalazłszy stos zbielonych kości, wyciągnął trupię głowę i wracał z nią spokojnie, w tym pokazał się z budy dziad kościelny, i zawołał: „a po co to Pan bierze z sobą?”

„Potrzeba mi mój pocziwce, odrzekł Jerzy.

„A na co?”

„Powiadam ci że mi potrzeba, będę się uczył doktorstwa.

„Nie doktorstwa zawołał dziad, ale farmazonstwa jakiegoś, żaden doktor nie przychodzi tu kraść kości umarłych. Wstydź się wasan! ot lepiej pomódl się za grzeszną duszę.

„Co mi tam pleciesz stary, krzyknął rozgniewany

Jerzy. Każdemu wolno wziąć to, co do nikogo nie należy.

„Niewolno! odparł dziad odważnie, i dodał szyderczym głosem, waspan powiesz, że i z kościoła wolno wynosić co się komu podoba? a na co smętarz ogrodzony? he?

W tym drugi dziad nadszedł pierwszemu na pomoc, Jerzy spostrzegł że siłą nic nie zrobi, ułagodził się więc na pozor i rzekł: „no mój kochany, kiedy powiadasz, że mi nie wolno wziąć tę trupię główkę, to przecie musisz wiedzieć kto tego zakazuje?

„Kto zakazuje? a to szmieszne pytanie, zawołał dziad; Pan Bóg zakazuje, ksiądz pleban zakazuje.

„Do Boga daleko mój kochany, pójdziemy więc do księdza plebana, to najkrótsza sprawa.

„Pójdziemy! zobaczemy! odpowiedział dziad z pewnością. I poszli.

„Księżę dobrodzieju rzekł Jerzy do plebana, jestem uczniem uniwersytetu, chodzę na medycynę i dla jaśniejszego pojęcia Osteologii, potrzebuję trupiej główki. Sądziłem, że taką bogatelę, taki kawał kości, co się wała po smętarzu, można wziąć bez wszelkiego pozwolenia, ale dwóch upartych dziadów, żadnym sposobem niedają mi zabrać ten klejnot bez pańskiego rozkazu. Spodziewam się, że ksiądz dobrodziej jako człowiek oświecony i pojmujący ile ludzkość może wygrać od

postępów medycyny, nie wzbronisz mi tej drobnostki.

Starzec spojrział na niego z bolesnym zadziwieniem.

„Czy księdza dobrodzieja zadziwia moja prośba? spytał Jerzy.

„Nie prośba twoja dziwi mnie młodzieńcze, odpowiedział pleban, ale ten ton lekkomyślny, suchy i zimny, z którym ją wyrażasz. Słyszę że mówisz mi coś o tem ile ludzkość wygra, od postępów medycyny? o wierz mi moje dziecko, że ludzkość daleko więcej by zyskała, gdyby młodzież uczono nienazywać kości umarłych bagatelą, drobnostką; gdyby każdy szczątek umarłych budził w młodych umysłach pojęcie śmierci, wieczności i Boga, gdyby kształcono więcej serca jak rozumu.

„Może być, że się źle wyraziłem; podchwycił Jerzy niecierpliwie. Więc przepraszam księdza dobrodzieja, ale nie moja w tym wina prawdziwie. Te zabobonne dziady spostrzegłszy, że biorę trupią główkę, przyjęli mię za jakiegoś heretyka, i zepsuli mi humor swoim fanatyzmem.

„Te zabobonne dziady mają słusność; odpowiedział ksiądz. Z żalem, z prawdziwym żalem jeszcze raz ci to powtarzam moje dziecko; oni mają słusność. Wprawdzie żadne prawo Boskie, ani ludzkie niezabrania wyrażnie brać kości ze smętacza, ale każdy to czuje w ser-

cu, każdy ma jakiś religijny szacunek dla tego, co jest godłem śmierci; co przypomina nam, że sami wkrótce umrzemy. Biada temu komu zbywa na podobnym uczuciu, bo to jest zakon całej ludzkości, zakon serc nieoziębionych zepsuciem, i przeciw tego zakonu. postępkim, mową i myślą, popełniłeś pan herezję i świętokradztwo.

„Więc ksiądz dobrodziej odmawiasz mej prośbie.

„O nie mój Panie. Jesteś zbyt mądrym, ażebym miał pozbawić ludzkości tego światełka, które jej obiecujesz. Nie robię ci żadnej przeszkody; wierz jednak słowom starca i duchownego, że żadna nauka niewynagrodzi ci straty, którą poniesiesz przez zaniedbania serca.

„Polecam się pamięci i modlitwom księdza dobrodzieja.

„O bądź zdrów kochany panie, nie zapomnę o tobie w modlitwie, będziesz mi boleśnie pamiętny.

Młody filozof wyszedł pełen szyderskiego gniewu i wracając do miasta z trupią główką, mówił sam do siebie; co też to za pojęcie u tych ludzi; nie dziwię się Żydowi, Janowi i dziadom, ale ksiądz, starzec, człowiek jak się zdaje oświecony!

Jerzy nauczył się doskonale Osteologii. Trupia główka przestawszy mu być potrzebną ponieważ była się po jego stancij, to na stole, to pod stołem, to na szafie, to pod piecem; zależało to czasami od losu, a czasem

od humoru pana akademika. I przybywało młodzieńcowi rozumu do głowy i ubywało mu rozumu w sercu! Tym czasem Małgorzata zwyczajnym trybem przesiadywała samotne dni u okna zakrystijana na starej wsi. Siedziała nieruchoma jak posąg, z ust jej niewychodziło żadne słowo. oprócz zapytań czy niema listu z Warszawy? Całe życie tej kobiety skupiło się w jej wspomnieniach, które długim rzędem i zawsze tym samym porządkiem, ciągnęły się co dzień po osierociałem sercu, jak słońce po niebie. A w nocy sny; sny o przeszłości i o Jerzym, wiecznie o Jerzym!

Pewnego poranku, staruszka ledwie ze snu przetarłszy oczy, zadziwiła wszystkich głośnym wykrzykiem: „będzie wiadomość od Jerzego?”

„Zkądże to wiecie matko? zapytał zdumiony zakrystijan.

„Śniło mi się kumie.

„Niewierzcie snom matko, Bóg wie co się człeku śni a nic z tego nie bywa. Ot, niedawno śniło mi się, że był biskupem; i cóż? czy ja biskup?

„Ależ to kumie nie taki sen jak mój. Ja widziałem we śnie duszę matki Jerzego i ona mi powiedziała, że dziś otrzymam o nim wiadomość.

Zakrystijan ruszył ramionami i nśmiechnął się, staruszka usiadła na zwyczajnym miejscu przy oknie.

Pierwszy zimowy mróz pokrywał szyby śnieżnemi

kwiatami, przez które nie można było widzieć Bożego świata. Małgorzata jednak nachyliła się ku oknu, i oddechem stopiwszy powoli część szronu, odkryła dla siebie ulicę. Cały dzień przeszedł na próżnym oczekiwaniu, staruszka jadła i piła nie wstając ze swego miejsca, i nawet kiedy mrok zapadł, została przy oknie nie tracąc nadziei. Wieczorem zakrystijan zadyszany wpadł do izby, wprowadził jakąś kobietę, i obracając się do Małgorzaty rzekł: „Matko! oto jakaś podróżna chce pomówić z wami! Małgorzata siedziała milcząca i nieporuszona.

„Matko! zawołał znów zakrystijan, ta kobieta chce z wami pomówić o Jerzym. Wtedy nagle zabłyśło jakieś światło w oczach Małgorzaty, siedmdziesięcio-letnia, zgrzybiała i słaba zwyczajnie staruszka, która niemogła przejść przez izbę bez cudzej pomocy, zerwała się ze stołka, pobiegła do nieznamomej, i drżącym od radości głosem żądała pisma od Jerzego. Nieznajoma oświadczyła, że nieprzyniosła listu, lecz wiele ma do pomówienia z Małgorzatą o Jerzym. Obie kobiety usiadły przy piecu i długo rozmawiały po cichu. Małgorzata załamywała ręce do góry, płakała z radości jak dziecko, przerywając szlochaniem częstą modlitwą. Widać było, że dowiedziała się czegoś niezmiernie pomyślnego dla swego wychowanka. Nareszcie pożegnała nieznamomę i rzekła do zakrystijana.

„Kumie, jutro trzeba mi jechać do Jerzego.

„Matko! zawołał osłupiały z zadziwienia zakrystyjan, co się wam dzieje? w takich latach? w zimową porę, do Warszawy, pomyślcie tylko na miłość Boga, wszak to 12 mil.

„Musę, musę jechać, jęknęła rozzwierającym głosem staruszka. Bóg i Matka Najświętsza Częstochowska nie opuszcza mnie biednej, musę go jeszcze raz widzieć przed śmiercią, mam dla niego dobrą nowinę, musę mu ją sama powiedzieć. Sprzedaj moją całą chudobę i najmij furmankę do Warszawy.

„Aleć matko, jakże go najdziecie w Warszawie? wszak to nie Siedlce.

„Wy nic nie wiecie rzekła spokojnie Małgorzata, bo on was nie obchodzi, a ja wiem od ludzi, że Jerzy pisał do księdza proboszcza; ksiądz probosc mu odpisał, więc musi wiedzieć gdzie on mieszka.

Zakrystyjan szczyił się względami proboszcza i dla tego odpowiedź Małgorzaty ubodła go do żywego. Na twarzy jego pokazał się złośliwy uśmiech, natężył głos ażeby go wszyscy słyszeli i zawołał: Oj matko, matko! słaba u was pamięć, wszakże to ja wam mówiłem o tem, ksiądz proboszcz sam mi pokazał list Jerzego, i prosił żebym was uspokoił nowiną o dobrym zdrowiu i powodzeniu waszego kochanego dzieciny.

„Daruj kumie wyleciało z pamięci; ale pamiętaj, że jutro jadę do Warszawy.

„Jedziemy, odpowiedział udobruchany zakrystijan; pojadę z wami matko, bo sami ani jednej mili niezrobicie. I tak boję się żebyście na drodze niezapadli.

„Nieboj się kumie, jak zobacę Jerzego to już chyba wtencas będziecie miał biedę zemną?

Od tejże chwili staruszka zajęła się przygotowaniem do podróży. Zdawało się, że jakaś tajemnicza siła wpłynęła w stare jej kości, krzątała się po domu, zbierała swoją ciepłą odzież i niedawała pokoju zakrystijanowej, póki nieprzygotowano gościniec dla Jerzego, składający się z masła, serów, suszonych owoców i innych wiejskich łakoci.

Na drugi dzień wyjechali. Zakrystijan kilka razy chciał wracać do domu, bo siły staruszki od trudów podróży i cierpkiej zimowej pogody widocznie ją opuszczały. Małgorzata jednak zносиła wszystko cierpliwie, żadna skarga, żadne westchnienie, żaden jęk boleści niewychodziły z jej ust: z oburzeniem oddalała od siebie wszelką myśl o powrocie do domu. Jedźmy! jedźmy! wołała nieustannie, a cy daleko jesteście do Warszawy? Nareszcie przejechali przez Wisłę świeżo ściętą lodem, lód był słaby i trzeszczał, choć dla większego bezpieczeństwa uarzucono na niego słomy i pojedynczo puszczano przejeżdżających; zakrystijan lękał się i żałował, że się dał

namówić do podróży, staruszka modliła się i była spokojna. Mieszkanie Jerzego znaleźli łatwo podług adresu proboszcza. Staruszka drapiąc się po ciemnych schodach na czwarte piętro, drżała od radości, cała jej istota była ożywiona tą myślą, że obaczy swoją drogą dziecko i ten zbytek uczuć osłabił ją do tego stopnia, że kiedy weszła do izdebki Jerzego, rzuciła mu się tylko na szyję, krzyknęła i zemdląca. Zmierzchało się właśnie. Jerzy siedział zamyślony przy stoliku, kiedy weszła Małgorzata, usłyszał nagle głośny krzyk, Jerzy! moja dziecino! a potem uczuł gwałtowne uściśnienie staruszki. Zapomniawszy od dawna o poczciwej kobiecie, która wypielęgnowała go z czułością matki, młody akademik był cokolwiek przestraszony całą tą sceną, wcale nie był kontent z niespodziewanej wizyty i przywitał się dość zimno z zakrystijanem.

Zakrystijan pokazał mu na staruszkę, która powoli wracała do przytomności.

„Cóż was sprowadza Małgorzato? zapytał Jerzy?

Staruszka trzymając na nim wzrok sztywny, błyszczący ostatnimi łzami życia, w napływie rokosznych uczuć niemogła się zdobyć na odpowiedź. Zakrystijan ją wyręczył i rzekł: „przyszła was zobaczyć Panie Jerzy i powiedzieć wam kto byli wasi rodzice.

„Moi rodzice! krzyknął z radością Jerzy, mówcież Małgorzato, o! przez litość nademną, mówcież prędzej!

„Daj mi się napatrzeć na ciebie moje dzieciątko, bo to jest ostatnia radość dla moich oczu na ziemi.

„Alboż niemożecie patrzeć i mówić Małgorzato.

„Prawda moje dziecko, powiem ci wszystko, tylko bądź cierpliwy, język mój na starość zrobił się zbyt powolny, nie mogę mówić prędko. I opowiedziała mu często odpoczywając to co słyszała owego wieczora od nieznanym na starej wsi. Powieść staruszki niepodobno nam zachować w oryginalnej formie dla tego, że się do niej mieszało zbyt wiele pobocznych ustępów i wspomnień; przedstawimy ją więc skróconą i ile możności uporządkowaną.

Była w Lublinie pewna wdowa, biedna kobieta, nazwiskiem Żubrowa i miała córkę jedynaczkę, którą kochała nad życie. Jeden młody oficjalista z Trybunału słysząc od kogoś o piękności Marij Żubrowej, do późny nie miał pokoju, póki jej niezobaczył i przekonawszy się, że istotnie zasługiwała na te pochwały, które oddawano jej postaci, powziął nieuczciwy zamiar uwieść biedną dziewczynę. Szatan w takim razie nigdy nieodmawia swojej pomocy. Oficjalista w krótkim czasie dopiął zamiaru i potym obojętnie porzucił dziewczynę. Marija się utopiła. Żubrowa ledwie nie umarła z rozpacz; chorowała długo i niebezpiecznie; potem chciała drogą prawną poszukiwać zemsty i kary na zabójcę swjej córki; ale czyż prawa ludzkie mają, czy mieć mogą do-

stożną karę na zbrodnie tego rodzaju? Zbrodnie okropne, bo to jest najwyższe okrucieństwo, zabójstwo wstydu, poczciwości, całej przyszłości dziewczęj, wszystkich jej marzeń; zabójstwo serca i co więcej zabójstwo duszy! O! bezsilne są prawa całej ziemi na takie występki! a opinija publiczna toleruje tę nikczemność i często nawet poklaskuje nikczemnikom! Żubrowa widziała, że wszystkie skargi nieulżą jej żalu, zdała więc zemstę na Boga, pewna będąc, że niebo skarże prędzej lub później zabójcę Marij. Czasami piekielne myśli dręczyły Zubrowę, osobliwie kiedy spotykała rowiennice Marij, pięknie ubrane w dzień świąteczny, albo jeszcze gorzej, kiedy się kojarzyło młode małżeństwo. Krajało się serce matki z bólu, widząc jak mogła być szczęśliwą, i jak całe te szczęście wydarł jej jeden człowiek. W podobnych chwilach, gotowa była zabić tego człowieka. Tym czasem oficjalista po kilku latach rozwiązłego życia, pokochał nareszcie młodą i bogatą pannę i w krótkce z nią się ożenił. Po roku Bóg dał mu syna, i wtedy.... Wszak dzieją się dziwne rzeczy na świecie! wtedy w sercu dotąd zepsutym, odezwało się pierwsze czyste uczucie — miłość ojcowska. Ojciec ubóstwiał pierworodnego swego syna, najlepsze jego uczucia skupiły się na tym dziecięciu, doszedł do takiego exaltowanego przywiązania, że cały Lublin i śmiał się i dziwił się. Byli tacy, co w tym nadzwyczajnym

afekcie do dziecka widzieli rodzaj obłąkania. Żubrowa dowiedziała się o tem i dziwnie się przemieniła. Całe dnie mimowolnie marzyła o tym dziecięciu oficjalisty, ani rozrywka, ani praca, ani żadne zajęcie się nie mogły oderwać ją od tej myśli. Widziała nieustannie obraz dziecka przed swemi oczyma. A w nocy śniło jej się dzieciątko. Kiedy go raz zobaczyła z piastunką na rynku, ręce jej wyciągnęły się mimowolnie naprzód, żeby go porwać, przeleżała się sama siebie i uciekła do domu. Odtąd szatan widocznie zaczął ją kusić, jakiś głos szeptał jej wyraźnie do ucha: „wykradnij tę dziecię, zemścisz się za Mariją. Powoli przyzwyczała się do tej myśli, zrobiła sobie z niej obowiązek, zdecydowała się na wszystko. „Prawda mówiła sobie Żubrowa, że tu niewinnie będzie cierpieć biedna matka, która mi nic nie zrobiła; żal mi tej kobiety, ale cóż robić? niechajże jej cierpienie Bóg wynagrodzi w niebie.” Nareszcie po długim wahaniu się upatrzyła pomyślną porę, wykradła dziecię i uciekła z Lublina. Objawienia stroskanych rodziców w gazetach i kroki urzędowe, zostały bez żadnego skutku. Niepoczyszony ojciec z sechł, z żółkniał, zgarbił się od żalu, matka dostała suchot, wyjechała do Warszawy i tam po kilku miesiącach umarła. Żubrowa z wykradzionym dzieckiem, miała udać się do swoich krewnych w Podlaskim, lecz uląkłszy się własnego postępku i chcąc usunąć od siebie wszelkie podejrzenie

podrzuciła go zamożniejszym wieśniakom na starej wsi pod Siedlcami, a sama wróciła do Lublina. W samej rzeczy nie padło na nią żadne podejrzenie. Po kilku latach wszystko się uciszyło, tem bardziej, że ojciec dziecięcia powtórnie się ożenił. Żubrowa także ochłonęła od zemsty, chciała wszystko poprawić, ale bojaźń kary wstrzymała ją od tego kroku. Nareszcie przed śmiercią opowiedziała sąsiadce całą historję i pod przysięgą wymogła na niej żeby wyszukała dziecko i wróciła ojcu. Owoż dla czego nieznaną kobietą przybyła do Małgorzaty na starą wieś. Nieznalazła Jerzego, i zdała całą sprawę na jego opiekunkę.

Jerzy, który cały czas cierpliwie słuchał opowiadania Małgorzaty, zerwał się z miejsca, kiedy skończyła powieść i zawołał zachwycony: „Więc ojciec mój żyje! jakżem szczęśliwy! żyje i bogaty! ale niepowiedzieliście mi jak się nazywa? Boże mój powiedzcie mi prędzej.

„Wiem jak się nazywa rzekła staruszka, pocekaj zaraz ci powiem. Jezus Marija! cy niezapomniałam? matka twoja nazywała się Helena.

„Ale ojciec? ojciec? na miłość Boga.

„Poczekaj... poczekaj przypomnę sobie, bądź spokojny, to nazwisko zagrzęzło jakoś w moim sercu, ale dobędę go, będzieś wiedzieć wszystko. Zapal tym ca-

sem świecę, bo już ciemno, ocy moje niewidzą ciebie, zapal prędzej świecę.

„Może wacpan pamiętasz? spytał Jerzy zakrystijana.

„Nic nie wiem o tem, odpowiedział zakrystijan.

Staruszka przypominała sobie zapomniane nazwisko. Jerzy dobył świecę i z pośpiechem szukał lichtarza, ale go nie mógł znaleźć. Nareszcie z niecierpliwionym porwał coś z szafki, rzucił z głuchym łoskotem na stół, zapalił świecę i wstawił ją — w trupią główkę. Dziury od oczu, nosa i dwa rzędy zębów były zwrócone w stronę staruszki i zakrystijana.

To niespodziane zjawisko trupiej główki z zatkniętą w niej świeczką nadzwyczajnie przestraszyło zakrystijana, zdrzął cały i krzyknął: „Jezusie Nazareński królu żydowski zmiłuj się nad nami! w Imie Ojca, Syna, Ś. Ducha! Matko! patrzcie no w czym Pan Jerzy świecę zapalił! Łaska Boża z nami.

„O Boze! do czego ja dożyłam! krzyknęła przeraźliwym głosem staruszka; on djabłu dusę zapisał! — i upadła jak długa na ziemię. Jerzy i zakrystijan rzucili się do niej, przyskali zimną wodą i odcierali, ale napróżno, ciało staruszki stygło powoli, usta długo jeszcze szeptały pobożne jakieś słowa, dogorywające spojrzenie stało kołem na rysach Jerzego, nareszcie wszystko się skończyło; zeszywniała, umarła.

„Apoplexia! krew ją zabiła rzekł po niejakim czasie akademik.

„O nie krew! Panie Jerzy, odparł z cicha zakrystyjan; żal ją zabił!

„Jaki żal? zawołał cierpko Jerzy, czego? kogo? jej żałować.

„Ciebie, ciebie, człowiecze! odpowiedział zakrystyjan. Ona ciebie za wiele kochała, znosiła twoją oziębłość, niewdzięczność, nie szemrała na twoje kamienne serce, ale niemogła przenieść tej myśli, żeś zgubił twoją duszę na wieki.

„Czy wasan oszalał? wrzasnął z gniewem Jerzy — zkąd sobie wbiłeś do głowy, żeś ja djabłu duszę zapisał?

„Mój Panie Jerzy, pobożni ludzie niekradną kości umarłych ze smętarza, a kiedy je znajdują w nieprzyzwoitem miejscu, to odnoszą na mogiłki, mówiąc z uszanowaniem wieczny odpoczynek. Pocóż ty używasz trupiej główki zamiast lichtarza?

„O zabobonność! wołał Jerzy biegając po pokoju jak szalony; o gusa! o ciemnoto! i powiadają, że nasz wiek oświecony! kłamstwo wierutne; gorzko pomyśleć jak głupi dotąd naród ludzki! kawał kości na pół przepróchniałej, którejby pies niedotknął zębami, rachują ją kąs świętością, żegnają się i uciekają od tych co nie dzielą ich grubych przesądów....

„Panie Jerzy, przerwał spokojnie zakrystyjan, może

być, że Pan jesteś bardzo mądry, ale wierz prostakowi, którego rzadko myślą przeczucia; źle i niegodziwie robisz pomiatając kośćmi umarłych jak śmieciami albo błotem.

„Co mi do twego przeczucia, stary głupcze! zawołał z gniewem Jerzy; wasze zabobony narobiły mi więcej złego, jak ty pojąć możesz swoim ciasnym rozumem. Oto patrzaj, ta baba ukradła mi najważniejszą w życiu tajemnicę i uniosła ją z sobą ze świata.

„Nie będzie nad tobą błogostawieństwa Bożego! jęknął zakrystijan, zamyślił się głęboko i spytał po chwili: cóż myślisz zrobić z ciałem Małgorzaty?

„Aspana to rzecz, albo Policij, obojętnie odpowiedział akademik.

Zakrystijan w milczeniu zarzucił na siebie ciało Małgorzaty i wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Kiedy ucichło na schodach ostatnie echo jego kroków, Jerzy rzekł sam do siebie: „dobrze że się to już raz skończyło! ostatni ślad mego chłopskiego wychowania zatarł się; teraz nie mam na sobie żadnych obowiązków. jestem zupełnie swobodny! a to w życiu niebagatel! Tylko ta tajemnica, ta przeklęta tajemnica! ale mniejsza oto; jest głowa na karku, wola i nadzieja, reszta się znajdzie.

Na drugi dzień nikt by był nie dostrzegł śladu tej

sceny na twarzy Jerzego. Był spokojny, obojętny. uśmiechający się i drwinkujący jak zwyczajnie.

Po jakimś czasie odwiedził go jeden z kolegów uniwersyteckich, chłopiec uczęszczający na fakultet Filologii; spostrzegł trupa główkę, obejrzał ją na około i zapytał, czy znajome mu wiersze Bajrona na czaszkę, która służyła zamiast kielicha?

„Ja nie czytam takich bredni” odpowiedział Jerzy.

„Wcale nie brednie mój kochany, odparł filolog, piękne wiersze, a nadewszystko myśl cudownie poetyczna, pić wino z trupiej główki.

„Nie rozumiem twojej poezji, ale kiedy Bajronizm tak ci się podoba, dla czegoż sobie niekażesz zrobić całego serwisu stołowego i herbatnego z trupich kości?”

„To za wiele! ale daj mi tę główkę, każę sobie zrobić z niej filiżankę.

„Weź ją, weź mój poeto! bardzo jestem kontent, że się mogę przysłużyć twojej weni, bo dawno już chciałem wyrzucić ten gnata na śmiecie. Niemało on mi struł pokoju.

Poeta był niezmiernie łakomy na cudze historije, nie dla tego żeby los drugich dotykał go mocno, ale dla tego, że w podobnych opowiadaniach, można często znaleźć przedmiot dla napisania kilku wierszyków, albo powiastki; pochwyć w locie jaką zbłąkaną myśl ro-

mantyczną albo wydatny i oryginalny charakter. Prosił więc usilnie o historię trupiej główki.

Jerzy opowiedział mu rozmowę swoją z żydem, Janem, dziadem kościelnym i plebanem na Powązkach i zakończył wszystko komiczną powiastką, o starej babie która wieczorem zabłądziwszy do niego z serami na sprzedaż, spostrzegła świecę palącą się w trupiej główce i ledwie nieumarła ze strachu wrzeszcząc jak opętana, że ten farmazon djabłu duszę zaprzedał.

Filolog z początku opowiadania swego kolegi, trzymał się za boki od śmiechu, potem stopniowo stracił wesołość, czoło jego zasępilo się, pożegnał się obojętnie z Jerzym i obiecał przystać służącego po trupią główkę. Jednakże nie przysłał.

„Jeszcze jeden fanatyk! rzekł sobie Jerzy, po kilku dniach, nic dziwnego! poeta. Ci panowie składają pokolenie najzapamiętalszych głupców. Każdego innego głupca można z czasem przekonać; poeta odwołuje się wiecznie do kawałka mięsa odwilżonego krwią; do serca. Rozum u niego nic nieznaczy; on ma swoje przecucia, instynkta, marzenia, ideały i tysiąc innych niedorzeczności. Poezija jest to usposobienie do deklamowania i warijacji nic więcej.

Trupia główka znów poniewierała się w stancji akademika. Czas leciał. Jerzemu zostawało już tylko kilka miesięcy do skończenia kursu. Pewną razą wszedł do

niego jeden z młodych ludzi, którzy skwapliwie w owym czasie rzucili się do kranoskopij Galla. Kranoskop postrzegłszy trupią główkę pod łóżkiem, wziął ją do ręki, nakreślił na czaszce linije organologiczne; zmierzył kilka odległości i rzekł z widocznym zadowoleniem, „jest to głowa kobiety, bardzo czulej, bogobojnej, niezmiernie przywiązanej do dzieci. . .

Jerzy nie dał mu dokończyć: „Żal mi ciebie, zawołał szydersko, biedny systematyku z twoją Frenologiją, Kranologiją, Kranoskopiją, czy jak ją tam nazywacie. Twoje prorokowanie zmartwej kości o charakterze człowieka za życia wydaje mi się tak śmiesznym, jak gdybyś z kawałka bifszteksu sądził o sile wołu, poki wół nie poznał się z rzeźnikiem i kucharzem. Kiedy chcesz poznać człowieka, patrz na niego własnymi oczyma i patrz nie wtedy, kiedy on zdrow, bo w zdrowym oprócz aktorstwa, kłamstwa i fałszu nic więcej niedostrzeżesz; ale obserwuj i zgłębiaj go wtedy, kiedy choroba zwali go na pościel, kiedy niemoc i strach śmierci odejmą mu chęć oszukiwania drugich, słowem badaj człowieka wtedy, kiedy cierpienia fizyczne tak jak krosty wyrzucą na wierzch wszystkie brudy moralne. U łoża to choroby mój Kranoskopie trzeba śledzić ludzkie charaktery.

Kranoskop, jakkolwiek oziębiony swoim systematem wzdrygnął się mimowolnie na tę nową i tak Nielitości-

wie rzuconą myśl doktorską: „Niechciałbym być takim medykiem! zawołał po chwili zadumania.

„Bo niepojmujesz, jak ważnym jest dla człowieka znać tych, z którymi wędruje po ziemi. Gdybyś przeniknął w głąb duszy jednego człowieka; gdybyś rozumnie pojął jeden tylko charakter, chociażby to był twój własny, wierz mi, że do śmierci nie przestałbyś badać ludzi wszelkimi sposobami. Oprócz rzeczewistego użytku jest w tym jeszcze jakaś niewypowiedziana rokosz wiedzieć jak na dłoni głupstwo i nikczemność osób, które drudzy otaczają szacunkiem i uwielbieniem. O! ty tego niepojmujesz, jak wygodnie i przyjemnie mieć w każdej chwili gotowe *antidotum* przeciw miłości, przyjaźni, szacunku, admiracji, i w ogólności przeciw wszystkim tumanom, które mroczą nam zdrowy rozsądek, krępują swobodną wolę i sprowadzają z drogi po której idziemy do pewnego celu.

„Słuchaj Jerzy, rzekł zdziwiony Kranoskop; albo ty dziś pijany, albo zaczynasz warijować, że mi się otwarcie przyznajesz z podobnemi maksymami? gdzie się podziała twoja ostrożność? Jerzy ukąsił się w dolną wargę i pomyślał sobie: „Wypaplałem się niepotrzebnie! przekłęty kranoskop! Trzeba to poprawić! Niepokazując na sobie żadnej zmiany, rzekł spokojnie: „Aaa! więc poruszyłem nareszcie serduszko aspana; otoż widzisz, do czego by to doszło, gdyby kranoskopija stała

się popularną. Widzisz jak wielkie mogą być nadużycia w naukach o człowieku.

„Cóż to znowu? rzekł zdziwiony Kranoskop, czyż to były żarty?

„Nie żarty, ale mała nauka dla ciebie.

„Bądź zdrów Jerzy.

„Bądź zdrów! cha, cha, cha! jak umrę obejrzyj moją czaszkę, dowiesz się na pewno mego charakteru.

„Dziwny z ciebie człowiek mój Jerzy; nie wiem prawdziwie jak o tobie myśleć?

„Najlepiej wcale nie myśl o mnie.

Wkrótce potem los trupiej główki znacznie się polepszył. Jerzy zaczął medyczną karierę i powodziło mu się niezle. Miał przyzwoite mieszkanie, dość dobre meble i jeśli w pokojach brakowało wykwińtości, to brak ten wynagradzał się w części porządkiem i *holenderską* czystością. Trupia główka stała na stoliku między puszką od tytoniu i brązowym pieśkiem do przy-ciskania papierów.

„Comme c'est piquant! rzekł raz pewien z przychodzących do Jerzego pacjentów; une tête de mort, między cackami, c'est à l'Egyptienne; à la Radeliff! Młody doktor lubił przysłużyć się, jeśli go to nic niekosztowało, ofiarował więc trupią główkę do gabinetu swego pacjenta.

„Nie doktorze! odparł pacjent, bardzo grzecznie „pas

si bête! żenię się w krótcie; nie chcę stawiać w gabinecie straszdyło dla żony. Przyjmę podarunek, jak mi towarzystwo kochanej żoneczki zbyt dokuczy. En attendant, j'admire votre idée, więcej nic.

„Znów ta sama historija! pomyślał sobie Jerzy. Ten zabobon ma tysiąc form i ciągle wychodzi na jaw, jak szdyło z worka.

Kiedy człowiek ma mocną wolę lżejszą drogą dojść do celu, to ją zwyczajnie znajdzie. Jerzy z pierwszych kroków swego zawodu spostrzegł, że idąc zwyczajnym trybem nieprędko zrobi sobie reputację; przyczepił się więc do najstawniejszego doktora w Warszawie, znalazł sposób być mu użytecznym; powolnością, skromnością i udanym szacunkiem wkraść się powoli w bliższe z nim stosunki, i nareszcie dokazał tego, że podeszły weteran medycyny przewidując w nim biegłego lekarza, wszędzie woził go z sobą. Jak tylko minęło niebezpieczeństwo, doktor Proszkowski zdawał pacjenta młodemu swemu koledze, dla dokonania kuracji. Takim sposobem Jerzy dał się poznać z najlepszej strony w pierwszych domach Warszawy. Sledził charakterzy podług swojej metody u łoża boleści i każdego prawie chorego przemieniał w trąbę głoszącą po całym mieście wielkie jego medyczne zdolności. Po kilku latach Jerzy otrząsnął się zupełnie z biedy, co się zaś tycze reputacji, stał na równi z P. Proszkow-

skim, a może i wyżej, bo o tamtym pomawiano często, że chociaż to człowiek zdolny, ale zbyt już stary. Pocziwy Proszkowski lubo spostrzegał niejaką zmianę w opinii publicznej, niezastanawiał się jednak nigdy jakaby tego mogła być przyczyna? Przyzwyczajwszy się do Jerzego, kochał go jak syna, niepodejrzewał w nim niczego złego i był niezachwianym jego protektorem. Miły ten dla starca związek, nie mógł jednak trwać długo, bo każdy fałsz, każde złudzenie prędzej lub później wykrywa się na jaśnią. Jerzy nie lubił iść bitym gościńcem w swej sztuce, głowa jego ciągle wyrabiała nowe systemata w Patalogij i Terapij, często przedstawiał myśli swoje na sąd Proszkowskiego, ale stary doktor rzadko je aprobował. Napatrzył on się dość w swym życiu na zgubne skutki marzycielstwa medycznego, (najzgubniejszego ze wszystkich rodzajów marzeń) i dla tego ciągle powtarzał Jerzemu: „mój młody kolego, strzeż się fantazij w medycynie, bo tu chodzi o życie ludzkie; porzuć poeziją i sławę, a trzymaj się doświadczenia i chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jerzy ustępował na pozór, ale oburzał się w duszy na pedantyzm swego pryncypała; oburzał się tym więcej, że związany okolicznościami, nie mógł ulubione swoje pomysły potwierdzić jaką świetną, głośną, szczęśliwą kuracją. Cierpiał do czasu, nakoniec kiedy sądził, że się już może obejść bez protekcij starego do-

która, postanowił wyłamać się na wolność. Zdarzenie samo się nastąpiło. Zamożny obywatel z Lubelskiego P. Jaręba, starzec przy schyłku szóstego krzyżyka, zapadł niebezpiecznie i wezwał pomocy Proszkowskiego, który podług zwyczaju przyjechał z Jerzym. Opatrzyli chorego, zgodzili się w odgadnięciu choroby, ale w środkach terapeutycznych zaszła między nimi żwawa dysputa. Jerzy umyślnie podwyższał głos, unosił się i wyswobodził się gwałtownie. Stary doktor dziwił się naglej przemianie, choć od niejakiego czasu powinien był się tego spodziewać. Chory wpatrywał się w rysy Jerzego, sledził każde poruszenie na jego twarzy, i chociaż zwątlony gorączką, mało pojmował doktorską dysputę, wyciągnął jednak drżące ręce do Jerzego, i tym znakiem objawił chęć oddania mu się w kurację. Proszkowski niepokazał na sobie ile go to ubodło, ale od-tąd jeździł do swych pacjentów bez towarzysza. Późniejsze postępowanie Jerzego boleśnie rozczarowało poczciwego starca; nie jedna łza spłynęła na zwiędłe jego lice, ale nikt jej nie widział. Kiedy go pytano dla czego opuścił swego kolegę, odpowiadał, że Jerzy nabył już dość praktyki i żadnej więcej niepotrzebuje opieki. Z ust jego nie wyszło nigdy żadne naganne słowo przeciw młodemu doktorowi.

Tym czasem Jerzy uczuł w sobie jakąś niepojętą sympatią dla P. Jaręby. Wprawdzie był to pierwszy

pacient, którego zaczął leczyć podług swoich własnych odkryć w sztuce i miał dla niego ten urok, jak pierwsze wydrukowanie dzieło dla autora; ale oprócz tego Jerzy czuł coś więcej. Pacient widocznie wywierał na niego jakiś wpływ tajemniczy, czego młody doktor nigdy dotąd nie doświadczał. Starzec przesilając ciężką chorobę, za każdą wizytą dłużej go zatrzymywał u siebie, mówił do niego jakimś dziwnie słodkim głosem i nie ustannie patrzył mu w oczy. Kilka razy zapytywał Jerzego, kto byli jego rodzice? ale młody doktor miał dawno gotową odpowiedź na podobne zapytania; mówił że ojciec jego był półkownikiem i poległ pod Lipskiem. Starzec zamyslał się, wzdychał, często łzy błyszczały mu w spiekłych od gorączki powiekach; widać było, że jakieś bolesne wspomnienie błąkało się po pustych zakątkach jego serca. Pani Jaręba siedziała przy łóżku, dzieci nie mieli, a jednak starzec zdawało się ciągle szukał kogoś z istot najdroższych dla niego. Jerzy mimowolnie przyjmował udział w starcu, pragnął pomyślnie zakończyć kurację, ale pragnął osiągnąć celu podług swojej metody. Za nic w świecie nie odstąpiłby od swoich myśli, bo mu chodziło o dowód wyższości swego talentu nad Proszkowskim. Pierwsze recepty sprawiły pomyślny skutek. Jerzy tryumfował. Potem nagle choroba zwątliliła na nowo starca. Przywołano księdza. Jerzy nie zgodził się na konsilium

i tylko wzmocnił dozy. Nakoniec pan Jaręba umarł. Konając jego wzrok zatrzymał się nie ruchomie na Jerzym; widać było, że starzec unosił z sobą jakąś ziemską myśl do wieczności. Jerzy ledwie nie zapłakał z żalu. Niepojmował dla czego, ale jeszcze żaden człowiek tyle go nieobchodził, jak ten starzec. Próżno tłumaczył sobie ten fenomen przez drażliwość nerwów, wpływ dziecinnych pojęć o śmierci, podeszłą starość i t. d. wspomnienie Pana Jaręby długo tkwiło w jego umyśle.

— Reputacja Jerzego nic na tym niecierpiała: „Czas już było staremu umierać! mówili ludzie, daj Boże każdemu doczekać takiego wieku.” Sam Jerzy był tego zdania. Wypadek ten bynajmniej niepoprawił Nowatora, zgłębiał niespracowanie swoją sztukę, marzył jeszcze więcej i wymyślał nowe metody. Niektóre próby udawały się w praktyce i głośno roznosiły sławę jego po Warszawie; drugie zle się kończyły i o tych albo niewiedzano, albo prędko zapominano; boć ród ludzki przyzwyczajony patrzeć na śmierć i uporczywe choroby. Z liczby szczęśliwych kuracji, jedna niespodziana i prawdziwie zadziwiająca miała stonowczy wpływ na los młodego doktora. Jerzy lecząc pewną półkownikową, widywał codziennie jej córkę Elizę u łóża boleści, z okiem niebieskim, pełnym też niewypowiedzianego żalu. Łzy córki lękającej się utracić matkę, są naj-

piękniejsze ze wszystkich łez, które padają na naszą ziemię, wyjąwszy tylko łez matki nad swemi dziećmi. Są to perełki tak czyste, że wieniec z nich uwity nie-skaziłby czoła aniołów w niebie. Jerzy który kiedyś w chemicznej retorcie, rozbierał łzy na pierwiastki i powiedział sobie, że to jest nic więcej jak *słownawa woda*; nie mógł się oprzeć uczuciom wpływającym w kamienne jego serce, na widok jasných brylantów błyszczących w oczach Elizy. Potoki jakiejś tajemniczej siły, przenikły go na skroś i kupiły rozpierchłe iskierki czułości do jednego ogniska. Jerzy walczył wszystkimi siłami zimnego rozumu, lecz wycienczał tylko swe siły w tej walce. Nieznajomy mu dotąd pierwiastek ludzkiej istoty wziął górę. Jerzy kochał Elizę.

Pułkownikowa opłakiwana już przez wszystkich, biegłością Jerzego jakby cudem od wrót śmierci została wróconą do życia. I znów błyszczały łzy na oczach Elizy; łzy wdzięczności; materjalne znamie najwyższego uwielbienia. W szczęśliwej rodzinie, Jerzy był od-tąd uważany za opiekuńczego anioła. Stał się częstym gościem; stary pułkownik nie mógł się nachwalić jego rozumu i nauki; Eliza okazywała mu tysiąc drobno-stkowych względów, jedna tylko pułkownikowa przy swej wdzięczności, przy całym szacunku dla jego talentu, czuła jakąś odrazę od młodego doktora. Są prze-

czucia w matczynym sercu, kiedy chodzi o los dziecięcia! Zdaje się, że anioł stróż, którego ma z nas każdy, ostrzegając na próżno dziecko, co albo niechce, albo nie może go zrozumieć, udaje się do matki i szepcze jej ścicha myśli zbawienne. Jerzy w owym czasie dorobił się już porządnego majątku, sływał doskonałym doktorem i prawdziwie kochał Elizę. Pułkownikowa wszystko to pojmowała, nie miała nic do zarzucenia przeciw tej partij; kogo innego chętnieby przyjęła za swego zięcia, o Jerzym nie mogła pomyśleć bez wielkiej trwogi. Niewyjawiała nikomu swego zdania, ale była pewna, że to musi być zły człowiek.

Odraza była tym dziwniejszą, że miłość znacznie przemieniła Jerzego, stał się daleko tkliwszym na cierpienia ludzkie, uczynniejszym i otwartszym. Znajomi cieszyli się z tak pomysłnej w nim przemiany; służący jego Walenty łamał sobie często głowę nad tem, co się to z jego panem zrobiło? Bywało wprzód kiedy przyjdzie biedna żydówka poradzić się go o chorym dziecięciu, Jerzy pisze obojętnie receptę i żąda od niej dwóch złotych, żydówka zaklina się że jest biedna, że ledwie żyje na Bożym świecie i jeśli mu zapłaci taką kwotę, to dzieci jej przez tydzień przymrą głodu. Jerzy z zimną krwią oddaje receptę Walentemu, mówiąc: „dasz jej jak przyniesie dwa złote,” a zwracając się do żydówki: „znam ja was łajdaczek, wy zawsze biedne, a

jednak zawsze znajdujecie pieniądze. Jeśli choć jednej poradę darmo, będę musiał potem cały Izrael leczyć dla miłości bliźniego — poszła precz."... Wszystko to się przemieniło. Jerzy teraz najczęściej niebrał pieniędzy od biednych i mówił im spokojnie, „idźcie, mam ja drugich co mi za was zapłacą! Tak to najmniejsza iskierka czystego uczucia zatliwszy się w sercu człowieka, kupi do siebie wszystkie dobre pierwiastki, zapala się coraz mocniejszym płomieniem, ogrzewa zamrzwiałe łono i z czasem może go przemienić w skarbnicę cnotliwych, wysokich i chrześcijańskich przymiotów! ale do tego potrzeba łaski Bożej, a tej nie było nad Jerzym.

Miłość przeniknęła całą jego istotę. Nadzieja i wątpliwość miotają na przemian jego duszą. Każde miłe spojrzenie, każdy uśmiech, przyjazne słówko, najpospolitsza grzeczność Elizy, czyniły go niewypowiedzianie szczęśliwym. Marzył jak młody zapaleniec o rokosznym niebie w pożyciu ze swoją ulubioną, budował tysiąc zamków na lodzie, chciał wyznać jej swoją miłość i prosić rodziców o rękę. Przeciwnie każda chmurka na czole Elizy, najmniejsza oziębłość w obejściu, każde grzeczne słówko powiedziane komukolwiek z młodzieży doprowadzały go do szaleństwa. Po takich wypadkach, siedział nie raz noc całą pogrążony w martwym osłupieniu, patrząc na pudełko, w którym były *acidum bo-*

russicum, aqua tophanna, i inne gwałtowne trucizny. Ten człowiek nie rzucał się, nie krzyczał, nie targał sobie włosów na głowie, ale w duszy jego śmierć i życie toczyły rozpaczającą walkę. Stan jego był smutny, sam to pojmował. Sama sztuka wymagała roztrzygnięcia tej ważnej kwestii, bo namiętność odejmowała mu zimną rozwagę, która jest jednym z najważniejszych przymiotów dla każdego medyka. Wszakże dla tej przyczyny, żaden doktor nieleczy w niebezpiecznej chorobie: ani matki, ani żony, ani dzieci, ani siebie samego.

Pewnego wieczora, Jerzy po długim dumaniu wprowadził na jaśnię całe swoje położenie, i postanowił na zajutrz wyznać swoją miłość przed Elizą. „Trzeba to już raz skończyć, rzekł sam do siebie. W tym momencie uczuł samopoznawczą chęć do modlitwy, chciał podnieść głos do Boga, ale nieumiał, bo nieszczęśliwy od śmierci starego Symona, nigdy się niemodlił!... Skończyło się wszystko na tem, że tylko głośno zawołał: „Boże, Boże dopomóż mi.

Nazajutrz, gdy przyszedł do pułkownika, Eliza niepokazywała się w salonie. Powiedziano mu, że zupełnie zdrowa.

„Cóż to? zapytał przestraszony.

„Nic ważnego, odpowiedział pułkownik, skarży się na ból głowy.

Doktor zasmucił się. Ta słabość zniweczyła cały plan,

który sobie był ułożył. Po chwili rzekł ojcu: „trzeba Pannie Elizie dać na noc wypić parę filiżanek rumianku.”

„Wmawiamy jej to zawsze rzekł ojciec, ale nic nie możemy zrobić; brzydzi się temi ziółkami.

„Więc Panna Eliza często cierpi ból głowy?

„A dosyć często; właśnie chciałem panu powiedzieć, że od niejakiego czasu nieobojętnie patrzę na tę chorobę.

Doktor oświadczył, że chorób głowy niepotrzeba zapuszczać; Elizę zawołano do salonu, Jerzy wypytawszy o symptomata, wpadł w jakieś zadumanie, które zatrwożyło rodziców. Matka pierwsza przerwała milczenie: „Na miłość Boga, dla czego pan się tak zamysliłeś? ...

„O bądź pani spokojna, zawołał Jerzy, miej ufność we mnie, to bagatela.

„Niewiem, odrzekła matka, czy kto może mieć większe zaufanie w pańskim talencie jak ja, którą, pan z drugiego świata wróciłeś dzieciom i mężowi. Ja wierzę panu jak miłosierdziu Boskiemu, i właśnie dla tego czuję jakiś przestach, bo twarz pańska nie jest tak jak zwykle spokojna.

„Mylisz się pani, na mojej twarzy widać tylko ślady nocy strawionej bezsennie, nam doktorom często

się to zdarza. Siadł do stolika, napisał receptę i cała rodzina się uspokoiła.

Jerzy za nadto miał rozsądku, żeby odkrywać rodzicom to, co go wprowadziło w zadumanie. Dostrzegł on, że lekce ważony ból głowy, był tylko początkowym symptomatem choroby chronicznej, która mogła skończyć się śmiercią, albo obłąkaniem, ale miał nadzieję, ufał swej biegłości i spodziewał się, że uratuje Elizę.

Wróciwszy do domu przejrzał wszystkie dzieła medyczne, w których mógł coś znaleźć o tej chorobie, a spotykając się z medykami w mieście, radził się zdolniejszych, i takim sposobem starał się przysposobić do dzieła, z którego pomyslnym skutkiem było związane szczęście jego całego życia. Kuracja szła szczęśliwie, tylko się niekończyła. Źródło obawy umniejszało się lecz niewysychało. Familija pułkownika była uszczęśliwiona, bo niepojmowała prawdziwego niebezpieczeństwa; Jerzy przeciwnie widział, że tylko na czas jakiś oddalał katastrofę, że utrzymywał chorobę w zawieszaniu i był w tém większej rozpacz, że swego smutku nie miał z kim podzielić.

Taki stan rzeczy byłby może potrwał długo, lecz pułkownik w owym czasie wziął dymisję i postanowił wyjechać z Warszawy. Ta wiadomość przeraziła młodego doktora. Porzucić kuracja swjej ulubionej aże-

by jaki niedoskonały lekarz, (a takimi byli wszyscy w zdaniu Jerzego) zabił ją na prowincji; o tem niechciał nawet pomyśleć. Oświadczyć się rodzicom i prosić o rękę Elizy, nie mógł się także odważyć, bo Eliza w jego oczach była trupem chodzącym do póki jej niewyleczy. Ten człowiek żądał pewności we wszystkim. Postanowił więc zatrzymać całą rodzinę w Warszawie do zupełnego wyzdrowienia Elizy. Pułkownik chętnie się na to zgodził. Jerzy skupił wszystkie siły swego umysłu, sledząc i badając naturę tej nieszczęśliwej choroby, co tak uporczywie opierała się wszystkim środkom sztuki. Niejedna noc spłynęła mu bezsennie w samotnym gabinecie i blady ranek widział tylko rospacz w zmarszczkach młodego czoła. Pewną razą spędziwszy kilka godzin na marnym dumaniu, Jerzy machinalnie wziął ze stolika swoją trupią główkę i przypatrując się jej bacznie zapadł na nowo w dumania. Widać było, że umysł szedł po jakiejś świeżo wypatrzonej drodze, bo rysy twarzy to się krzywiły boleśnie jakby niewidząc żadnej nadziei, to znów wyjaśniały się, jakby napotkawszy myśl zbawienną. Nareszcie zerwał się nagle z krzesła i krzyknął z nieopisaną radością: „Znalazłem środek! Czasem najmniejsza drobnostka prowadzi do wielkich odkryć. Gdyby jabłko nie było upadło na nos Newtonowi, świat by może nieznał dotąd praw systematu słonecznego; ot i ja patrząc na ten czerep, wpadłem na

myśl, której tak długo szukałem. Ten gnat przecie mi się na coś przydał.

Jerzy zaczął leczyć Elizę, podług nowo odkrytej myśli, lecz z pierwszego kroku skutek nieodpowiedział jego oczekiwaniom. Choroba się powiększyła. Jerzy był tak mocno przekonany o dzielności swych środków, że nieodstępował od nich ani na jotę. Choroba przybrała charakter widocznie niebezpieczny. Eliza nieustannie chwyciła się ręką za głowę, twarz jej zrobiła się purpurowa od gorączki, nerwy szyjowe drgały konwulsyjnie jakby szarpane niewidzialną dłońią śmierci, krew rzucała się do mózgu, leżała w pół senna miotana gorączkowym marzeniem, w którego nieskładnych szykach między imionami matki i ojca plątało się często imię młodego doktora. Jerzy uląkł się i pierwszy raz w życiu zebrał konsilium.

Kiedy nad łóżkiem cierpiącej, wyłuszczył zebrany przez siebie kolegom symptomata choroby i ostatnie środki których użył, doktorowie jakby przejęci elektrycznym tokiem, wszyscy w jednej chwili wzdrgnęli się i każdy z nich szepnął mu z cicha, „omyliłeś się kolego. — Jerzy istotnie się omylił. Kto kocha kobiety niepowinien ją leczyć.

Wprzód nim się skończyła doktorska dysputa, Eliza wyzionęła ducha w najokropniejszych boleściach. Jerzy

ledwie zebrał dość sił, żeby jej zamknąć powieki. Potem jak martwy runął na ziemię.

O! ten człowiek był w tym momencie prawdziwie nieszczęśliwy. Utracił razem dwa skarby, które najwięcej cenił na świecie — swoją Elizę i sławę doktorską. Jedną Bóg powołał do siebie, drugą wiedział, że poszarpią i zgubią na wieki jego koledzy, między którymi nie miał ani jednego przychylnego.

Kilka dni leżał w gorączce; osłabł na ciele, rwał sobie włosy na głowie z rozpaczny. Pierwszy raz kiedy się podniósł z łóżka i siadł przy stoliku, trupia główka wpadła mu w oczy: „obmierzły gnacie! zawołał z najgwałtowniejszą złością, twój widok podszeptał mi tę djabelską myśl. Ty jak szatan płaczesz się we wszystkie gorycze mego żywota, przeklęta ta dusza, do której kiedyś należałeś; ale dość już tego... i konwulsyjnie naprężywszy rękę, z całej siły uderzył pięścią w kruchą kość czerepu. Cały kościogłów rozsypał się w drobne kawałki i głucho echo tego nieludzkiego czynu rozległo się po pokoju. Szalencie wycienczony namiętnym wzruszeniem rzucił się na łóżko.

W nocy po owej scenie zapamiętałości, Jerzy miał okropny sen, który właściwiej wypadłoby nazwać widzeniem, bo wtedy kiedy się zaczęło, doktor znajdował się dopiero w tym błędnym pół letargu, co poprzedza uspienie, znajdował się w stanie środkującym między

snem i jawą. Czuł że jeszcze nie spi, lecz oczy jego były zamknięte i ciało nieposłuszne popędom woli. Zdało mu się, że cztery postacie aczkolwiek ludzkie, jednakże nie ziemskie, bo przez nie widział jak przez lekki obłok, zatrzymały się u jego łóżka. Trzy z nich poznał natychmiast: była to, Małgorzata, Jaręba i Eliza; czwartej młodej kobiety z anielską twarzą nie poznał, bo jej nigdy niewidział w życiu. Uczuł jednak w sercu słodkie jakieś wzruszenie i machinalnie chciał się zerwać z łóżka, żeby paść przed nią na kolana; chciał usta otworzyć, żeby zapytać kto ona? i dla czego z pierwszego widoku już tak mocno ją kochał? ale ciało leżało bez władnie na pościeli, jakby skrzepowane więzami, usta nieodmykały się, jakby zamarte. Dusza jego miotła się w próżnych wysiłkach, zimny pot oblał mu czoło, cztery postacie stały nieruchome patrząc na niego z żałością. Nareszcie nieznamoma osoba podniosła dłoń do góry i skierowawszy na niego palec, rzekła bolesnym głosem: „Jerzy cztery zabójstwa popełniłeś w życiu.

„Ja nikogo nie zabiłem, odpowiedział doktor głosem duszy, bo usta jego były konwulsyjnie ściśnięte; to nie prawda.

„O! na nieszczęście jest to prawda, zawołała nieznamoma, powolnie zwróciła się do Małgorzaty i ukazując na nią spytała solennie: Czy znasz tę kobietę?

Jerzy nie śmiał odpowiedzieć.

„Zabiłeś ją swoją oziębłością, swoim kamiennym sercem, rzekła nieznajoma. To samo pytanie powtórzyła mu pokazując Jarębę i kiedy milczał, rzekła: „Zabiłeś tego starca przez podłą zawiść i niewdzięczność dla Proszkowskiego, który był twoim dobroczyńcą. Gdybyś nie był kłamcą, gdybyś był szczerze wyznał swoją historią temu starcowi, był byś znalazł ojca, bo Jaręba był twoim ojcem!

Doktor się wzdrygnął przez sen.

Potem ukazując na Elizę, nieznajoma rzekła: „kochałeś tę dziewicę, ale kochałeś jeszcze więcej swoją doktorską reputację i zabiłeś kochankę przez zarożumiałość. A teraz wieszli Jerzy kto ja jestem?

Jerzy okiem duszy w patrywał się w miłe jej rysy i nagle krzyknął: Matka moja! poznaję cię z uczucia rozlanego na twój twarzy, czuję w sercu, żeś ty moja matka, przed tobą przynajmniej nie jestem winny? wszak ciebie nigdy nieznałem...

„Nie znałeś mnie, to prawda, rzekła matka, ale dziecięć lat pastwiłeś się nad moim kościogłowem, pomiałaś nim jak śmiećmi, jak bydłą kością i nakoniec przekląwszy mnie w porywie zapamiętałości, świętokradzką dłońią zdruzgotałeś wproch moją czaszkę. Taki postępek w moralnym względzie, równa się zabójstwu, a to jest już czwarte w twoim życiu. — Jerzy znów

wzdrygnął się przez sen. Dusza jego cierpiała okropną katuszę.

„Dziecie moje, rzekł smętnie duch matki, niedobre dziecko, upamiętaj się! ogrzej zmrożone samolubstwem serce świętym płomieniem wiary i oczyść go skrucą. Ja ci przyniosłam z drugiego świata przestrożę, ja pierwsza też ci przebaczam.

„I ja zawołała Małgorzata.

„I ja zawołała Eliza.

„I ja, rzekł z wolna Jaręba, i dodał: „zatwardziałość twoja mój synu, będzie ukarana w doczesnym życiu, ale jako ludzie niewidzieli twojej winy, tak też oczy ich nie będą oglądać narzędzia twój kary. Ty jeden będziesz widzieć i cierpieć. Przyjmij doczesną pokutę z kornym poddaniem się woli tego, którego sprawiedliwość jest wielka, lecz miłosierdzie jeszcze większe.

Z ostatnim słowem tego solennego wyroku, cztery postacie znikły jak lekki obłoczek rozwiany wiatrem, a na tym miejscu gdzie stały, Jerzy ujrzał w powietrzu trupa głowę, otoczoną na około ciemnym płomieniem, który wił się kędziorami, idąc od środka ku brzegom. W tym straszliwym widoku poznał natychmiast kościogłów swej matki...

„Zaczyna się kara! krzyknął głośno, doktor zdęty śmiertelną trwogą i obudził się ze suu. Zimny pot oblewał mu czoło, włosy stały mu na głowie z prze-

strachu, zaczął przecierać oczy, żeby się wyswobodzić od wpływu sennych wrażeń, a szczególnie od straszliwego widoku tej trupiej głowy w płomieniach. Nie mógł nic zrobić; wszystkie starania jego były daremne. Zdawało mu się, że jeszcze marzy we śnie, zerwał się więc z łóżka, bił się pięściami w piersi żeby prędzej odegnąć to, co mniemał być ostatkiem snu, bił z rospaczy głową o ścianę... nic nie pomogło! kościogłów matki otoczony kędziorami płomieni, unosił się przed nim w powietrzu, jak godło nieodstępnej męczarni. Mdlejąc od trwogi, krzyknął przeraźliwie: „Walenty! Walenty!... służący przybiegł zmieszany... „Walenty zawołał doktor, trupia główka!... weź ją... i nie mógł nic więcej wymówić.

Służący przeżegnał się pobożnie, a wiedząc, że trupia główka stała zwyczajnie na pańskim stoliku, poszedł do niego żeby wypełnić rozkaz. Jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł kościogłów zdruzgotany na miazgę... przeżegnał się jeszcze raz z przestachem, zebrał kawałki kości i wyszedł z pokoju.

Zaledwie je złożył w swojej stancji, usłyszał znów przenikliwy krzyk doktora i zdumiany pobiegł do niego.

„Walenty, zawołał doktor, prawie obłąkany od trwogi, rzucając się służącemu na szyję — Waluś! mój przyjacielu, mój bracie, ja ciebie zawsze kochałem. na miłość Boga wynieś tę trupią głowę z pokoju.

„Wyniosłem ją panie, rzekł Walenty co raz więcej zdumiony.

„Nieprawda! nieprawda! krzyknął Jerzy w najgwałtowniejszej rospaczy, wszak ja ją widzę przed sobą! o! ja nieszczęśliwy!...

Walenty na pół żywy, ledwie wysiedział resztę nocy z doktorem. Nazajutrz porzucił swego pana.

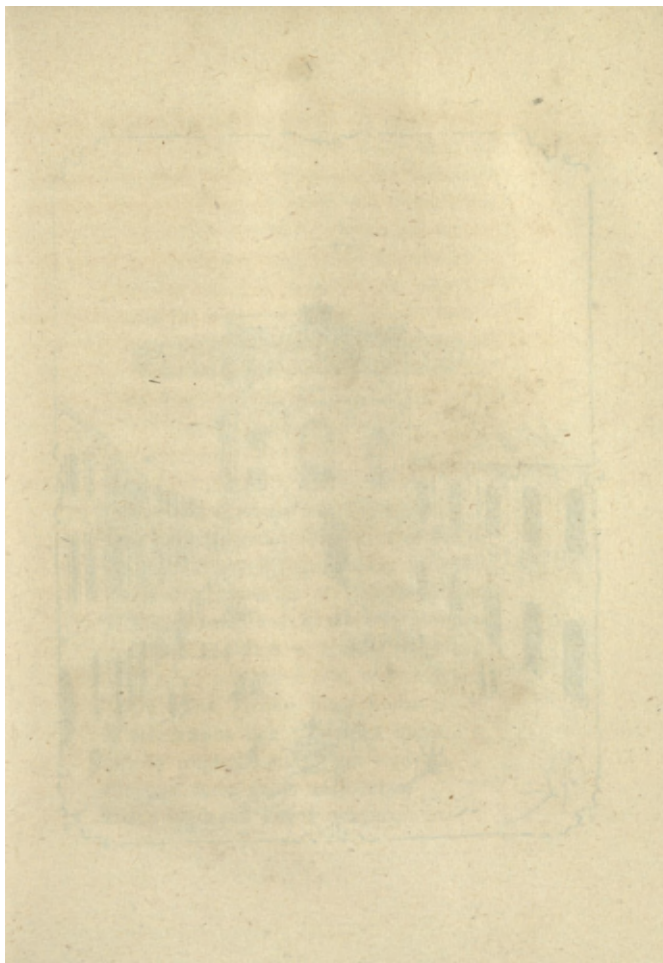
Po dwóch latach męczarni, przyprowadzono go do zdrowia. Zmienił się zupełnie. Wstąpił do klasztoru.

ELKONORA SZTYRMER.

S. Petersburg

Listopada 1842.





<http://rcin.org.pl>



ROZSTANIE.

Tkliwy jęk dzwonka rozstanie głosi,
 Jakiś młodzieniec, z smutku wyrazem.
 Wstrzymał pęd trójki, i modły wznosi
 Przed Ostrobramskim w Wilnie obrazem.
 Bładość na twarzy, w duszy cierpienie.
 Widać łza tleje w tęsknej zrzenicy,
 Wzywa pomocy i szle westchnienie
 Do tronu Niebios Boga Rodzicy.
 W młodzieńca licu straszliwa burza,
 Jak by trucizna, pierś jego wzdyma,
 Posepna duma czoło zachmurza,
 Szuka błędniemi kogoś oczyma;

Wszystko w tej chwili pewno on traci:
 Rodzinne miejsce i chwile błogie,
 Może rodziców, — przyjaciół, — braci,
 Może istoty dla serca drogie.

Stoi młodzieniec, jak cień grobowy,
 Niemy żal duszę jego przenika,
 I nikt nie przerwał pociechy słowy
 Słumionych jęków w piersi błędnika;
 Tak on sam jeden — bo któż się użali
 Nad tym, co burza szalonego losu
 Niesie, jak łódkę, wśród śpionionej fali
 Głucha na jęki cierpiącego głosu.

W tém wzrok młodzieńca zabłysnął śmiały;
 Posępny smutek zwolna niknie z czoła,
 Nieba pociechę w duszę jego wlały
 W licu pogoda świta anioła.
 Nadzieja w duszę jego wstąpiła,
 Pogardza troską co mu serce pali, —
 Wnet w bystrym pędzie trójka ruszyła
 I dzwonek tkliwie jęcząc skonał wdali.

IZABELLA ŚWIĄTKOWSKA.

1842 r. 8 Maja.

Petersburg.

JOZEFY SZEPIELEWICZ

PAMIĘĆ JEJ MATKI.

Ona umarła i nie ma już' komu "
 Powierzyć myśli moje i ciężar niedoli;
 Wszędzie 'żał' zemną, powrócę do domu,
 Spotkam mych dzieciak, o! jak serce boli
 Widzieć tych sierot' i niema sposobu
 Żał ulżyć, chciałbym sam wstąpić do grobu.
 Juljo! życie bez ciebie nieznosne.

Ksiądz słysząc męża te skargi żałosne,
—Hamuj rzekł zbytnie łzy i narzekanie,
Tak Bóg rozrządził, i ten koniec czeka
Bez wyłączenia każdego człowieka,
Niech się we wszystkim Jego wola stanie.
Modły potrzebne, ona już za progiem
Wieczności, stoi przed swym sędzią Bogiem.
W bractwo Rożańca zapisz swoją żonę,
Kościół pozwala po śmierci wpisywać;
By za ich duszę modły odprawować,
Zrób to; Bóg ulży myśli twe zmartwione.
I on wnet spełnił tę radę kapłana,
Ksiądz mszę odprawił przed ołtarzem Pana.

Wraca do domu, dwa dni z miasta drogi,
Przez całą podróż w sercu smutek srogi,
I całą przyszłość przeczytał w marzeniu,
O wspólnym szczęściu, o wspólnym cierpieniu.
Wszystko co w życiu bolało, cieszyło,
Wszystko tak przeszło jak gdyby się śniło.
Już i dom bliski, przed gankiem wysiada.
Ach papa! papa! biegąc krzyczą dzieci,
O tym, o owym, ten i tamten gada,
On ich całuje, a łza w oku świeci,
I siostra jego na ganku spotkała.

I opowiada sen co się jej z jawił.
 — W tym czasie gdy się ty w Witebsku bawił,
 Jam we śnie twoją Juliją widziała,
 Jak ona była cudownie ubrana,
 Jej biała suknia jak gdyby utkana
 Z promieni słońca, na głowie z róż wieniec,
 Świeższy niż rannej jutrzeńki rumieniec;
 Na ziemi takie niebywają kwiaty,
 I twarz jej była jasna i wesoła,
 Zda się jak gdyby pokoju anioła,
 I rzekła do mnie, — ten wianek bogaty
 Mąż kupił w mieście, o jak mi przyjemnie
 Mieć taką pamięć, podziękuj ode mnie;
 To mówiąc w jasnym skryła się obłoku.
 Jam się ocknęła. — W jego się odzywa
 Duszy, pociecha wielka i prawdziwa
 I łza radości srebrzy się na oku.

Józefol ojciec twój miał to zdarzenie.
 O jak jest miłe dla serca wspomnienie,
 Że śmierć choć byt nasz na tej ziemi kończy,
 Związek dusz wieczny nic ich nie rozłączy.
 Nad twą kolebką niegdyś mama twoja
 O twej przyszłości stała zamyślona,
 Modląc się cicho, jak topol zielona

Szeleszcząc liśćmi u jasných wód zdroja;
 Równie i teraz dla niej jesteś droga,
 I teraz dusza jej przy tobie skrycie,
 Jakby stróż anioł zastrzega twe życie,
 I w modłach błaga miłosierdzia Boga.

JAN BARSZCZEWSKI.

1842 r. Sierpnia 27.

Petersburg.



MAGDA KARCZMARKA.

*Wdowa powinna pamiętać nieboszczyka, przynajmniej
rok i sześć niedziel.*

W pustej karczmie, Magda siedzi
Na zydelku u komina,
Czasem wzdycha, czasem ziewa,
I na drzwi pogląda z boku.
Późno w nocy, drzwi skrzypnęły,
Wchodzi chłopiec malowany
Żołnierz — ułan — zawadjaka;
Brzęka szablą, ostrogami.

„Hej karczmarko! hej Magdusiu!
Krzyczy urwis jeszcze z progu,
„Witaj wdówko moja młoda
Przymij gościa na kwatere!”
„Precz żołnierzu, precz ułanie!
Szukaj sobie drugiej chaty
Jam bez męża; jam w żałobie
Ledwie tydzień od pogrzebu.

„Co tam pogrzeb! co żałoba!
Jeden umarł, będzie drugi.
Hulaj duszo pókiś młoda!
Nuże Magdo, przyjm ułana!
Skoczył do niej; objął w poły,
Cztery razy pocałował,
Cztery razy na około,
Z nią mazurka przetańcował.

Czego wiarus niedokaże?
Patrzcie Magda już nie siedzi
Na zydelku u komina,
Ani wzdycha, ani ziewa;
Biega, lata, stół nakrywa,
Postawiła wódki, piwa;
Wszystko z kątów, z szaf wyjmuje
I ułana wraz częstuje.

„No gosposiu! jam już syty.”
 Wrzasnął żołnierz, otarł wąsy,
 Znowu Magdę pocałował,
 Walca w koło przetańcował.
 Młoda wdówka się nie broni,
 Nic dziwnego! zapomniała
 Męża złego i starego
 Od tygodnia umarłego.

„Słyszysz Magdo? tam na dworze
 Głuchy gwar i chichotanie...
 To koledzy ze wsi całej
 Tu z grajkami tańczyć idą!
 Magda do drzwi pędem bieży
 Zaryglować pewnie chciała...
 Niedobiegła, nie wzbronila;
 Widać pierwszą myśl zmieniła

Idą, idą, maszerują
 Ze skrzypkami, z cymbałami,
 I z basetlą i z trąbami;
 Każdy ułan dziewczkę wiedzie;
 Z hukiem, stukiem, krzykiem, brzękiem,
 Całą bandą w drzwi się tłoczą,
 Wpadli wreszcie; w koło stali
 I swym grajkom grać kazali.

Hoc, hoć! 'tańczę' jak 'szaleni,
 Bez ustanku wciąż 'hasają,
 Aż z czupryny im się 'kurzy
 Aż im lica ogniem 'płoną.
 Skaczą, tupią, biegną, 'leczą,
 Ostrogami tupca biją,
 Dokazują, hałasują,
 Aż się karczma 'trzęsie stara.

„Hej kapelo! wy szubrawce!
 Krzyczy ułan z pierwszej pary,
 Ja tu z Magdą rej prowadzę
 A gdy hulam nie 'żartuję.
 Hej kapelo graj od 'ucha
 Obertusa na odsipkę,
 A skocznego, a rażnego
 Hoc, hoc, 'hi ha! hoc, hoc, 'hi, 'ha!

Stanął, świsnął, klasnął w dłonie
 Zwrócił Magdę w drugą stronę;
 A za nimi całe koło
 Płasa, bieży w chyżym pędzie
 Jak na stepie zawierucha.
 Magda śmieje się, chichocze,
 Ułanowi patrzy w oko;
 Hoc, hoc, hi ha! hoc, hoc, hi 'ha!

Tak hasali, wywijali
 Skocznie, żwawo jak szaleni
 Do północy, po północy
 Póki kury niezapały.
 Potém wszyscy w długim rzędzie
 I karczmarka w pół zemdlna
 W mgnieniu oka, jak umieli
 Tak kominem wylecieli.

Starą karczmę piorun spalił.
 Tam gdzie stała, teraz w koło
 Rosną chwasty, pełzną gady;
 Dzikie dzwięki słycać w nocy,
 Każdy miejsce to omija
 Lecz widzieli nieraz ludzie
 Płochą Magdę, grzeszną wdowę,
 Jak z djabłami tam wywija.

PANTOFFEL.

Petersburg 26 Maja.

r. 1842.

DLA LEONA.

Wyjutki z fantazij opisowej - Nowy Rok 1840. ()*
 poświęconej JW. G. z S. Z. S. L.

.....

Lecz gdzie się uniosłem — jaką myślą zdięty
 Zeszedłem z drogi pierwszego obrazu,
 Czemuż tak będąc przeszłością zajęty,
 O niej o sobie pisałem od razu?! —
 Wszak i to przeszłość co zamyślam kreślić,
 Wszak i tam miło zatrzymać się chwilę,

(*) Początek tej fantazij umieszczony w Noworo-
 czniku «Niezabudka» na 1842 rok.

Wszak o t \acute{e} m s \acute{l} odko i mi \acute{o} pomys \acute{l} eć,
Gdzie i przypomnie \acute{n} i pamia \acute{t} ek tyle!! —

Ju \acute{z} nowy Fenix z spalonego gniazda,
Rospostar \acute{l} skrzyd \acute{l} a po ziemskim padole,
Szcz \acute{e} s \acute{c} ia nadziei zaja \acute{s} nia \acute{l} a gwiazda,
I cie \acute{n} odbi \acute{l} a na ka \acute{z} dego czole.
Ka \acute{z} dy szcz \acute{e} s \acute{l} iwiy z zacz \acute{e} tego roku,
Jak \acute{a} s nadziej \acute{e} w swej duszy podnieca.
I marzy szcz \acute{e} s \acute{c} ie p \acute{l} y \acute{n} ące w potoku,
Kt \acute{o} re mu zdala jak s \acute{l} o \acute{u} ce przy \acute{s} wieca.
 \acute{Z} ąda rado \acute{s} ci, wsp \acute{o} lnego wesela,
I z dnia pierwszego rok ca \acute{l} y wywr \acute{o} za,
I swoje my $\acute{s$ li ka \acute{z} demu udziela,
I serce swoje ka \acute{z} demu wynurza.
Bo kt \acute{o} ż jest taki by w sw \acute{e} j wyobra $\acute{z$ ni.
Niechcia \acute{l} rado \acute{s} ci otwar \acute{c} e i skry \acute{c} e?
Kt \acute{o} żby nie \acute{z} ąda \acute{l} mi \acute{o} s \acute{c} i, przyja $\acute{z$ ni,
Nie tylko w roku, lecz przez ca \acute{l} e \acute{z} ycie?
Kt \acute{o} żby zapragn \acute{a} \acute{l} daleki od \acute{s} wiata
Wie \acute{s} ć t \acute{e} s \acute{c} hne \acute{z} ycie w \acute{s} r \acute{o} d zgie \acute{l} ku i wrzawy, —
I tak przep \acute{e} dza \acute{c} wszystkie swoje lata,
W t \acute{e} m tylko jednym szukaj \acute{a} c zabawy?

O nie! — innego w tym dniu ka \acute{z} dy zdania,
Chce by \acute{d} z weso \acute{l} ym cho \acute{c} jeden dzie \acute{n} w roku,
 \acute{Z} ąda prawdziwej roskoszy poznania,
W s \acute{l} odkim, rado \acute{s} nym i mi \acute{l} ym podskoku! —

Zaledwie piérwszy brzask słońca zaświtał,
Nowym choć dawnym, lecz jasnym promieniem,
Z jakąż radością dzień ów każdy witał,
Z najczulszym sobie i światu życzeniem,
Gdyby kto czytać w sercu ludzkim umiał,
Wszystkie żądania i żądań odcienia;
Gdyby kto ludzkie uczucia zrozumiał,
Jakże odmienne widziałyby życzenia.
Lecz jeśli wolno głębiąc ludzkie dusze,
Wyczytać wszystko co ich serce drażni,
Śmiało ja zdanie ogólne poruszę,
Żądzę wzajemnej miłości, przyjaźni!—
Ona świat łącząc ogniwem łańcucha
Szczyćście na wszystkich wspólnie rospościera.
I kto czuć zdolny roskosz tego ducha
Żyje szczęśliwy, szczęśliwszy umiera!—
Lecz wyższe jakieś przeznaczenie człeka,
Do wyższych jego uniesień posuwa,
Bo wyobraźnia od niego ucieka,
I wyższą dążność w swém sercu uczuwa.
Takim popędem każdy poruszony,
Na odgłos dzwónka do ołtarza spieszy,
Sercem ściśnięty i duszą skruszony,
Biedną swą przyszłość i pięści i cieszy! —
Piękną grzesznice przy modłach kapłana.
Kaźda skruszona ugięła kolana;

Piękne swe lica skłoniły ku ziemi,
 Całe przejęte czuciami wyższemi;
 A oko zdjęte czułości potrzebą,
 Każda podniosła i spojrzała w niebo!
 O! kto was widział w tej kornej postawie,
 Po waszych oczach doszedł nieba prawie,
 I tam odczytał oczyma własnemi,
 Piękne grzesznice, bądźcie szczęśliwemi!!! —
 Lecz niedość w niebo po ich oczach wzlecieć.
 Niedość jest duszą ich przeniknąć losy,
 Niedość w swem sercu Boskie czucia wzniecić,
 I za ich dolę uwielbiać niebiosy. —
 Jest inne życie co się tak maluje,
 Słodkie, powabne i z ziemią wiążące;
 Życie zachwyceń — gdzie sercem się czuje
 Duszą unosi i okiem uwielbia:
 Ach! to jest życie, życie czarujące!!! —
 Życia takiego — tu obraz prawdziwy,
 Tu kwiaty wiosny w całym blasku świecą:
 Tu patrz — a jeśli nie byłeś szczęśliwy
 Troski twej duszy wnet od cię odleć! —
 Oddaj się każdy złudzeniu miłemu,
 Zapomnij o tem, że żyjesz na ziemi
 I bądź szczęśliwy! — mnie tylko jednemu
 Pozwólcie westchnąć nad losami memi! —

Tu kwitną róży wiosennych zawoje,
 Niebieskie barwy iskrzą się i świecą,
 Tu gościnności otwarte podwoje,
 Do nich z radością garną się i lecą! —
 Każdy przychodząc uczucia swej duszy
 Chce zamknąć w jednym, w jednym tylko słowie.
 Bo uwielbieniem gdy się serce skruszy,
 Któż wtenczas czucia odda w słabej mowie?
 Serce naówczas ustom mówić broni,
 A rozrzwinięcie które się w nim budzi,
 Usta mu każe położyć na dłoni
 I w pomieszaniu skryć się między ludzi.

Ach! z takim czuciem, z takim rozrzwinięciem.
 Każdy twe Pani przestępował progi;
 Każdy się zbliżał z tłumionym westchnieniem,
 Ciebie witając, witał ziemskie bogi —
 Gdyby me pióro oddać było zdolne,
 Wszystkie uczucia, jakie w sercu mieszczę.
 Gdyby me usta mówić były wolne,
 Mówiłbym, mówił, i mówiłbym jeszcze.
 Lecz wolę stłumić wszystkie uniesienia,
 Jakie w mej duszy w uwielbieniu roję,
 Gdyż jeśli w części znane serce moje.
 Możesz w nim Pani czytać me życzenia.
 Jam stał zdaleka i mówić nieśmiałem,
 Bo w piersi mojej już nie było głosu,

Ach! cóż ja mówić, cóż ja mówić miałem,
W pośród przyjaciół i krewnych chaosu?
Patrzyłem tylko oczyma błędnymi,
Bo wtenczas okiem i myślą ja żyłem,
A upojony widoki milemi,
Życzyłem w duszy, w sercu zazdrościłem!—

O ty coś żądał żeby pióro moje,
Piękny kwiat wiosny w swym blasku oddało.
Czyliś rozumiał że żądanie twoje,
Pierwszą do tego drogę mi usłało?
O! zawiodłeś się! — rozumiałeś może,
Że już mą duszę w lód zimny zakułem,
Że w sercu jedną tylko mieszcząc różę,
Dla innych czucia na wieki utrułem?
O nie! — ja z tobą jedno czucia dzieję.
I oczy nasze w jedną stronę lecą,
A serca nasze czujące tak wiele,
Nieskazitelnie jednym blaskiem świecą! —

Jak jasny więźyc wzbiwszy się w obłoki,
Jasnym i żywym zaświeci promieniem,
I blaskiem zgasi jasne gwiazd potoki,
Okrywszy niebo złotowłosym cieniem!
Lub jak lilja wśród kwiatów tysiąca,
Gdy piękne wzniesie nad innemi czoło,
Zda się być sama tylko czarująca,
I panią kwiatów co błyszczą w około!

O wtenczas oko w miłym zachwyceniu
Niechce na chwilę ten obraz porzucić,
A jeśli kiedy odejdzie w milczeniu,
Chciałoby znowu do niego powrócić!
Tak twoje oczy patrzyły przykute,
Za kwiatem wiosny co błyszczał w twym oku,
A twoje serce jej wdziękiem zatrute,
Niepozwoliło odejść ani kroku!!

I ja patrzyłem! — lecz me błędne oczy,
Po wszystkich kwiatach smutnie się zwracały.
Jak światło lampy choć blask w koło toczy
Mdlawy i smutny rzuca odcień mały!!! —

Tak ja patrzyłem! — a w oku mej duszy
Tysiące wdzięków kreśliło się razem,
Jedne zwiększały boleść mej katuszy,
Drugie też boleść niszczyły zarazem!!
Tu błękit nieba w oko moje wpada,
I tysięcy razem uczuć w sercu budzi,
I nowe więzy na mą duszę wkłada,
I nowym wdziękiem oko moje łudzi.
Tu cały Olimp bogiń i niebianek,
Oku mojemu cudnie się przedstawia,
Jak w pięknej wiosny majowy poranek,
Wdzięk z zachwyceniem w duszy się odnawia.
Tu piękna Hebe, Junona piękniejsza,
I cudnym wdziękiem Gracja łudzająca,

I jeszcze od nich Wenera śliczniejsza,
I wód Syrena śpiewem czarująca —
I ten naiwny pierwszy kwiatek wiosny,
Tak słodko miły, jak zefiru tchnienie,
Lub jak motylek wesół i radosny,
Gdy kwiatom daje najczulsze ściśnienie.
Tu dwa Aniołki skromności i wdzięku,
Cudownie serce i oko czarują,
Jak kwiaty w jednym umieszczone ręku.
Wdzięki i powab w koło siebie snują —
Tak piękność nieba, olimpu i ziemi
Gdy oczy widzów zachwyceniem drażnią;
Každy szczęśliwy i przejęty niemi,
Żąda miłości, a wzgardza — przyjaźnią! —

W tem błysło słońce! i wdzięcznym promieniem
Niebo i Olimp oświeciło razem,
Wszyscy przejęci najsłodszy wżruszeniem,
Oczy zwrócili za słońca obrazem.
A z ust każdego wyszło jedno słowo,
Bo jedną myślą przejęci zostali,
I głos powszechny uznał ją królową,
I pierwszym bóstwem wśród zebranej sali! —

Chcesz teraz poznać cały wdzięk uroku,
Zwróć swoje oczy na około siebie,
A pewnie znajdziesz w zachwyconym oku,
Urok podobny jak gdybyś był w niebie! —

Patrz na ten orszak idący parami,
 Poważnym krokiem, przy poważnej nócie,
 Jeśli ten widok ciebie nie omami,
 I mocno twoje nierozdrażni czucie?—
 Najpierwsi wiekiem idąc ojców torem,
 Wspólną wesołość chcą razem podzielać,
 A chcąc dla innych być radości wzorem,
 Chcą wspólną radość w duszę drugich przelać!
 Każdy upojon najśłodszym widokiem
 W poważne grono ciśnie się i leci,
 I myśli w duszy z zachwyconym okiem
 Oto są jeszcze ojców naszych dzieci!!

—Gdybym był zdolny czarownemi farby,
 Pędzlem na płótno przenieść widok cały,
 Przelałbym wówczas wszystkich myśli skarby
 W szkic fantastyczny, związły i wspaniały;
 I na nim wszystko odkreślił, umieścił,
 Co tylko oko i dusza ma czuje,
 I takbym serce i myśl moją pieścił,
 Jak ten mnie widok zachwyca, czaruje.
 A gdyby szczęście jak Pigmaljona,

Spotkać mnie chciało choć na chwilę jedną,
 I pocieszyć stroskaną duszę moją biedną,
 Jak kwiat wędniejącą w piaszczystej pustyni;
 I tej co pierwsza w fantastycznym szkicie,
 Boskie w mem sercu wzruszenie uczyni,
 Część mojej duszy wyrwie z mego łona,
 I tą cząsteczką jej obudzi życie,
 I piękne oko tym ogniem zapali,
 Jaki w mej duszy iskrzy się i płonie;
 I to uczucie niechaj w niej ustali,
 Jakie tkwi ciągle w mem płomiennym łonie:
 Wtenczas mą duszą może ożywiona,
 Pozna trawiący ogień mego łona,
 I okiem litości cierpienia me skróci,
 I znikły pokój na nowo powróci!
 Lecz to marzenie!!!

Patrz! — jak przy dźwięku nowego uroku,
 Spadła z każdego myśli czarnej chmura,
 Jak wybuchnęła radość w każdym oku,
 Na dźwięk skocznego wolnego mazura.
 Wszyscy wzruszeni zda się zapomnieli,
 O tęsknych myślach rojonych przed chwilą.
 Jakby nadzieję w duszę swą przyjęli,
 Że ich w przyszłości nadzieje nie zmylą.

Ochoczym krokiem stanęli do koła,
 Ochoczym okiem spojrzeli po sobie,
 Ochoczą wszyscy rozjaśnili czoła,
 I pełna radość zabłysła w tej dobie!
 I skocznie wszyscy radością przejęci,
 W naiwnym ruchu wesołość malują,
 I nią jedynie ogólnie zajęci,
 Marzą i słyszą, i widzą i czują!!!

.....

.....

Kiedyś i dla mnie w błogich snach przeszłości,
 Zdał się być mazur muzyką weselną,
 Lecz dziś w uczuciach burzliwej młodości,
 On mi się mieni radością piekielną;
 A jad zazdrości jak robak sumienia,
 Szarpie me serce i zwiększa cierpienia.
 Lecz skąd ta zazdrość? jakie do niej prawa?
 Kiedy to wszystko na co rzucę okiem,
 Zimne jak rosa co ziemię napawa,
 Chłodne jak ziemia pod śnieżnym obłokiem.—
 Znam to! — lecz mogęż przemienić mą duszę.
 I w lód rozsądku zagrzebać me chęci?

Znam smutny błąd mój! — ale błędzić muszę,
Aż się sam stanę łupem nie pamięci! —
Bo dziś bez bólu oczyma zimnemi,
Patrzeć nie mogę na tve jasne wdzięki,
A jad zazdrości kroplami pełnemi,
Prosto do serca z twojej płynie ręki;
I tak mnie pali, tak mą duszę gniecie,
Żem zbrzydził mazur, z nim wszystko na świecie! —

Lecz patrzeć lubię gdy w ochoczym kole,
Jak cień dziewica z radośnym uśmiechem,
Przebiega wdzięcznie różnobarwne pole,
Z szemrzącym w koło uwielbienia echem.
A gdy znużona, oczyma jasnemi
Szuka dla siebie chwili odpocznienia
I z pełnej piersi wyrzuca westchnienia;
W tej chwili niechcę ni nieba, ni ziemi! —
Pomnę, o! pomnę! tyś tak piękną była
Lilją kwiatów i ziemi ozdobą!
Kiedys zmęczona w rumieńcu twarz skryła,
Rzucając w podziw stojących przed tobą.
O cudna chwilo! wróc się dla mnie jeszcze,
Niech choć raz jeden w życiu cię oglądam,
Niech tym widokiem serce me napieszczę,
A wtenczas nieba ni ziemi nieżądam! —
Lecz gdyby myśl mą tak mnie zajmującą,
Wyższe wyroki dały do nabycia,

Chciałbym cię widzieć taką czarującą.
Do końca życia i po końcu życia!!!

Widziałeś kiedy gdy spienione wody,
Lecąc z wierzchołka kamienistej góry,
Rwą ziemię, drzewa wiekowej porody,
I niszczyć zdają cały gmach natury;
A pochwywszy w grabiercze ramiony,
Rwą jej powierzchnię, w różne nosząc strony. —
O! co za widok cudny i straszliwy
Razem twą duszę i oko zajmuje ;
Jak jest wspaniały, chociaż tak burzliwy,
Jak cię zachwyca i razem czaruje.
Lecz gdy wzburzone ucichną żywioły,
Gdy ziemia znowu twarz swą wypogodzi,
Jaka tęsknota w duszy się twej rodzi,
Patrząc na smutne zniszczenia popioły.
Lub jeśli woda zerwawszy kamienie,
Cudniejszy widok po sobie zostawia ;
Jak czarujące jest takie zniszczenie,
I jak radośnie do duszy przemawia;
A w zachwyceniu co oko umila,
Chciałbyś zniszczenia odnawiać co chwila!—

W takie dumania myśl jest pochwycona,
Gdy wartkim biegiem po szybach glansowych.
Przebiega para naiwnie pędzona,
Szybkimi kręgi poruszeń walcowych.—
Zda się naówczas, że sobie oddani
W spólnym objęciu splątani ramiony,
Porzucą ziemię; a wirem porwani —
Gdzieś, gdzieś w nadziemskie uniosą się strony; —
I bujać będą, tak chyżo, wysoko,
Jak myśl doleci, a nie sięgnie oko!

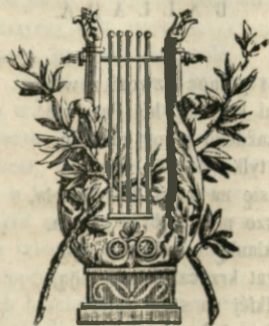
O! lubię, lubię całą moją duszą,
Te namiętne, chwilowe zapały;
One mnie jeszcze szybkim ruchem wzruszą,
I w momentalne pogrążą mnie szaty.
Wtenczas niepomny na obecną chwilę,
Puszczam w niepamięć i ziemię i ludzi,
I sam znajduję zachwycenia tyle,
I ten wir szybki tak me serce ludzi.
Że zapominam w tej czarownej dobie,
O wszystkim w świecie, tylko — nie o tobie! —
Bo w moim sercu i duszy zbłąkanej,
Tak ty ostadzasz myśl moją posępną,
Jak wygnańcowi z ziemi ukochanej,
Nadzieja zwrotu żyje nieodstępna.

Gdybym był zdolny spełnić me życzenia,
Które wśród wiru cisną się do głowy,

Lub żeby senne moje przewidzenia,
Ziścić się mogły chociaż do połowy;
Wtenczas pędzony sennemi widziadły,
Porwałbym ciebie w nadpowietrzne światy,
I tam bym uniośł, gdzie myśli me padły
W chwili obłąkań poczętych z twej straty. —
Znasz-li tę ziemię, te kraje uroku
Za słońcem, niebem, za domem wieczności,
Gdzie niepojęta ni myśli, ni oku
Ciągnie się przestrzeń w szlak nieskończoności. —
Tambym uleciał — tam uniośłbym ciebie;
I tron z chaosu wieczystego złożył,
I tym chaosem otoczywszy siebie,
Nowy świat ze czią u stóp twych położył. —
Tam przed królową całego chaosu,
Światy i trony nowe potworzone,
Ze czią, ze drzeniem u stóp twych złożone,
Od ciebie swego czekałyby losu;
A w światach, tronach chaosu całego
Mnie byś widziała, — mnie tylko jednego. —
Tam zapomniana od całego świata,
Od losu nawet niezawisła w niczém,
Wieki, minuty, godziny, dnie, lata,
Przepędzisz w szczęściu mgnieniem tajemniczém. —
A ja szczęśliwy z twojego widoku,
Wielbiąc cię wiecznie od roku do roku,

Zapomnę o ziemi, zapomnę o niebie,
Bo dla mnie niebem widzenie jest Ciebie! —
Lecz to marzenie! — i senne widziadła,
Sennemi zawsze będą widzeniami;
A rzeczywistość, co się w duszę wkradła.
Tak ją omracza żałoby cieniami,
Że moment szczęścia, którym go omamii
Wkrótce gorzkimi wynagrodzi łzami. —

KAROL E. SIEDROTSKI.



Wzrostek rozciągnął wyjątkowi krajni —
 że momenta szczęścia, która do omanii,
 Tak ją omarsza śródby cieniai, w
 A rozczuwił, co się w duszę wtrudzi,
 Scenami zaważę bęgi wdzianiami,
 Łecz to utrzymał — i senne widać,
 Ho dla mnie niebieru wdzianu jest wzięto,
 Zapomnę o nim, zapomnę o nim

PORTRET.

B A L L A D A.

Już i północ dzwoni z wieży,
 Pijani krzyczą, hej Panowie!
 Za każdego pijmy zdrowie,
 Kto tylko do nas należy.
 Kto się na wszystko ośmiela,
 Dobrze pije, dobrze strzela.
 I szklankę o szklankę biją,
 Wiwat krzyczą razem piją,
 Rzadkiej na stole zalety,
 Rzędem leżą pistolety,
 Ze srebrnemi ozdobami,
 Wszystkie nabite kulami:

I rzekł jeden z tej gromady,
Kto chce strzelać — słuchaj rady,
Oto portret tu na ścianie,
Cały bohater w widoku,
Jakie surowe spojrzenie,
Świetny kontusz, szabla z boku,
Jakie wąsy, mina jaka,
I może za Sasa Króla,
Był to wielki hajdamaka,
Straszna była jego kula;
Także hulał jak my pijany,
Dziś niech będzie rozstrzelany.
I krzyczy cała gromada,
Brawo, brawo, dobra rada.

Jeden stojąc przy tej scenie,
Co miał serce i sumienie,
Rzecz do nich: ta zabawa,
Bracia, w zbudza we mnie trwożę.
Ja o tém słuchać nie mogę;
Czyliż przodków imię, sława,
Ich szlachetne prochy, cienie,
Nieporuszą serce twarde,
Ach bracia! miejcie sumienie,
Bóg ukarze taką wzgardę.

Cha, cha, oto człowiek śmiały,
Patrzcie dziwak jaki blady,

On nas uczy, daje rady;
Stare bracie twe morały,
Oni siedzą gdzieś z świętami,
I nie myślą o tej ziemi;
I wnet pistolety wzięli,
I pierwszy do głowy celi.

Spojrzał, portret — wspomnieć trwoga,
Pałą się ogniem zrzenice,
Jakby w chmurach błyskawice,
I gniewem płonie twarz sroga;
Wnet z pochwy pałasz dobywa,
Ten oczy blaskiem przeraża,
Jak piorun śmiercią zagraża,
Nagły strach wszystkich przesywa;
Jakby trupie twarze zbladły,
Pistolety z rąk wypadły,
Portret temi zagrzmiał słowy:
Ściga Boski gniew surowy,
Kto swych ojców zdradza cienie,
Nie uspi w winie sumienie;
Jak Kaima jego wszędzie,
Prześladować rozpacz będzie.

JAN BARSZCZEWSKI.

WYJĄTEK Z POWIEŚCI

OLESZKO.

P O W R Ó T.

Kościelnych dzwonów dźwięk się w górach szerzy,
 Połyska złoty krzyż z wyniosłej wieży.
 Na krzyż ten patrzył zdaleka z zagóry,
 I słucha jęku co po rosie bieży;
 Młody Oleszko co górzystym szlakiem
 Pędził w pół wesoł, a na pół ponury;
 A pył się kłębi, w nim się powóz nurza,
 A dzwonka odgłos odbijają wzgórze.

Och! gdyby teraz bydź mu lotnym ptakiem,
 Jakżeby wzbił się nad te góry, lasy,
 Łącząc się z białych gołębi orszakiem,
 Co tam zlatują ze wsi na popasy;
 Pędziłby z nimi do domu rodzica,
 Którego dręczy po synie tęsknica.

Z łoskotem powóz wciąż pod górę leci,
 A dzwonów echo wiatr po kniejach niesie,
 I złoty krzyżyk rannym blaskiem świeci.
 Lecz skoro skrył się młodzian w bujnym lesie
 Niewidzi krzyża, ani miejskich szczytów,
 Ni łąk na dole, ni w górze błękitów.
 To lipa zwiesza rokoszne zastony,
 Ima leszczyngę w lubieżne ramiony,
 Palcami z białych łoskocze orzechów,
 Zgłębi podaje kalina oblicze
 Bezfarbnych jagód niewinne dziewicze,
 Dotąd nieznawszy płomiennych uśmiechów,
 Którego pierwsze miłości zapały,
 Do tych czas ponsem nie pomalowały,

A echa dzwonów z szumem drzew się mąca,
 Bo młodzian jechał przez puszcze grającą;

Bo mu się zdało, że tam każdy listek
Szumiał i brzęczał i drżał przed nim wszystkim;
Jak wyobraznia młodzieńca ochocza,
Tak była puszcza dzika i urocza.

Ale Oleszko tutaj się nie cieszył,
Z gaju ciemnego niecierpliwie spieszył,
Gdy gaj ten minął, na wzgórzcu wysokiem
Wstrzymał się, łzawem rozważając okiem
Kraj okoliczny. Tam miasto bieleje,
Krzyż rannym światłem przeze mgłę jaśnieje,
Patrzają wieże w rzek jasne lazury.
Czemuż Oleszko na posępne mury
Zwrócił wymowne z rozrzewnieniem lica?
Wszak wdali inna widna okolica,
Wioska ojczysta — dymne chaty w dole,
Lesne pagórki stanęły w półkole,
Między nich Dzwina ucieka z pospiechem,
Żegnając łąki błękitnym uśmiechem;
Za wsią w równinie cerkiewka drewniana,
Słomianym dachem przed burzą odziana,
Na którym błyszczą kopułka blaszana.
Z pod brzoź zielonych co cerkiew odziały,
Dalej plebanija — ojca dworek mały;
W dziedzińcu żuraw, jako nóżka muchy,
Nad studnią wlecznie swe powtarza ruchy;

Dalej znów widna jak wąsik komara,
Tam się przesuwa jakaś postać szara;
To pewnie ojciec Oleszka, co chłodem
Zwykł się przechadzać po rosie ogrodem;
Może na jutrznią do cerkwi pospiesza,
A może w sercu ojcowskim tęsknicę
Widokiem białych gołębi pociesza —
Bawi się starzec, sypiąc im pszenicę.

W lot uderzyły z łoskotem gołębie,
Co się tu pasły na lesnym wyrębie,
I szybko dążą nad plebanij szczyty
Białemi skrzydły nad polne błękity —
Zdało się, płachta z wiatrem w polu biała,
To się skręcała, to się rozkręcała.
Chwilę Oleszko wiódł wzrokiem za niemi
Aż łza rzewności w oczach zaświeciła,
I kazał jechać szlaki nadbrzeżnemi
A jechał zwolna; bo tam jakaś siła,
Jak rybka haczek za serce chwyciła.

WINCENTY DAWID.

L I S T

DO KSIEDZA ADAMA STANISŁAWA

K R A S I Ń S K I E G O .

Adamie! zacny mężu! młodości kolego!
Czemu rzuciwszy strony kraju rodzinnego
Gdyś uleciał ku Litwie — sławy wieniec nabył,
O Wołyniu — o swoich, i o wszystkim zabył?
Czemu lutnia twa ścichła — co tak lubo brzmiała?
Czyż tak rychło ma przestać gienjuszu chwala?
Zamilkłeś już zupełnie — niesłychać twych pieśni,
Może i wdzięczny Wołyni tobie się już nie śni?

Może na myśl nie przyjdą twoi przyjaciele?
 Adamie! twym milczeniem, skarałeś nas wiele.

Lecz znasz lepiej co czynisz — twa wyższa powinność,
 Ty obrawszy swym godłem cnotę i niewinność,
 Karcisz dumę wyniosłych, nieznając co trwoga,
 I wymównemi usty chwalisz wielkość Boga.
 Ty z prawd Ewanjelicznych czerpiąc źródło mowy,
 Na korzyść swym słuchaczom dasz plon niejałowy,
 Bo słodyczą wyrażen przemawiasz do duszy;
 A myśl wielka o Bogu — kogoż nieporuszy?
 O! szczęśliwi słuchacze, którym los przeznaczył,
 By talent równy twemu te prawdy tłómaczył!

My — choć żyjem w oddali — lecz i w nasz zakątek
 Doszły wieści o tobie; — twęj sławy początek
 Nam znany, — kiedy pierwszy owoc twojej pracy
 Zabłysnął światu, pięknie tłómaczon Horacy *) —
 Wszyscy ci przyklasnęli — wyszedłeś z honorem,
 Wszędzie zgodnie, uroczo, idąc za swym wzorem,

*) Ks. Adam Stanisław Krasiński tłómaczył sztukę
 rymotwórczą Horacego, wydaną w Wilnie w drukarni
 B. Neumana 1835 r.

A chociaż z przyjacielem wszedłeś w jedne szranki
 O Horacego, jakby o uśmiech kochanki,
 Lecz po stoczonej walce, gdyście oba dzielni,
 Wyszliście jak rycerze, z chwałą nieśmiertelni;
 Bo równy w siłach, słodki autor kolendy *)
 Równe też zyskał z tobą publiczności względy.

Wiemy także, gdyś zwiedzał Woronczyną progi,
 Byłeś tam witany jak gość sercu drogi;
 Tam jak w Czarnolesiu, z piewczą Luidgardy, **)
 Duchem religijnym łamiąc los zbyt twardy,
 Zważywszy szczęście ludzkie na przeznaczeń szali,
 Obaście wcześniej zgasłej Marij płakali. ***)
 Lub kiedy wolna chwila od trosk wam zostanie,
 Wtedy zagłębiając się w nauk Oceanie,

*) Ks. Antoni Moszyński autor czasowego dzieła pod tytułem Kolenda dla dzieci, tłómaczył uprzednio sztukę rymotwórczą Horacego.

**) Jenerał Ludwik Kropiński mąż znany w literaturze, mieszkający we Włodzimierskim powiecie w ulubionym Woronczynie, jak niegdy Kochanowski w swoim Czarnolesiu, zaszczycał swoją przyjaźnią Ks. Krasieńskiego.

***) Starszej córki tegoż Jenerała Kropińskiego.

Jak skoro myśl się wasza w jeden punkt zestrzeli,
 Nie jedną z tych latorośl sprostować pragnęli —
 I tam to myśl wysnuta dla użytku młodzi,
 Z pod twego pióra nową Grammatykę rodzi;
 Bo ty wstępując chlubnie w Kopczyńskiego ślady
 Wskazałeś czystej mowy nam jasne przykłady,
 I z dzieła, które chcącym pożytek przyniesie,
 Twoja pamięć, przyjaźni dar pamięci niesie. *)

Znamy dalej — gdyś zwiedził Północy Stolicę,
 Gdyś pięknymi widoki napasł swą zrzenicę,
 Tameś myśląc o swoich — zanócił nam zdala
 Słodką pieśnią wspomnienia, jako bard Fingala;
 I do prac własnych kiedyś koleżeńskie przydał,
 Dla pociechy przyjaciół Noworocznik wydał. **)
 Ale na katedralną gdyś weszedł ambonę,
 Pilny w wielkim urzędzie — nie spojrzysz w tę stronę,

*) Grammatyka polska Ks. Krasińskiego, wydana 1837 roku, dedykowana Jenerałowi Kropińskiemu.

**) Noworocznik Literacki wydany przez Ks. Adama Stanisława Krasińskiego. St Petersburg u Karola Kraja 1838 roku.

Nie wspomnisz swych przyjaciół — zarzuciłeś lutnię,
I nie śpiewasz już światu wesoło — ni smutnie.

Przejrzyj listę pisarzy — rzadki taki będzie,
Co nie służąc dla kraju na jakim urzędzie,
Pod wiejską strzechą tylko słodkie rymy nócił;
Lecz nie jeden, gdy władzę piastowaną rzucił,
Gdy na chwilę odpoczął — tej jednej nietraci,
I dziełami pięknymi swój język bogaci —
Znasz dobrze, małoż było Krasickich, Osińskich,
Niemcewiczów, Mórawskich, Chodźków i Moszyńskich?
A jednak ci dzwigając urzędów brzemięna
Nie wyziębili duchów wieszczych z swego łona,
Owszem, blask poezji każdy rozplemieniał,
I nad każdym z nich wieniec chwały zazieleniał.

Ty zaś żyjąc w odwiecznej Witolda stolicy,
Czyż niewyczerpiesz czego z przeszłości krynicy?
Czyż z Witoloraudą Józef zabrał skarby? *)
Czyliż z Litewskich kwiatów zdjęto wszystkie farby?
O nie Adamie — jeszcze i dla cię zostało,
Zechciej tylko pracować, a wynijdzisz z chwałą.

*) Józef Kraszewski tegoczesny autor wielu dzieł pięknych, między innymi Witoloraudy czyli Mitologii Litewskiej.

Gdy niechcesz o Wołyniu — zanuć nam o Litwie,
O 'dzisiejszych nowinach — lub dawnej gonitwie,
A cokolwiek napiszesz, tak nam będzie miło,
Jakby o nas wspomnienie w twém sercu ożyło.

FILIP POLONSKI.

9 Października
1841 r. Rzeczyca.



JEZIORO ZAROSŁE.

B A L L A D A. ?

z p o d a ń g m i n n y c h.

Na zachód Newla, po całej przestrzeni,
Widoki dzikiej przyrody:
Na górach lasy, naksztalt nocnych cieni,
I w ciemnych brzegach szum wody.

Tuż się rozciąga równina, tę ziele,
I mech czerwony powleka;
Wśród tej równiny jest. wody niewiele,
Jak lustro świeci zdaleka.

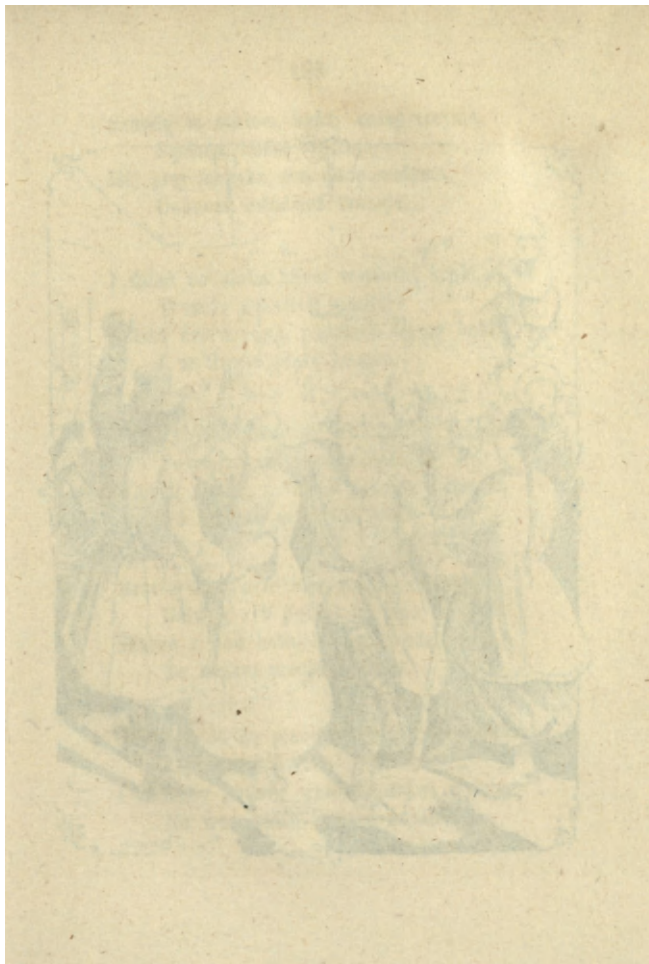
Ta przestrzeń była jeziorem zajęta,
Łódź tu rybacka pływała,
I na swobodzie fala wiatrem wzdęta,
W odległych brzegach szumiała.

Lecz czas, co spełnia straszne przeznaczenie,
Odbiera falom swobodę;
W górze z traw dzikich rozciągnął sklepienie,
Włożył okowy na wodę.

Jak jeńca skryła jezioro ciemnica,
I w okno co nad nim świeci;
Niekiedy tylko spojrzy twarz księżycy,
Lub promyk gwiazdy doleci.

Grobowa cichość tam o każdej porze,
Tylko w wieczornym tumanie;
Słychać krzyk kaczek, a lud o jeziorze,
Takie wspomina podanie:

Śnieg padał w nocy, gwiazdy gasły w chmurze,
I wietrzna i ciemna pora,
Więś nad jeziorem i karczma na górze,
Tam lud hula od wieczora.



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

Szumią za stołem, każdy czarę trzyma,
Sąsiada, kuma częstuje;
Hej graj muzyka, ten dudę nadyma,
Ochocza młodzież tańczy.

I dziad co słabe kijem wspierał kroki,
Wesoły naksztął junaka;
Ściska dziewczynę, podpira się w boki,
I w tłumie płąsa kozaka.

Gdy wszędzie śmiechy i oklaskow brzmienie,
Powtarza tłuszcza wesoła;
Wszedł rybak, z śniegu otrząsa odzienie,
Do zgromadzenia tak woła.

Bracia zostawcie te płąsy na chwilę,
Dziwny ryb połów tej nocy;
Skacze z pod lodu, i w niewodzie tyle,
Że musim prosić pomocy.

W tym ktoś na piecu wrzasnął, co za strata!
Zastękał ach! ach! ach biada;
I straszny potwór wnet za drzwi wylata,
Na wszystkich trwoga napada.

I drżąc od strachu na drzwi poglądają,
Blednieją stojąc tańcerze,
Nagła odmiana, jedni się żegnają,
A drudzy mówią pacierze.

Porzuca karczmę ta gromada cała,
•Nic ich tam więcej niecieszy;
Idą do domów, tylko młodzież śmiała,
Na pomoc rybakom spieszy.

Już ciągną niewod, już z wody dobyli,
Dziwią się, jak sieć szeroka;
Taki w niewodzie otwor zobaczyli,
A ryby nigdzie ni oka.

To sztuka czarta, a więc zamiar biorą,
Jak tylko ranek zaświeci,
Poprosić księdza, poświęcić jezioro,
I jeszcze zarzucić sieci.

Posłyszał zły duch radę i rozmowy,
Ze chęcią sprowadzić plebana;
Wymyślił jeszcze taki figiel nowy,
Co tylko w mocy szatana.

Ciemna i głucha mija nocna pora,
Gwiazdy nikną wśród chmur fali;
Stoi na górze dom blisko jeziora,
Tam się jeszcze ogień pali.

I siedzi rybak sam jeden w milczeniu,
Już żona i czeladź spała;
Duma samotny o dziwnym zdarzeniu,
O stracie, co ich spotkała.

I razem burza wszystko rwie, obala,
Las pada i wichry lecą;
Pies wyje, i kot swe oczy zapala,
Jakby dwie latarnie świecą.

Duch blisko — myśli rybaka strwożone,
Zimny pot ociera z czoła;
Już chciał obudzić swą czeladź i żonę,
Któs w okno puka i woła.

— Somsiedzie z prozbą do ciebie przychodzę,
Daj wozek przewieść mych dzieci;
Prędko ci wrócę, za dobroć nagrodzę,
Jak tylko ranek zaświeci.

—Ciemno i wiatry jak burzliwe morze,

Czyż nagła potrzeba tobie?

—Nic dla mnie burza, muszę o tej dobie

Zamiar mój spełnić. — Bierz sobie.

I w okno rybak przegląda i słucha,

Sąsiad jak wichrem porwany

Prędko odleciał, tylko zawierucha,

Podnosi śnieżne tumany.

Po chwili mija ta pora burzliwa,

Wichry i wiatry precz lecą,

I jasny księżyc z obłoku wypływa

I gwiazdy na niebie świecą.

A rybak дума o dziwnym zdarzeniu,

Ledwo tlał ogień i gasnął;

On się spać kładnie, i długo w milczeniu,

Snuł myśli swoje, i zasnął,

Już czeladź wstała w izbie ogień świeci,

Wszyscy się pracą zajęli;

Kręcą powrozy, drudzy robią sieci,

I rybak wstaje z pościeli.

Ranek się palić na wschodzie zaczyna,
Na spiące lasy szron pada;
Prędko wschód słońca, i on przypomina.
O proźbie swego sąsiada.

Wychodzi z domu, i dziw niesłychany
Znowu spotyka rybaka;
Widzi swój wozek w krąg lodem oblany,
W nim ogromnego szczupaka.

Wychodzą wszyscy domowi i żona,
Patrzają, lecz dla nich rzecz skryta.
Nic im nie mówiąc, on ściska ramiona
I zda się myślą coś czyta.

I na jezioro pospiesza w milczeniu,
Tam już sieć leży gotowa;
I o przeklętym duchu w zgromadzeniu
Rybaków była rozmowa.

Ludzie tam biegają z bliska i z daleka ,
Ten temu dziwy powiada;
Co będzie, każdy z ciekawością czeka,
Ksiądz pleban z sanek wysiada.

Czyta modlitwy, w kapłańskim ubiorze,
Święty tam obrzęd odprawił;
Poświęcił niewod i wody w jeziorze,
Pracę ich pobłogosławił.

Wnet do roboty każdy się zabiera,
Pracują z całym narodem,
Niewod w głęбини skrzydła rozpościera,
Przestrzeń zagarnął pod lodem.

Ciągną i sieć już slizga się po lodzie,
Burzy się woda głęboka,
Dobyli niewod i w całym niewodzie,
Niewidzą ryby ni oka.

Zdumieni stoją nad siecią w milczeniu,
Myślą co począć w rozpacz;,
Jeden zawołał rybak w zgromadzeniu,
Opowiem wam co to znaczy.

— Gdy ta mijała głucha nocna pora,
Ryby co były pod lodem;
Gdzieś do innego czart przewiozł jeziora,
I to jest pewnym dowodem.

I opowiedział jak on wozka szukał,
Lecąc z wichrem z niepogodą,
I jak wołając w jego okno pukał,
Wziął wozek, — oddał z nagrodą.

Z trwogą okropnej powieści słuchają,
Dotknięci ciężką żalobą,
Wszyscy do domów swoich powracają,
I niewod zabrali z sobą.

Od tego czasu, jakby od zaklętych
Tych miejsc człek każdy unika;
Na spiących wodach już siecią nietkniętych,
Mech porośł i trawa dzika.

Przeklęty duchu gdzie pomkniesz swe ślady,
Tam tylko bieda, ruiny;
Na gruzach zamków rozmnożą się gady,
Pustynią piękne krainy.

JAN BARSZCZEWSKI.

D o A. A.

Luby ów wieczór, gdy jeszcze nieznany
Raz pierwszy w lica spoglądałem tobie —
Na obcej ziemi raz pierwszy widziany,
Jakby oddawna znajomej osobie,
Byłem otwarty, i wnet na przemiany
O naszych dziejach mówiliśmy sobie.

Cóż tak w twych rysach czaruje i nęci,
Choć z tobą długie upłyną godziny,
Gdy się pożegnám powtarzam w pamięci
Rozmowy nasze, i niewiem przyczyny;

I znów cię widzieć nowe czuję chęci,
A widząc — do swej nie tęsknę rodziny.

Nadobno Polko, w twém ja licu białem,
Spotykam rysy kochanych postaci,
Wszystkich z którymi igrałem płakałem
Krewnych, znajomych, przyjaciół i braci;
Oni mym zdrowiem, oni szczęściem całem,
Dziś mi ich stratę tve wejrzenie płaci.

I gdy w obliczu twem zatopię oczy,
Tak się niebiesko i mile promieni,
Taki mię urok rokoszny otoczy,
Że zdasie w lilije ojczystych strumieni,
I w róże strojny krajobraz uroczy,
Tchnie na mnie wonią, pol barwą się mieni.

W koło ojczystych strumieni, na błoni
W zieleniach kwitną róże i bławatki,
Tam igra dziatwa w zielonej ustroni,
A w licu twoim piękniejszym nad kwiatki,
Jedna za drugą myśl dziecinna goni,
Czysta, pogodna, jak rokoszne dziatki.

Dziecie co igra w zielonej równinie,
Może gdy wzrośnie narody podbije,

Świat spyta w jakiej on zrodzon krainie?
Mysł twą, co igra przez lic swych lilije
W rym kto pochwyaci, wieszcz nowy zastynie;
Świat zgadnie, oczy natchnęły go czyje.

A ja, w twe lica lilijo — różane
Patrząc, słodkiego pokoju doznałem,
Choć w obcym kraju, ja w tobie kochane
Rysy rodzinne, ojczyznę spotkałem;
I tak do ciebiem przywykł czuciem całém,
Że choć w dom wrócę wygnańcem zostanę.

Wciąż jak wygnaniec, smętny nieochoczy,
Będę w przyjaciół i rodziny gronie;
Ilekroć grono mię lube otoczy,
Rodzinne wiosną uśmiechnie się błonie,
Wspomnę twe rysy i pogodne oczy,
Którém opiewał kiedyś w obcej stronie.

WINCENTY DAWID.

1840.


 A decorative horizontal border with ornate scrollwork at each end, enclosing the word "PIOSNKA" in a bold, serif font.

PIOSNKA.

DO PRZYJACIOŁ PRZY WINIE.

Hej — druhowie przystępujcie
 Wino ze mną pić.
 Wszystkie troski ulatujcie,
 Pęknij smutku nić.

W licach naszych jak jutrzeńka
 Błyśnie śmiechu trzpiot;
 Gdy Bachusa z czarą ręka
 Rościągnie swój lot.

Nuż zespolmy nasze dłonie —
A niech widzi bach,
Jak z nas każdy w winie tonie
Feliks, — Maciej, — Stach.

Myśli nasze pod sklepienie
Radzi dójdą wnet,
Bo jakichże przy tej wienie,
Człek nie sięga met.

Najpocziwszy pierwszy z ludzi,
Co pokocha dzban,
Gdzie się nektar winka budzi,
Niech mu świeci Pan.

Kochajmy się z sobą stale,
Jak dobrana młódź,
Słodźmy winem życia fale,
Krzepmy naszą łódź.

W. G. REUTT.

PRZECZUCIE.

Dla czego dusza moja zgnębana, trwożliwa?

Ulgi znaleźć nie może i uspokojenia?

Dla czego ciągły smutek czoło me okrywa,

I sen nawet zatruwa złowieszcze marzenia?

Dla czego serce w piersi niespokojnie bije,

Dla czego każdy szelest pierś silniej podnosi,

Czy dzień świta na niebie, czy noc ziemię kryje,

Mnie złowieszcze przeczucie smutek jakiś głosi?

Dla czego krew się ścina na każdy dźwięk głosu,

Echo coś mnie powtarza, zda się, że coś słyszę,

Co chwila oczekuję bolesnego losu,

Skryłabym się na wieki w odludne zacisze.

O ludzie nieczuli tylko od was zdala,
Można duszy bolesne ukoić cierpienie,
Zrzucić ciężar niedoli, który dziś przywała,
Lecz w pamięci na wieki zostanie wspomnienie.

IZABELLA SWIĄTKOWSKA.

Petersburg
6 Grudnia 1842 r.



Wielki jest świat nasz i wielki jest nasz kraj,
 W wielkiej jest siła i wielki jest nasz kraj,
 W wielkiej jest siła i wielki jest nasz kraj,
 W wielkiej jest siła i wielki jest nasz kraj.



Petersburg
 1843 roku

WIOSNA W STOLICY.

Słońce z blado-błękitnej niebios okolicy,
 Krótkiej wiosny ognisty promień rzuca z góry,
 Te gmachy, wieże, słupy granitne stolicy,
 Wieczne groby tu niegdyś kwitnącej natury.

Wiatr lecąc przez ulice po dzikim kamieniu,
 Wzdyma pył, i żdźbło suche w powietrzu zgromadza,
 W oknach kwiaty dumają jak jeńce w więzieniu,
 Nigdy ich rannej zorzy rosa nie ochładza.

Północ bije, ulica dziwnym światłem płonie,
Wszędzie jakby płomykiem fosforu pokryta;
Jakaś młoda blondyna siedząc na balkonie,
Westchnęła zamyślona i znów romans czyta.

JAN BARSZCZEWSKI.

Petersburg.
1843 roku.



N A T U R A.

Z każdym dniem
Ja słabiej,
I przybliżam
Się do grobu;
A w około mnie
W przyrodzeniu
Wszystko żyje
Życiem dzielnym
Pełnym siły.

Ja się śmieję,
Cierpię, płaczę,
Dumam, żądam,

Próżną marą
Serce łudzę,
I sam sobie,
Życie truję —
A w koło mnie
W przyrodzeniu
Sił milijony
Bez ustannie
Się rozwija;
Każda dąży
Do swej mety
Pewnym trybem,
Wedle wiecznych
Praw natury!

O, naturo
Wiecznie młoda,
Wiecznie świeża,
Nieskalana,
Niezachwiana,
Wiecznie silna,
Wiecznie zimna!
Jak nikczemny
Przed twą mocą,
Jest z nas każdy, —
Jestem ja.

O naturo!

Niepojęta;
 Żywicielko
 I władczynio;
 Nim pochłoniesz
 Proch mój marny
 W nieobjętym
 Chłodnym, łonie;
 Odsłoń — odsłoń
 Choć na chwilę
 Przed mym okiem
 Twą zasłonę
 Tajemniczą,
 Niech przynajmniej
 Przed mogiłą
 Pojmę cuda
 Twego życia,
 Pojmę dziwy
 Twojej potęgi.

PANTOFEL.

Petersburg 24 Maja
 1842 roku.

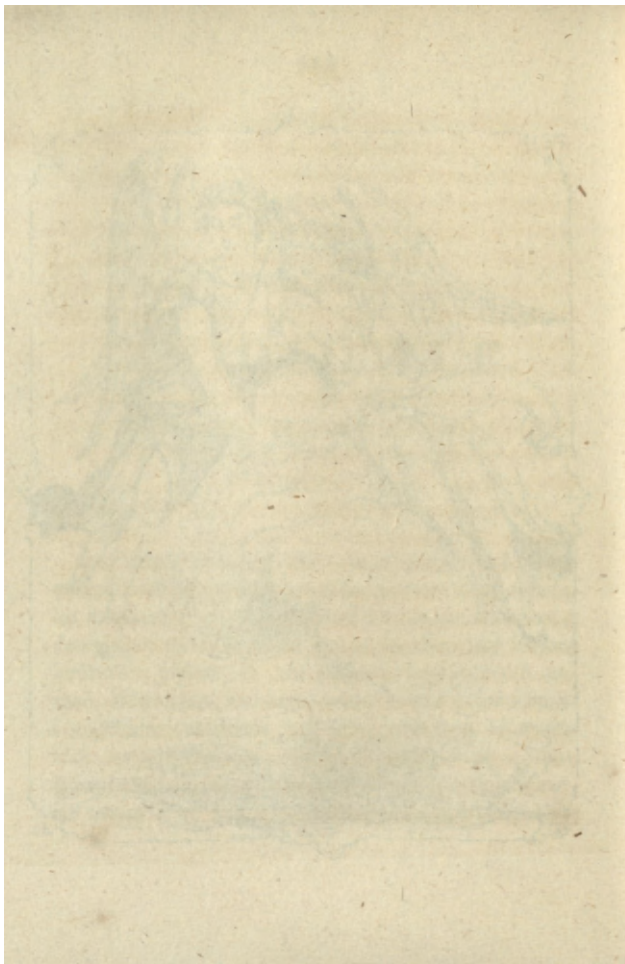
DWAJ BRACIA

ANIOŁOWIE.

(SZKIC FANTASTYCZNY).

Jest kraina. Kraina światła — spojona z Boskich ogniw, przepełniona Boskiem tchnieniem, przesnuta promieniami Boskiego oka, okolona Boskiem ramieniem. Kraina dawniejsza nad czas, nad potoki wieków, nad miliony światów; piękniejsza nad pasma najpiękniejszych marzeń, dziwniejsza nad same cuda. Kraina przedwieczna i wiekuista, mieszkanie JESTESTWA wyższego od wszelkich Jestestw, słowem: Stolica samego Twórcy — BOGA. Zaiste! My Jej nieznamy, niewidziemy, niepojmujemy, nie objawia się nawet w żadnych nam wzorach; z tём





<http://rcin.org.pl>

wszystkiem — wierzymy w nią ślepo. Wiara ta podobna do działań wchodzącego poranku na zawarte oczy śpiącego młodzieńca, póki igrają z nim widma nocnych jego marzeń...

W niej żyją istoty najpierwsze mające prawo do nieskończonej czci dla Boga, w obliczu Jegoż Samego; i wzajem — do nieskończonej dla nichże Boskiej miłości. Ich byt jest dla nas niepojęty: tchną przy samem Bóstwie, tchną tchnieniem samego Bóstwa, tchną w samem Bóstwie!!!

Raz (pomimo tak dziwnych — tak niepożytych — i tak Boskich uroków krainy), jeden z jej mieszkańców, *z przytępionym wzrokiem* — stał w myślach pogrążony:

„Co się to z tobą dzieje mój luby bracie?” zapytał podleciawszy do niego drugi brat Anioł. „Lica twoje rażą mię wyrazem jakiegoś zgoła nie pojętego mi piętna, jakiegoś nie samoistnego zafrasowania się, jakiegoś nie swojskiego — oddalonego i (że tak rzekę) dzikiego zabłąkania??? Co tak napełnia — i jakby trwożną przejmując twą duszę?”

„Bracie mój! (odrzekł zapytany) Na chwilę tylko odwróciłem oczy od dziedzicznego naszego świata (gdzieśmy pierwsi zyskali prawo obywatelstwa), wraz odleciałem odeń myślą — sercem i pamięcią, nurząc się w bezdennej otchłani zgoła innych światów. Tam — u-

czucia dotąd nie znane zajęły całkiem mą duszę. Dużo! Tyś przed tem doznawała właściwej nam aniołom spokojności, wierzyłaś w niezachmurzone i niezachwiane szczęście, napajałaś się najśodszą harmonją w chórze Cherubów i nasycalaś się widokiem świętego oblicza niewcielonego Bóstwa; a teraz?... Teraz się dziwnie rozprzęgła!... Pierwiej jam ślepo i ślepo hołdował Przedwiecznemu; a teraz?... Niestety! Teraz ów najczystszy hołd zamienił się tylko na wdzięczność, połączoną z najśodszą tęsknotą....

„Spójrz Bracie na okrążający nas ocean: czyż nie jest dostatecznie majestatyczny i święty? czyż nie pełen Boskiego oblicza — oka i tchnienia?... mało mi jednak tego było.... mało mi było najprzestronniejszych jego granic, a w nim — naszego udziału.... oderwałem odeń moją uwagę, ośmieliłem się bowiem zajrzeć do innych świątyń wielkiego przemysłu, i otoc — rzuciłem badawczy wzrok na jedną z tych jasnych kropel, które tryskają od niezliczonych fal jego, i cóż?... Każda z takich kropel jest bezdną światów, a każdy z takich światów (ledwie dojrzanych) jest okrążony milionami drugih, zlanych w jedną grupę lekkiego, jasnego pyłku.... pyłek ów (tak jak i inne mu podobne) korzy się wyłącznie przed swoją panującą kroplą, jakoby przed majestatem Najwyższego Władcy.

„Sledząc ciągle tajniki nieznaných nam światów, za-

stanowiłem najbardziej uwagę na jednej z tych jasnych kropel — i cóżem odkrył?... słuchaj! Ta (jak i inne do niej podobne) daje życie swemu osobnemu światu. Proszki zaś daleko drobniejsze, lecz jeszcze same z siebie nie jasne, a tylko przez pośrednio uiskrzone, snują się około swej kropli z niejakimś drżeniem, z niejaką tajemniczą trwogą, wszakże w pewnym porządku. Widziałem jak z nich jedne się wylegały i w czasie poczęcia były zupełnie ciemne, jak inne stopniami nabierały światła, jak niektóre zamieniwszy się w jasne czepiały się do drugich również jasnych, i jak nakoniec wzamian zeszyłych utwarzały się nowe.

„Na jednym z tych ciemnych (tylko co wylęgłych) proszków, wzrok mój się nagle zatrzymał. Nie wiele chwil przeszło, ów — kilkatysięcy razy przemknął około swojego świata, około tej iskrzącej się kropli, która znika w wichrach pyłu... pyłu szczytnie lgnącego do każdej z tych jaśniejszych kropel, co na tle oceanowem świecą bez liczby.

„Po tylu tak rozmaitych i tak szybko przemijających się zjawiskach, nowe na drobnej powierzchni załiły się widoki: ów biedny proszek, korząc się przed jasnym obliczem panującej swej kropli, z początku był pomroczony i jakby umarły; wmgnienu ruch na nim powstał — powierzchnia jego kilka się razy zmieniła; nakoniec z chaosu — zajaśniał pewny porządek. Ruch ustał, po

którym się sformował stały obraz, tło proszku przybrało kształt pustyni; a wszystkie zmiany (jakie się tam odbywały) zdawały się całkowicie odpowiadać przeznaczeniu nikomego prochu...

„Po takowych widzeniach inne — dziwniejsze i jakby bardziej jeszcze tajemnicze zrzędziły się cuda. Ledwom je zobaczył, natychmiast z najśladszym uczestnictwem brata uczułem, że na łonie owego nikczemnego proszku rozwija się życie podobne zupełnie do życia mojego, i że pomimo jego nikczemności cicho się na nim rozlega to Imię, które tutaj — na nieskończonej naszej przestrzeni, przy odgłosach wiekuiestej chwały razi nas takim gromem. Rozlega się i zostaje usłuchane. Widziałem tam żywe twory, których podziwiałem poczęciu — ciągłemu rosplenianiu się i ich zmykaniu, gdy ustępowały miejsca drugim.

„Z początku te twory zdały się być obleczone nie jakąś pomroką, zgoła mi nie pojętą; wmgnieniu — ujrzałem promień, który wionął nad nimi. Ów promień swą jasnością zdał się przechodzić wszelką jasność śle dzonych przezemnie światów....

„O miły Bracie! cóż znaczy ów proszek ciemny — znikomy — gasnący w ednej z kropeł tego purpurowego oceanu, którego ogniste wały gromami swemi zlewają się w akordy śpiewów dla Przedwiecznego?... I cóż znaczą chwilowi jego mieszkańcy?...

„Oni jednak żyją — żyją cudownem tchnieniem. Oni w obciążonem swém życiu rozwijającem się w nicestwie posiadają to, czego my w naszym błogim i wiekuistym bycie nie mamy. Nasz udział jest nieskończone szczęście, a ich?... im przeznaczono cierpieć. Cierpienie! samo wspomnienie o tobie, najuroczyściej potrąca mą duszę. Cierpienie! Dla nich ty nie doścignione, a ja z wysokości mojej pojmuję w tobie całą Boską tajemnicę. Cierpienie — dzieło Wielkiego Mistrza! Ty nasycasz ich tem, czego my tu — w naszym dziedzictwie nie mamy: nasycasz tajemniczym uczuciem wiary, roskoszą nadziei i najśodszy m nektarem — miłości.

„My — nadziemscy mieszkańcy, pośród naszej niezachwianej i prawdziwie błogiej wieczności; nie pojmujemy tego chaosu, tego silenia się, tej dążności ku czemuś lepszemu; któremi napełnione ich chwilowe życie w prochu. Co dla nas jest — co dla nas zawsze było, to jeszcze dla nich będzie. Nadzieja! ta nieodstępna opiekunka wcielonych ludów, ciągle im to zapewnia, i zaiste!... ledwie nie takim ich pokoi nektarem w oczekiwaniach, jakiego my doznajem w samej rzeczywistości. Przedwieczny umieścił nas u stóp Swojego niezbadanego Tronu, i my Go widzimy i my Go znamy; dla nich oblekł się szatą tajemniczego mroku trwożącej poniekąd następności. Zawarci w ciasnych konchach, zgola nie przenikają nie skończonych granic Bo-

skiego przemysłu. Czują jednak Boga — wyciągają do Niego ramiona, przedzierają się przez miliony zastoi; i kiedyś znajdą Jego, także Go pojmą, jak my Go dziś znamy i pojmujemy.

„Ich wiara jest zwycięstwem odniesionem duszą, tudzież uzacniającem i wznoszącem tęż duszę. My bowiem doświadczając ciągłej miłości Przedwiecznego, nie możemy nie hołdować Mu: jako przybliżonemu do nas, i jako dobrze nam pojętemu. Taż sama miłość okazywana dla nich w prochu — nicestwie — cierpieniu, o ile ich byt osładza, o ile upiększa dla nich i samey proch, gdzie pośród przemian tlenia i gaśnięcia, wszystko im zapowiada — o wieczności... .

„Z ową tajemnicą cierpienia oświecającą duszę, łączy się druga tyleż ważna z siebie tajemnica śmierci. Śmierć wszyskiemu (co tylko otacza mieszkańców nikczemnego pyłu) daje i cenę i krasę. Śmierć — to najokropniejsze straszdyło marzeń, przywiązuje ich trwogą straty do chwilowego bytu. Wzdrygają się przed nią — lecz tem silniej lgną do biednego swojego proszku, jakby do daru niczem niezamienionego; a tem samem, i chętniej się zgadzają do znaszania wszelkich pocisków.

„Lecz w ostatecznej chwili rostawania się z życiem, oni się zaznajamiają z tajemnicą śmierci... Śmierć wtedy już się objawia nie w postaci straszdyła ostrzącego groty na terazniejszość i następność, a tylko się staje

jasnym wspomnieniem przeszłości.... która razem z nimi wylatuje z prochu, wieczny towarzysz nowego życia....

„Mój Bracie! Ot co pogrążyło mię w smutne rozmyślanie, tak zapewne zadziwiający ciebie, pośród otaczającego nas szczęścia w obliczu Boskiej światłości. Kilkam chwil przeżył zgoła innem życiem. Chwilowy mieszkaniec prochu, jam doznał wszystko co tam życiem się zowie: pojąłem w cierpieniu słodycz nadziei — pokój wiary — wesele miłości — cechę śmierci.

On zamilkł.... on podniósł oczy.... przed nim stanęła znów Arka niezliczonych światów — ów nieobjęty ocean, którego fale bystro lecąc, harmonijnym swym gromem sławią Przedwiecznego.

WINCENTY GOZDAWA REUTT.

M o s a r z.



R Y B A K**BALLADA.****I.**

Rybak wesół i szczęśliwy
 Widzi cud — dziewczica
 Z wód wypływa, tworzy dziwy,
 Jakby czarownica.

Słowik spiewa w lesnym cieniu;
 Cóż rzekła do drzewa,
 Słowik siadł jej na ramieniu,
 Cudne pieśni spiewa.

I motylów ćma skrzydłata,
Nakształt barwnej tenczy,
Około jej skroni lata,
Jak kwiatkami wienczy.

Patrzy rybak, wzrokiem ona,
Jego wzrok spotyka,
Jakby wstydem zapłoniona,
Znów pod wodą znika.

I wiatr powstał z niepogodą,
Wznoszą się bałwany,
Rybak długo stał nad wodą,
Poszedł zadumany.

II.

Wiatr powiewa fala wzdęta,
Szumi nad kamieniem,
Siedzi rybak myśl zajęta,
Wciąż smutnym marzeniem.

Tam gdzie cisza w gęstej trzcinie,
I gdzie szumią wały,
Po powietrzu płaszek płynie,
Jak rybitwa biały.

I na brzegu skrzydła składa,
Skląda piór sukienki,
Stoi bóstwo, włos jej spada
Czarny, cudne wdzięki.

Widzi rybak przedmiot drogi,
Taż sama dziewczica,
Fala jej całuje nogi,
Wiatr zwiewa włos z lica.

Wicher kilka piór porywa,
I w górę podnosi,
Woła ach ja nieszczęśliwa,
Wstrzymać one prosi.

Rybak bieży, łowi piórka,
I daleko stroni,
Bieży przez las do pagórka,
Któż wiatry dogoni.

I powraca zmordowany,
Pot ociera z lica,
W brzegu tylko szumią piany,
Już znikła dziewczica.

III.

Woda szumi, grzmot w obłoku,
Zmrok wieczorny pada,
Siedzi rybak smutek w oku,
Jad w sercu, twarz blada.

Wciąż na wody zwraca oczy,
I czeka dziewicy,
Złota rybka z wód podskoczy,
Nakształt błyskawicy.

To sie zbliży, to oddali,
Podskoczy i ginie,
I znów cuda pośród fali.
Taż dziewica płynie.

Włos jej czarny spada z głowy,
Snieżne piersi skrywa;
I rybaka temi słowy,
Do siebie przyzywa,

Mój rybaku smutek szkodzi,
Żale precz ucieką,
Gdy ja rybka, a ty w łodzi,
Popłyniem daleko.

Tam wysepka, gdzie pogoda
Ciągła, uciech roje,
Piaski złote, jasna woda,
Tam mieszkanie moje.

Silniej woda szumi wrząca,
Rybak w łodzi płynie;
Wicher wiośło z rąk wytrąca,
I on w falach ginie.

JAN BARSZCZEWSKI.

1842 r. Listopada 10.
Petersburg.



IMATRA.

KRAJOWIEC

Wędrowcze, słyszysz odgłos urywany,
 Z miliona akkordów niestrojnych ulany?
 Raz niby jęcząc dzwonią dzwony,
 Znów niby ludu krzyczą miliony,
 Słychać wrzask przerażenia,
 Lament kobiet, płacze dzieci,
 Świsty wichrów, trzask płomienia,
 Grom po gromie leci,
 I pisk, i wycie, syczenie,
 Jakby cały zwierzyniec rzucono w płomienie;

Znów niby hymn zabrzmiał wspaniały
 I odbił się poważnie o finlandskie skały.
 Wędrowcze, owe dźwięki dziwnie pomieszane,
 Pewnie echo z lat starych do dziś dnia zbłąkane.
 Wędrowcze! słyszysz to tatarskie ordy
 W targnęły w ziemię Sławian z płomieniem i mordy;
 Pada w płomieniach Kijów złotogłowy,
 Wielkiego Nowogrodu dzwón jęczy wieżowy
 Czy słyszysz Wędrowcze?

WĘDROWIEC.

Słyszę, tam byłem krajowcze,
 To Imatra — strasznie patrzeć było —
 Jej cielsko niespokojne, wprzód się płasko wije,
 A dalej kryształową wyciągnąwszy szyję
 Zasycało i wrzało — pianą się okryło,
 Rzuca się z jękiem, trzaskiem między czarne skały,
 Aż się na dole w szklane jezioro rozbije —
 Ze drżeniem stałem patrząc osłupiały —
 A zda się patrząc na to dla oczu pielgrzyma,
 Duch przedpotopowego tam stanął olbrzyma!
 A stojąc niewidzialny na rozdartej skale,
 Rwie z wściekłością i ciska w przepaść drżące fale;
 Tak mści się na żywiole, co jeszcze przed laty,
 Braci jego potopił, kości stłuk na szmaty,

I po finlandzkich poroznosił górach,
Jak wichur chmury po nieba lazurach.

ZACHÓD SŁOŃCA W JESIENI.

WĘDROWIEC.

Dziwne z jawisko — patrz, patrz czy tam duchy.
Na skandynawskiej bój staczają stronie?

Patrz, patrz, rycerze i konie,

Pędzą z wietrznemi podmuchy,

Czasem grzywa się płomieni.

Niby gonią do szturm, zbroja krwawo błyska,

Z krwią pomieszana piana z pod nóg pryska.

Przebóg ten cień na czele, postać mi to znana,

To duch pogromcy Szwedów, to wojsko Stefana —

Powiedz krajowcze, pewnie duch hetmana

Pamiętkę gruzów i szturmów odświeża,

W chmurach drużynę zwyciężką szykuje;

Przeze mgły pianę w pław wichrowej fali,

Z tryumfem wjeżdża do grodu Alhali.

Tam niby gród wspaniały, patrz w dół pada wieża,
 Jak gdy ją skryta mina prześwidruje,
 Baszty runęły, gruzy zawałyły —
 Za zwaliskami blask jaskrawy wzrasta,
 Oblał pół nieba, jakby pożar miasta,
 To zachód słońca — czarne cienie się skrwawiły,
 Ognistemi na gruzach powiewają szaty,
 Tryumf nad Szwedem głoszą jak przed laty;
 Krajowcze, powiedz czy to Czarnecki z drużyną,
 Lata nad Skandynawskich warowni ruiną.

KRAJOWIEC.

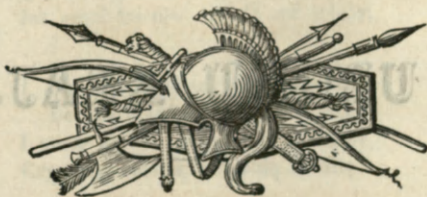
Tam — to obłok z słońcem igrają zachodu...
 Nieświadom często żeglarz z obcego narodu,
 Mniema widzieć okręty z ojczyzny jadące,
 I w nocnej ciszy szle z dział pozdrowienie grzmiące.
 A ja — ja także za młodu,
 W tej grze obłoków inny świat widziałem,
 W którym żył duch mój, młodym tchnął zapałem.

PRZYPISKI: *To Imatra* etc. — głośny jest u podró-
 żnych ten wodospad na rzece Woxie, jego szum

tak jest potężny, że o półtory mili słyszeć się daje.

Walhala. Raj u Skandynawów dokąd szli wojownicy polegli w bojach, Skaldowie w pieśniach opiewali ich zwycięstwa dokonane na ziemi.

WINCENTY DAWID.





UROKU KRAJ.

Płyną po niebie chmurki jak puch,
Na nich żegluję marzenia duch,
Księżyc promienne snuje warkocze,
I muska fali szklanne przezrocze.

Fala po fali całują brzeg,
Gdzie rozwiął piasek biały jak śnieg.
Swawolny wietrzyk — róży kochanek,
Usnął objąwszy listków jój wianek.

Po gajach chodzi północy cień,
Każdego drzewa okrąży pień,
Niby rusalka błędząca skrycie,
Szuka młodzieńca uwikłać życie;

Na liściach siada, to skacze z drzew,
Jak przerywany słowika śpiew,
Igra z kwiatami, i krople rosy
Jak pereł wieniec wplata we włosy;

Na zwierściadlaną znów pada toń,
Do fali chłodnej przyciśnie skroń,
I pilnie słucho: w mokrym kryształe,
Czy grają muszle, czy śnią korale;

Gwiazdzistą kitą jak gdyby paw
Znowu się kąpie pośrodku traw,
To z kwiatów spiża woń czarującą,
To snem spowija muszkę niespiącą.

Ale uroku nie ten mój kraj,
Stokroć piękniejszy — prawdziwy raj:
Tam kwitnie w blasku krzew upojenia,
Tam mieszka bóstwo mego marzenia.

Bo od śmiertelnych piękniejsza cór,
Doskonałości, stworzenia wzór,
Z mą duszą razem, jak w lubym cieniu,
Czuwa w mych myślach, śni w mym marzeniu.



BRATEK.

D L A

Na północy gdzieś daleko,
W Azijackiej dzikiej stronie,
Stał domek nad Leną rzeką,
W oknie cudny kwiatek płonie.

Ma sukienkę z aksamitu,
Rozmaite na niej wzory,
Złota, róży i błękitu,
Tenczy niebieskiej kolory.

Jak aniołek z nieba spłynął,
Z okna patrzył zamyślony,
Gdzie las głuchy we mgle ginął,
Letargicznym snem uspiony.

Tułacze idąc zmartwieni,
Postrzegli w oknie ten kwiatek.
Do okna biegą zdziwieni,
I krzyczą bratek, nasz bratek.

Patrzcie jak barwa przyjemna,
Jakby kwitnął w samej wiosnie,
Ach on taki blisko Niemna,
Blisko Wisły u nas rośnie.

I zajęci wspomnieniami,
Na ten kwiatek poglądali,
Zalewając oczy łzami,
Znowu w podróż idą dalej.

Tak i w drodze życia mego,
Gdy ma ciągle myśl zmartwiona,
Spotkałem blask oka twego,
Rzekłem: bracia, oto ona.

Lecz przynaglony wyrokiem,
W myśli mając ciebie stale,
W kraj przeszłości skryty mrokiem,
Drogą życia idę dalej.

JAN BARSZCZEWSKI.

1842 Listopada 1.

S. Petersburg



CYPRYS.**FANTAZJA.**

Cyprys porósł na mogile
Gdziem przeskakał wiek młodości;
Ach! dajcież mi jedną chwilę,
Jedną chwilę — ach! miłości! —

Gdyby zgon mój kto przyspieszył,
Czego żałujesz spytany:
Żem i siebie nie pocieszył
I żem nie był zakochany! —

Tak więc marzyłem — niewiedząc że chwile,
Olbrzymim krokiem srogości się bliżą;
Szukałem szczęścia w niewidzialnej sile,
Tęskniłem za nim, jak za leżką świeżą.—
Długom go szukał po zbyt sliskiej drodze,
Widziałem dosyć — lecz nic nie widziałem!
Na przyszłych latach róże zasiewałem,
A ciernie i głogi straciły swe wodze.
Jak zefir wieje po różanym wianku,
Jak niknie rosa w wiosennym poranku,
Tak wyglądałem tej błogiej kolei,
Gdy miłość dla mnie zabłyśnie w nadziei.
Szczęśliwa młodość, szczęśny wiek młodzieńczy,
Szczęśna igraszka dawnej wesołości,
Wszystko szczęśliwe — póki niewieńczy
Okrutny serca żar błogiej miłości.—
Igraszko dziecinna, ty bawisz me oko,
Zachwycasz serce, unosisz daleko,
Przemawiasz do mnie, przemawiasz głęboko,
A twoją pamięć oblewam łez rzeką.—
Ruszę krok naprzód; chcę wrócić te chwile,
Gdym igrał szczęśny w młodociennej sile,
A skacząc rzezwo z kamyka na kamyk,
Spędziłem miło młodości poranek.—
Dzisiaj, ach! dzisiaj wśród zabaw podniety,
Smutne mam oko i smutniejsze lice,

Tesknotę w sercu, zroszoną zrenicę,
 Dla czego? — pytam — zamilczę niestety!
 Lubilem dawniej słuchać ptasząt' głosu,
 Lubilem spiewy przesliczne słowika,
 Dzisiaj wśród nieszczęść młodzieńczego ciosu,
 Spiew miły duszę głęboko przenika.
 A gdy tęsknoty ukoić nie mogę,
 Spiewem przyzywam przypomnienia drogie.

Cyprys porósł na mogile
 Gdziem przeskakał wiek młodości;
 Ach! dajcież mi jedną chwilę,
 Jedną chwilę — wzajemności! —

Gdyby zgon mój kto przyspieszył,
 Czego żałujesz w przeszłości?
 Żem i siebie niepokieszył,
 I żem nie miał wzajemności.

Odbiła łódka na śród oceanu,
 Zagrały wichry — grom uderzył z hukiem,
 Grot co wyleciał zostanie do zgonu,
 Gdyż był zadany czarowniczym łukiem. —
 Zachwiała łódka, opuściłem wiosła,
 Chciałem dosięgnąć, lecz zapóźno było,

Łódka daleko na ocean poszła;
I wszystko w oczach zagasło i skryło,
Grot jeden w sercu i w myśli pozostał.
Dosięgnę wiosła, lecz znowu wypuszczam,
Jeden w przestrzeni sam niestety został,
I jeden tylko na przestwór się puszczam.
Zakwitły róże na wonności niwie,
Zakwitły kwiaty, blask świetny przybrały,
Trzody po niwach igrają szczęśliwie,
Pszczołki słodczyce z narcyzów wyssały;
Wszystko powabem oddycha i żyje,
Wszystko jest szczęściem w przebytej godzinie
W mem sercu smutek z tęsknotą się kryje,
Kiedyż przeminie, ach! kiedyż przeminie.—
Nieraz przechodząc przez ciemne zarosłe,
Okryty cieniem zieloności drzewa,
Daleko do niej westchnienie me poszłę,
I stanę głuchy, jak głucha opoka;
I ruszę dalej, a wiatr choć powiewa,
Nie wzrusza serca, nie osusza oka.—
Głęboka cisza, czy wichry szumiące,
Blask dzienny słońca, czyli ciemność nocy,
Czy myrtu kwiaty zapachem woniące,
Wszystko jest ciemne jakby o północy;—
Wszystko jest niczem, tylko czasem ciszę
Przerwie gwar ptastwa, lub zaszumią lasy;

Lecz gdy przypadkiem gwar i szum usłyszę,
Przywodzę na myśl upłynione czasy;
Zda się że słyszę anielskie jej głosy,
Że mówię do niej, że przy niej tuż stoję,
Że widzę oczy zmoczone łzami rosy,
Że słyszę oddech przeciągły, stłumiony; —
Dosięgam wzrokiem pod same niebiosy,
Czy jej nie ujrzę na błękitnie światła,
W górze w obłokach, albo też za drzewem. —
Wówczas się boję by wiatr swym powiewem,
Nią tak niemiotłał, jak wszystkim pomiata.
Lecz próżną trwożę w moim sercu roję,
Próżno się lękam, próżnom jest strwożony,
Gdyż ją czekają ziemskie jeszcze losy. —
Głos mój przerwany, stłumione westchnienie,
Poszlę daleko za wiatru powiewem,
Marzę o szczęściu o jakim sam niewiem,
A choć go czuję, puszczam go w marzenie. —
Kiedy skowronka usłyszę głos tkliwy,
Proszę o skrzydła, o zamianę lotu,
Bym mógł polecieć i zostać szczęśliwy,
Widzieć ją z góry z nadgórnego światu;
Niechcę z nią mówić, niechcę widzieć z bliska,
Tylko z daleka rzucę wzrok lękliwy,
Popatrzę na nią, gdy rwąc kwiatki ciska
I powiem wówczas, jak byłem szczęśliwy.

Może przypadkiem wśród obłoków chmury,
 Postać zmienioną blask słońca oświeci;
 Może przypadkiem jęk głuchy ponury,
 Wyjdzie z jej piersi i do mnie doleci.
 Czyli wzajemność w tem jej poruszenin,
 Czy myśl żem śmierci poszedł na ofiarę,
 Wzbudzi westchnienia;— jednak w mém marzeniu,
 Wlałbym w mą duszę szczęśliwości czarę.—
 O gdyby myśl ta w marzeniach polecie
 Była prawdziwą, bym przez te koleje
 Mógł wzajemności przewidzieć nadzieje,
 I osiąść serce w najmiłszej istocie;
 Wówczas myślami przywodząc wspomnienia,
 Żałowałbym chwili miłego marzenia.

Cyprys porósł na mogile
 Gdzim przeskakał wiek młodości;
 Ach! wróćcież mi jedną chwilę,
 Chwilę wzajemnej miłości.

Gdyby zgon mój kto przyspieszył,
 Czego żałujesz spytany:
 Chwili gdym siebie pocieszył,
 W mniemaniu żem był kochany.

KAROL E. SIED....

1833 roku.

ZOFJA CHRZANOWSKA.

(USTĘP HISTORYCZNY)

Z DZIEJOW XVI WIEKU.

Trembowło! dziś twe ciało — jak w latargu leży,
U stóp twych rzeka Święca cichym nurtem bieży —
A pasmo gór przedstawia obraz oniemiały;
Na nich — śpi bez użytku zamek spustoszały.
Trembowło! dawnych władców taka była wola,
Abyś strzegła kraj własny — od granic Podola.
Półtora przeszło wieku — w łonie czasu toną,
Jak się wstawił twój zamek Chrzanowskiej obroną.
Muzo! przybądź na pomoc do mdłego poety,
Co śmie z grobów wywołać — cień sławnej kobiety!

Znany dobrze z potęgi i męstwa Jan trzeci *),
 Który w dziejach narodu nieśmiertelnym świeci —
 Po śmierci Korybuta **) choć swój oręż wstawił,
 (Gdy kraj od złych warunków pokoju ***) wybawił
 Zwycięstwem pod Chocimem, gdzie legł wróg zażarty);
 Wkrótce jednak Mahomet wzmocniwszy się czwarty,
 Ciągnął ze zbrojnym tłumem tureckiej dziczyny,
 I przeciął szlak graniczny — Polaków krainy.
 Wódz — Seraskier Ibrahim skrzydła swe rozłożył,
 Zajął Lwów, a Trembowłę — blokadą otoczył;
 Zamysł ten niespodziany doprowadził wmgnieniu,
 Nawet wprzód — nim Król zazał o jego wkroczeniu.
 Galicję znowu jarzmił wojny srogościami:
 Wsie, miasteczka — folwarki niszczył pożarami,
 Lud bezbronny zabierał i pędził w niewolę,
 Siejąc wszędzie katusze — piekło i niedolę.
 Moźniejsi do twierdz swoich — zamków się chronili,
 Unosząc wolność, którą — nad wszystko cenili;
 Unosząc życie swoje — życie żon — i matek,
 Życie ojców — rodzeństwa — i bezbronnych dzieciak.
 Nad twierdzą miał Chrzanowski powierzone wodze:
 A jak bardzo nie licznej przewodził załodze —

*) Sobieski.

**) Michał Korybut Król.

***) Pokój Buczacki.

To i szlachta z okolic wpomoc mu stanęła,
 Która z mężnym zapalem oręza się jęła.
 W tem się dumny do niego odzywa pohaniec
 Grożąc: iż mu śmiertelny zapali kaganiec —
 Jeżeli uporowi, i swych chęci gwoli,
 Dobrowolnie zawładnąć twierdzą nie pozwoli.
 Lecz wojownik w usługach kraju osiwiaty,
 Niechciał w chwili postradać — o co dbał wiek cały
 Zwołał więc swą załogę i przez posłów rzecze:
 Że rad idzie w zapasy! rad daje odsieczel
 Oświadczyć wezyrowi i to również kazał,
 Gdyby dalej kraj polski ni krokiem niezmazał —
 Gdyż raczej w gruzach twierdzy legnie z żołnierzami,
 Niż zgodnem się poddaniem siebie i ich splamili
 Obrażony Ibrahim z takich słów odporu,
 Przypuścił szturm do twierdzy — bliskiego klasztoru; *)
 Z znaczną stratą odparty tchem wojennej cnoty
 Cofnął się — by do szturm przyjąć z nowemi rotą.
 Lecz i te żołnierz twierdzy mężny — wierny — śmiały,
 Umiał dzielną prawicą odepchnąć za wały.
 Wtedy — srogą przysięgłszy zemstę Turczyn dziki,
 Wkoło miasta postawił ustrojone szyki;

*) Klasztor i kościół księży Karmelitów, leżący na lewym brzegu Świący.

Skąd — do twierdzy dni kilka kanonada grzmiała,
 Przez lane wraz w obozie *) dla blokady działa.
 Tym czasem — z jednej strony, gromem zbrojne wały
 Gdy na wroga śmiertelne ciosy wymierzały;
 Z drugiej strony starcowie — niewiasty i mali,
 Niebios — u stóp ołtarza o pomoc żebrali.
 Wkrótce — skutkiem upornej turczyna mściwości,
 Obłączonym zabrakło nie zbędnej żywności.
 Żołnierza tak strudziło dniem — nocą czuwanie,
 Że zaledwo już wroga odpierać był w stanie.
 Nawet się z wojowników najstarsi trwożyli,
 Aby Turcy na twierdzę znów nie uderzyli;
 Gdyż wyłom — w murach miasta, znaczny się znajdował,
 A coraz nowe hufce najezdnic szykował.
 Trwoga się powiększała między żon i matek,
 Między mężów — i ojców — i bez bronznych dziełek.
 Nawet w liczbie trzydziestu szlachty zamysł wzrasta,
 Nalegać o oddanie i twierdzy — i miasta —
 Byleby nieprzyjaciel oświadczył im zgodę,
 Powitać opuszczoną — rolniczą zagrodę.

*) Turczyn zaprzysiągłszy zemstę, używał wszelkich
 do jej wywarcia środków; w skutek czego — były u-
 rządzone w obozie piece, za pomocą których lano wiel-
 kie armaty.

O t \acute{e} m si \acute{e} dowiedziała Chrzanowskiego żona:
A gdy zapał obrony już i w m \acute{e} żu kona
Przewagą — którą zdał si \acute{e} mieć Turczyn zuchwały;
Stanęła w radzie zbrojna we dwa puginały
I rzekła: „oto m \acute{e} żu! jednym zgubię ciebie,
Drugi pot \acute{e} m we własnej m \acute{e} j piersi zagrzebię —
Jeśli oddasz Trembowłę pohańcom w ofiarę:
Na Boga! na ojczyznę! na małżeńską wiarę
Zaklinam ciebie m \acute{e} żu! szanuj wiek sędziwy
Coś przeżył — będąc zawsze usług kraju chciwy!
Zaklinam — zostaw dzieciom to godło na wiano,
Żeś miał dzielność i cnotę nie poszlakowaną!
Zaklinam — idź do śmierci przedsięwziętym torem,
Nie splam go — potomkowie, tymże pójdą wzorem
Błogostawić twe czyny — będą przyszłe dzieje....
Nikczemni!... w których gasną potrzebne nadzieje.”
Skończyła — jej odwaga dziwna w swoim składzie,
Jaką tchnęła potęgą w wojowników radzie:
Że jedni oniemieli na to przemówienie,
A drugimi najsilniej wstrzęsło podziwienie.
Przez charakter — co słaba dowiodła niewiasta,
W orszaku wojowników nowy zapał wzrasta;
Mknęła z myśli wątpliwość i rolnicza chatka,
Przysięgli z wodzem bronić twierdzy do ostatka.
Wzięli si \acute{e} za poprawę s psutych murów — zwinnie,
Chrzanow-ka w każdym miejscu przewodziła czynnie.

Zamachy Turków nowe w następnym dniu — rano,
 Ze strony obleżonych mężnie wytrzymano.
 Pod wieczor bohaterka pierś pokrywszy zbroją,
 Wykonała wycieczkę pod chorągwią swoją;
 Nieprzyjacielskie szyki zwichrzyła — zmieszała,
 Kilku jeńców zabranych mężowi oddała;
 Ożywieni — z ochotą znieśli głód z trudami,
 A tym czasem nadciągnął Król Jan z posiłkami —
 I twierdzę oswobodził, krwią wiernych zbrzyzaną,
 A Chrzanowskiej przytomném mężstwem zachowaną.

Cieniu — sławnej niewiasty! święte twoje dzieje;
 Ty uczysz odszczepieńcom wierzyć znów w nadzieje...
 Tyś garstką obleżonych cuda dokazała,
 Tchnęłaś! — twierdza na nowo jak fenix powstała.
 Tyś! jak ta Orleanu dziewica zwyciężka:
 Zarówno dziwna — śmiała, zarówno i mężka!
 Jeżeli w bohaterach mężstwo, cnotę liczym,
 W tobie cudem, — więc padnim przed cudu obliczem!
 Twoje imie potomni — aż do dziś dnia sławią,
 Twą kolebkę — twe życie — twój grób błogosławią!!!

WINCENTY GOZDAWA REUTT.

M o s a r z.

BARTŁOMIEJ**W CHMURACH.**

Pan Bartłomiej Kapusta — zapewne go znacie,
Siadł sobie raz na łopacie
I tak się mocno zamyślił,
W takie bujne wpadł marzenia,
Takie mądre plany kryślił
Dla przyszłego pokolenia;
Że dum tych siłą porwany do góry,
Na swojej łopacie uleciał w chmury.
Czego tam szukał, lub chciał się dowiedzieć,
Dalipan niewiem, i nie jestem w stanie

Dać wam odpowiedź na te zapytanie.
 Sądzę jednak, że w chmurach długo musiał siedzieć,
 Bo mu sąsiad w tym czasie uwiodł młodą żonę,
 Złodzieje było skradli, zboże na pniu zgniło,
 Chatę wzięto za długi, gumno się zważyło,
 Uciekło nawet psisko, głodem wycięzione.

A gdy Bartłomiej górne sfery rzucił,
 Sąsiedzi się zdziwili
 Kiedy zobaczyli,

Że jak głupim uleciał, tak głupim też wrócił!
 Rzekł mu więc pewien starzec kuntuszowy,

„Mej rady posłuchaj bracie,
 „Niebujac waści trzeba na łopacie,
 Lecz łopatą rozumu nałożyć do głowy.

ELEONORA SZTYRMER.

Petersburg.
 Styczeń 1842 r.



D O

Pomnisz gdy księżyc ustami chłodnemi,
 Tulił kochankę do zimnego łona,
 I gdy ją okrył włosy promiennemi,
 I garnął całą w swe zimne ramiona;
 Jaki na ówczas był smutny świat cały,
 Jak się przemienił w jedną bryłę lodu,
 Jak czysta woda ścięta się w kryształy,
 Jak wszystko zmarło tknięte ostrem chłodu! —
 Jam jednak w sercu wśród zimnego łłumu,
 Czuł ogień słońca co z ocz twoich wypływał,
 I topił resztę mojego rozumu,
 I duszę słodką nadzieją umywał,

I pieścił serce tym nadziei cieniem,
Jak pieści słońce złocistym promieniem.
I wtenczas byłem cały zachwycony,
I w ideale sięgałem ku niebu,
I wierzyć niechciałem że kiedyś zbudzony,
Nadziei moich doczekam pogrzebu!—
Bo któżby wtenczas zechciał w to uwierzyć,
Że twoje oko przeciw słońcu świeci,
Któżby śmiał przyszłość myślą tęskną mierzyć,
I bez nadziei w twoje wpadać sieci!?...
Lecz taki wyrok w księgach przeznaczenia,
Aby w nadziei spędziwszy pół bycia,
Poznać młodości piekielne cierpienia,
Żyjąc na świecie i nieczując życia!—
Dziś słońce zimne rozjaśniwszy czoło,
Promieniem życia ziemię błogosławi,
I gdy nadzieją świat ludzi w około,
Czemuż i serca mojego nie bawi? —
Bo promień słońca wpiwszy się w twe oko,
Zwolna jak gdyby czarodziejską siłą,
Zakrył cię dla mnie tajemną powłoką,
I me nadzieje ostonił mogiłą,
I wtrącił w przepaść cierpien i goryczy,
Wydartłszy odcień rojonej słodyczy! —
Kiedyż więc słońce złocistym spójrzeniem,
Zajrzy w jej oczy, i duszę jej zbada?

Kiedyż zajaśni litości promieniem,
 I jej spojrzeniem cień czułości nada?—
 Lecz już się spełnia cierpień moich czara,
 Już ją dochylę z przeznaczeń kolei,
 Lecz niech przynajmniej łąą Meliagara,
 Wyplacę dla się choć bursztyn — nadziei!—

KAROL. E. SIEDROTSKI.



OBRAZ Z "NATURY.

D o E. J.

—

Szmer strumyka, arfy brzęk,
Wiatru wiosny srebrny dźwięk,
Są to, luba, twoje słowa!
Co mi w duszy szczęściem brzmią,
Przyszłość, przeszłość w sercu ćmią,
Jak ucza godowa.

Słońca cudny, jasny blask,
Rubinowej zorzy brzask,
Są to, luba, twoje oczy —
W nich gra światło, gra i cień,
Gości razem noc i dzień;
Czasem smutek ich pomroczy

Czyli znacie marzeń kraj,
Młodej duszy świetny raj,
I dziecinne upojenie,
I sny pięknobarwne me? —
Nad nie wyższe wdzięki twe
Wyższe twe spojrzenie!

W pół rozwity róży kwiat,
W letnich nocach śpiący świat,
Czarujące tło księżycy
Śród przejrzystych wianku drzew,
Mamiący urojeń krzew —
Są to, luba twoje lica!

Arf dwóch połączone brzmienie,
I śpiew dwojga chorów zgodnych,
Rzecz dla ludzi niepojęta!...
Niepojęta dla serc chłodnych,
Jak świata stworzenie —
Jest to nasza miłość święta!

WYJĄTEK Z POWIEŚCI ORYGINALNEJ

pod tytułem:

P S Y C H A.

WSTĘP DO PIEŚNI V.

I.

Jeśli was bawi powieść ma, panowie,
 Jeśli dotychczas jeszcze was nie znudził;
 Czytajcie dalej, czytajcie na zdrowie!
 Nie żal mi, żem się dla ochoczych trudził.
 A choć mi który i otwarcie powie,
 Żem w nim i nudy, i cikliwość obudził,
 Udam że niby tego niedosłyszę,
 A com już zaczął do końca dopiszę.

*) Powieść ta w krótkim czasie wyjdzie z druku.

II.

Wszyscy zapewne dobrze o tem wiecie,
 Jaka jest wieszczkom wada pospolita:
 Nie ma ważniejszej przysługi poecie,
 Jak słuchać pilnie, gdy swe wiersze czyta.
 Słuchacz u niego najdroższa rzecz w świecie!
 A choć go znudzi, sam kontent — i kwita!
 Był taki, który łożył na to duszę;
 A jak to było opowiedzieć muszę:

III.

Nie wiem czy w małym mieście, czy w stolicy,
 Pewny za rymy wiecznej sławy czekał;
 Czytał je w domach, czytał na ulicy,
 Lecz ścianom czytał — bo słuchacz uciekał.
 Widać nie mieli gustu w okolicy!
 —Właśnie też na to poeta narzekał.—
 A gdy więc w ludziach słuchania chęć stała,
 By mieć słuchacza, udał się do djabła.

IV.

Niebawem strony zgodziły się obie;
 A ich ugody ta była osnowa:
 Wieszczek djabłowi wszystkie w nocnej dobie,
 Przeczyta wiersze od słowa do słowa;

Djabeł poety weźmie duszę sobie. —

A że ochotnie stanęła umowa,
I układ obu do gustu przypadął,
Zatem spełnienia żaden nie odkładał.

V.

Słowa danego dotrzymując wiernie,
Djabeł się w nocy stawi do poddasza.
Rad nasz poeta gościowi niezmiernie,
Podaje krzesło, na fajkę zaprasza;
Wybaczyć prosi gdy znajdzie co miernie;
Tymczasem z kątów foljały znasza,
I rozłożywszy przed sobą na stole,
Na popis wreszcie występuje w pole!

VI.

Słucha go djabeł cierpliwie z początku,
Choć się pociąga, i oczy przeciera:
Lecz poziewaniem częściej w dalszym wątku
Paszczę od ucha do ucha rozdiera;
Kręci się — jakbyś podlał podeń wrzątku!
I ku drzwiom coraz z tęsknością poziera;
Wreszcie się zrywa, i chce mknąć z kopyta;...
Lecz go przezorny wieszcz za ogon chwyta.

VII.

Wrzeszczy trzymany biś na całą głowę,
 Krzycząc, że niechce rymopisa duszy!...
 Rymopis, święcie chowając umowę,
 Wszaski djabelskie czytaniem swëm głuszy:
 Prosi wysłuchać przynajmniej połowę;
 Ów co tchu rwie się i zatyka uszy!...
 Aż tëm została walka zakończona,
 Że biś do piekła wrócił bez ogona.

VIII.

Tak to żartować z wieszczem niebezpiecznie!...
 Lecz to nie do was, czytelnicy mili;
 Bo choć dopisać powieść chcę koniecznie,
 Nie zmuszam byście czytać ją kończyli.
 Lecz cóż ja robię? — wszak to niedorzecznie!
 Zboczyłem w stronę w tak stanowczej chwili,
 Gdy Psychą naszą śród burzliwej nocy,
 Została w wichrów i nawałnic mocy!

WYJĄTEK Z PIEŚNI III

P S Y C H Y.

(PODRÓŻ DO ZAMKU KUPIDYNA).

XV.

Łzę biednej Psychy zabłysnęło oko!
 Idzie powoli z gaju zamyślona,
 Przed nią się pole otwiera szeroko;
 A na niem pośród wielkiej góry łona,
 Obszerny zamek świeci się wysoko.
 Cała równina blaskiem rozjaśniona,
 Słońca i zamku przyjmując promienie,
 Żywszą ma światłość i weselsze cienie.

XVI.

Małych zefirków i amorków roje,
 Po nad kwiecistym polem się unoszą;
 Te odwiedziwszy krynice i zdroje,
 Świeżą wilgocią wonne kwiaty roszą;

A te, w ustawnym ruchu, letnie znoje,
 Motylém skrzydłem rozwiewając płoszą;
 Tamten w słonecznym kąpie się promieniu,
 Ten cicho szeptce w krzakach przy strumieniu.

XVII.

Te mają skrzydło złotem malowane,
 A u tych piórem lazuruwem świeci,
 Ten szmaragdowe, a ten ma różane;
 Ten strzela z łuku; a ten ciągnie sieci;
 Tego motyle wiozą nakrapiane;
 A ten sam bystro przez powietrze leci;
 Ten słabo drzymie, ów w cieniu ukryty,
 Leżąc na kwiatach śpi, jakby zabity.

XVIII.

Chwilę to Psychę bawi widowisko,
 Chwilę pozwala ciekawemu oku;
 Lecz widząc zamek, kres podróży, blisko,
 Spieszy ku górze i podwaja kroku;
 Myśląc: „Tam pewnie ma ten swe siedlisko,
 „Co ma być moim, z boskiego wyroku!
 „Tam wnet się dowiem, co mi każdy kryje!”
 Śpieszy — i serce mocniej w piersi bije!...

XIX.

Już Psycha nasza u podnoża góry,
 Na której zamek czarodziejski leży: —
 Lecz się wierzchołek jej wznosi pod chmury,
 I ścieszka stromo nad przepaścią bieży; —
 A Psysze, która tak słaba z natury,
 Już zmordowanej iść po niej należy;
 Gdy wątpi, — aż w tem nie czekając wiele,
 Srebrny się obłok pod nogi jej ściele.

XXX.

Ściele się, skupia, unosi się z ziemi;
 I Psycha na nim w powietrzu żegluje; —
 W tem wewsząd do niej, rotami całemi,
 Rój się zefirków, amorków zlatuje:
 Ten mgły odpędza skrzydłami złotemi;
 Ten na obłoku Psychę podtrzymuje;
 Ten na nią wieje balsamicznem tchnieniem,
 A ten swawolnie igra z jej odzieniem.

XXXI.

Ten się zaplątał w jej włosów pierścienie,
 Chce się wywikłać, lecz się próżno biedzi;

A ten, gotowy spełniać jej skinienie,
 Patrząc w jej oczy, poruszeń ich śledzi;
 Tamten ze skrzydeł swych robi jej cienie,
 Ten strzałki ostrząc u nożek jej siedzi;
 Ten coś jej szeptem tajemnie do ucha,
 A ten figlarnie bicia serca słucha.

XXXII.

Tym czasem obłok coraz leci chyżej;
 Chyżej się wznosi i lotna gromada; —
 Nasza księżniczka coraz wyżej, wyżej! —
 Góra się zdaje jak gdyby osiada; —
 I czarodziejski zamek coraz bliżej;
 A oto wreszcie i jego posada.

Obłok ku bramie pałacowej płynie,
 Składa królową, i w powietrzu ginie.

.

GAUDENTY SZPIBLEWICZ.

XXXIII.

13

TAMPA.

(Z ROSSYJSKIEGO).

Gdy na węzłowie lżą zroszone,
 Uchylę głowę, zamknę oczy;
 I kiedy miłość ma zdradzona,
 Ostatnią leżką myśl zamroczy —
 W ówczas ma lampa niechaj się pali,
 Nocna ma družka, moja kochanka,
 Świadek mych myśli, świadek mych żali,
 Niechaj oświeca sen mój do ranka.
 Kiedy czarowne marzenie
 W posępną przeszłość zabiegnie,
 Lub gdy o lubym wspomnienie
 Smutkiem w mej duszy zalegnie —
 W ówczas ma lampa niechaj się pali,
 Nocna ma družka, moja kochanka,

Świadek mych myśli, świadek mych żali,
 Niechaj oświeca sen mój do ranka.
 Lecz gdy w pustynnej nadziei
 Pociechy promyk zaświeci,
 I wśród ciernistych kolei
 Iskierkę szczęścia roznieci —
 W ówczas ma lampa niech się niepali—
 Gdyż moja miłość — światło mej duszy,
 Rozjaśni smutek, rozsieję żale,
 I mdłe światelko lampy zagłuszy.

Ig. RUDZIŃSKI.



WIERSZ NA SZCZĘŚCIE

DLA PANI H. J.

O! niewierz w szczęście! — Pokochasz. — pokocha,
Przyjdzie zły człowiek, i żądłem gadziny

W jej serce się wpije,

Wysie z niej radość — przyszłość zatruje,
I ciebie ubije!...

O! niewierz w szczęście! Z dłonią dłoń twą zlejesz,
Myślisz — przyjacieli! Tylko kroplą złota

Zaświecisz mu w oczy:

Wnet przeciw tobie podniosą się pięście
I krwi twojej utoczy!...

Może zażyłość? — To światło bez ciepła;

Poda ci rękę, uśmiechnie, powita,

Dopóki cię widzi —

Potem że niezna, wyrzeczce się, wyklnie,
I jeszcze wyszydził

Chcesz szczęście osiąść — nieszukaj go w świecie;
 Z ludźmi i dla nich, możesz życie trwonić,
 Lecz od serc uciekaj.

Grobu — gdzie mieszka pokój i nadzieje,
 Cierpliwie doczekaj! —

O, tam! — na tamym świecie, kędy duchy
 Swobodnie ziemskiej zbędą się zgnilizny,
 Tam — radość ci wionie!

Tam serce czyste, i przyjaciół znajdziesz,
 I miłość zaplonie!

Miłość niebieska jest światów harmoniją,
 Miłością Bóg jest — jej promyk na ziemię
 Przynieśli anieli;

Lecz wąż tchnął z piekła — oni z darem szczęścia
 W niebo ulecieli!...

Do L. R. S. P. O.

Sędzio! z wyroków sprawiedliwych czczony,
 Na twą ja jeden uskarżam się szale,
 Daruj że żalem dziś cały wzruszony,
 Powiem: serc ludzkich nieznasz dotąd wcale! —
 Przebacz! — jam dumny zwolennik prostoty,
 Nieznam obłudy, i szczerłość w sercu mieszcze,
 A jeśli innej niemam w sobie cnoty,
 Nią się ja szczycę i z niej dumnym jeszczel! —
 Pomnisz gdy w chwili tak nas czarującej,
 Tonąc oczyma w falach zachwycenia,
 Żaden z nas, żaden już nieżądał więcej,
 Pijąc z kielicha nektar uwielbienia!

Wesół, swobodny, z najczystszy^m sumieniem,
Rzuciłaś okiem po czarownej sali,
Z kwiatka na kwiatek płynąłeś spojrzeniem,
Które cię niosło i dalej i dalej.—
Lecz kiedyś płynął duszą zachwycony,
Korab ócz twoich o skałę zawadził,
Bieg twój zatrzymał i niepostrzeżony,
Na skałę myśli i czucia osadził.—
Znalazłeś wielu przy czarownej skale,
Smutnych wędrowców w żałosnej kolei,
Tonących w straszne namiętności fale,
Bez wiosła, steru, bez różyczki nadziei! —
Tam i ja byłem — lecz któż mi pomoże,
Żem ster na łądzie zostawił daleko,
Żem płynął szybko przez śliczne przestworze,
Z radosnym sercem, z radośną powieką! —
Powiew wiosenny łódką mą kierował,
Uśmiech słoneczny muskał moją drogę,
Ślady przechodu namiętniem całował,
A dziś do brzegu powrócić nie mogę! —
Żądne za sterem wyciągam ramiona;
Burzliwe wody ciągną na głębinę,
Pałącym ogniem cisną się do łona,
Niszcząc nadzieję że kiedyś wypłynę! —
Sędzio szczęśliwy! — Tys — porzucił skałę,
Z zimnym uśmiechem z obojętną miną,

Lecz na co choiależ bym głosił pochwałę,
Dla której wszyscy mimowolnie giną? —
Ona niewinna! — któż ją winić może,
Rzucona losem na ziemskie przestworze,
Żyje samotna, — a jeśli płynący,
Oczyrna swemi zatopi się w niebie,
I o jej twarde stopy się rostrąci,
Niech jej niewini, lecz płacze na siebie! —
Ona nie skała! — i ona ma duszę,
Wyższą nad inne, nad inne piękniejszą,
Ona ma serce! — i to wyznać muszę,
Ze z sercem swoim jeszcze jest cudniejszą! —
Jeśli płynący u stop jej upadną,
Gdy ster rozłamia, lub jeśli go stracą,
Ono jest drugą dla nich Ariadną,
Ona ich zwraca własną swoją pracą. —
Jeśli odpłyną i do brzegu wrócą,
I ster na nowo pochwyć w swe dłonie,
Wtenczas dziękczynne na nią oko zwrócą,
Niosąc jej dzięki w każdej świata stronie.
Jam już zachwycił kłębek Ariadny,
Lecz z labiryntu nie żądam wypłynąć;
Bo tam mnie wyrok wstrzymuje wszechwładny,
Tam mi żyć dobrze, i tam dobrze zginąć.
Jeśli odpłynę cóż mi pozostanie,
Jam dziś szczęśliwy w moich marzeń świecie, A

Bujam w nadziei że brnąc w takim stanie,
Jeszcze się ujrzę w szczęśliwszym portrecie —
I choć wiem o tём, że mocą wyroku,
Błąkać się muszę od roku do roku;
Dobrze, że marząc czas jakiś upłynie,
Nim ona wiecznie dla ocz mych zaginie.
Tym czasem ile wypijam słodczy,
Wśród mąk piekielnych, wśród cierpień mój duszy,
Ile roskoszy serce me dziedziczy,
Ile szczęśliwy wśród smutnej katuszy! —

Przypomnij Sędzio tę chwilę uroku,
Kiedyś mnie wezwał bydz wieszczem jej chwały.
Ileś sam znalazł zachwyceń w swem oku,
Jak cień unosił jej blask okazały.
Bo ona wtenczas miłością władała,
Była nam bóstwem — i jak nowa Hebe,
Czarę miłości do serca wlewała. —
Každy pić nektar uczuwał potrzebę,
I mimowolnie dotknięty czarami,
Połykał nektar żądnymi ustami! —
Jam go już dawno aż do dna wychylił,
Jam spełnił czarę rękoma własnymi,
Ona niewinna! — i jam się omylił! —
Ja rozumiałem że nektar spełniony,
Był zaprawiony czućmi przyjaznemi,
A on miłością był już przepełniony! —

Dziś chciałbym nektar z piersi mych wyrzucić,
Chciałbym spokojny do stóp jej powrócić! —
Lecz powiedz Sędzio! — czy moja w tem wina,
Że uciekając od trucizn kielicha,
Nowy jad łykam?! — Krew lodem się ścina,
Dusza wędnieje, a serce usycha!!!
Lecz tyś surowy, — ty nieznasz cierpienia,
Tyś mnie wprowadził w nowe dla mnie szranki.
Ja dziś uciekam, — połykam westchnienia,
A ty mnie wiesz do stóp mej kochanki?! —
Jeśliś uważał jej szatę różową,
Okrytą śnieżnym niewinności cieniem,
Jej odzież tak była mych uczuć połową,
Jak moja miłość niewinnym płomieniem! —
Na jej odzieży zawiesiłem oko,
Na kwiatach sukni uczepiłem duszę,
Wzrok mój w jej serce wtopiłem głęboko,
U stóp złożyłem całą mą katuszę;—
W sploty jej włosów przyszłość mą wplątałem,
W jej dłonie zlałem całą moją dolę,
Sam tylko ciałem na miejscu zostałem,
Bo rozum stracił całą swoją wolę.
Ona rozumem i duszą mi była,
Ona mi słońcem i życiem świeciła,
Ona mi była tak wszystkim na ziemi,
Że wszystko zgąsto przed oczyma memi!!!

A tyś zażądał stu rymnej pochwały,
 Stu rymnej tylko! — a ja dodam jeszcze:
 Gdyby w me dłonie oddano świat cały,
 A z nim i pióro, które w rękę pieszozę;
 A gdyby światów było jeszcze mało,
 Słońce i gwiazdy i wszystkie planety,
 Uwiłbym w koło godną jej pochwałę;—
 Na pomoc jeszcze wezwałbym komety,
 Oni latają w szlak nieskończoności,
 Im powierzyłbym także część pochwały,
 By ją przeniosłszy do nieśmiertelności,
 Wiecznym ją wieńcem wiecznie opasały! —

Teraz zauważ i powiedz przed sobą,
 Mam-li ja prawo twoją skarżyć szalę,
 I z dumą wyrzec przed światem i tobą,
 Jeszcze serc ludzkich nieznasz dotąd wcale.
 Kłótnie, niesnaski, zamknąć można w krańce,
 Bo to są rzeczy dla ziemi stworzone,
 Ale w granicach pisać o niebiance,
 Trzeba swe czucia liczyć za stracone! —

KAROL E. SIED.

1841.

WIDZENIE PIEKŁA.

W piekle byłem, i duch mój jeszcze wrzy płomieniem.
Naprzód émy martwej, mgliste przebyłem odmęty,
Potém jakby z ostatniem duszy ulotnieniem,
Padłem śród fal ognistych, strachem piekła zdjęty.

Huczą rozburzone wiry pryskającej lawy,
Huragan burzy wiecznej grzmi piorunem echem,
Duchy powstałe z mocy, chaosu i wrzawy,
Tłumią jęk opaleńców siarczanym oddechem!

—Niema śmierci w siedlisku mąk nieskończoności;
Żelazne berło czasu, nieugiętej mocy —
Niszcząc wszystko, nie sięgnie wyroków wieczności.
Gienjusz w pędzie nie wytrwa przeciw mroku nocy!...

PIOTR TURCEWICZ.

Petersburg.

WIDOKI PIKKEA.

N I N A,**FANTAZIJA.**

Cicha północ, nigdzie chmury,
 Z góry jasna gwiazda leci,
 Pała hesper i arktury,
 Sobieskiego tarcza świeci.

Nie śpi Nina o tej porze,
 Przy okienku siedząc marzy,
 O swym lubym o Wiktorze,
 Czy jak rosa na jej twarzy.

Kryjąc w sercu smutek srogi,
 Gdy tak myśli o kochanku,

Jakiś jeździec zwraca z drogi,
I wnet bystry koń przyganku.

Ach to Wiktor, bieży — wita,
On ogląda straszny okiem,
Smutkiem błąda twarz pokryta,
I znikł skryty nocnym mrokiem.

Nina w trwodze do drzwi wpada,
Ledwie czuje życie w sobie,
Nie przytomna, drżąca, błąda,
Woła Wiktor, — Wiktor w grobie.

I samotna zapłakana,
Cierpiąc w sercu straszne bole,
Nina pada na kolana,
Przed nią stoi krzyż na stole.

Łzy poświęca swe w ofierze,
Za umarłych odpocznienie,
Bóg wysłuchał jej pacierze,
I osłodził jej cierpienie.

Widzi jeszcze nowe dziwy,
Otoczony w krąg promieniem,

Przed nią jakiś duch szczęśliwy,
Rzekł łagodnym głosu brzmieniem.

Na twe modły Bóg się skłonił,
Skrócił w czyscu me cierpienie,
Niebios zegar już przedzwonił,
Godzinę mego zbawienia.

Wiktor teraz w cudzej stronie,
Lecz obaczysz prędko jego;
Nad nim w niebie gwiazda płonie,
Tarcza Jana Sobieskiego.

I wnet znika — wschód ubiera
Rubinowy blask jutrzeńki,
Nina z oczu łyzy ociera,
I oddaje Bogu dzięki.

JAN BARSZCZEWSKI.

BAŁABUSZKI.

Były te czasy, a nawet są jeszcze,
Wśród wielu krajów obszernego świata,
Że przesąd wiary i ciemna oświata,
Bały ludziom jakieś znaki wieszczel!

Krok człowieka, lot ptaka,
Zmiana chwil, trzew bydłęcy,
Lub jakiś traf; — powiem więcej
Fraszka nawet ladajaka,

Już coś wróżyła łatwowiernej głuszczy.
Później Religja i rozumu plody,
Gdy oświeciły sławniejsze narody,
I je wywiodły z obłąkania puszczy,

Dały im poznać Bóstwo,
 Siebie — całą naturę,
 I spędziły ową chmurę,
 Gdzie się lęgło fałszow mnóstwo.

Człek poznał nałóg błędu, razem błąd nałogu,
 Poznał ten defekt czasów i świata narowy,
 Wyrzekł się zaślepienia, a rozsądek zdrowy
 Ukochał w pośród cnoty, i oddał cześć Bogu.

Wnet runęły bałwany — wnet znikły i czary,
 Nie masz Delfów, Sybilli — i wróżki zgłupiały —
 Są jeszcze bałabuszki, fasolki, kabały,
 I to, czem dotąd wróży, gmin panieństwa stary.

Właśnie oto dziś wieczorem
 Bajecznych czarownic wzorem,
 Co przez piec na kondzielnicy
 Zbierały się przy granicy,
 Obrzędem babskiej uchwały
 Przypada termiu wspaniały.

Jest ten zwyczaj, że każda prześcigła dziewczyna,
 Co się równa przymiotom wybornego wina,

W której chęciom zamęścia przeszkadza nadzieja,
Pilnie dzień obserwuje Świętego Andrzeja.

Zbiera się więc ich tyle, ile w przyjaźń weszło,
Czasem na lat sto, dwieście, lub na trzysta przeszło;
By ich jednak zbyt było, sądzić nie wypada,
W tej lat liczbie ich pięć, sześć, to cała gromada.

Staje sejm pod tytułem, sejm wolnego stanu,
Każda głos swój zabiera, każda z ciastem w rękę,
Każdej pot rześny ciecze po zmarszczonym wdzięku,
Każdej uśmiech tak słodki, jak cukierek z chrzanu.

Gwar silny przy łopacie, krzątają się duszki,
Ta Bartka, ta Wojciecha, ta w piec sunie Jana,
Ta dwóch razem, ta czterech pakuje stroskana —
Pieką się w tęgim ogniu biedne bałabuszki.

Niby pyszne z miłości swoich wiernych grzanek,
Ten lub ów bałabuszka, wzdyma się kochanek,
A ledwie pęknie który, natychmiast w tej wrzawie,
Porywają go, tulą i kładą na ławie.

Tem czasem, pies, co rok cały na te fety czekał,
Co się ledwie od głodu przez ten czas nlewściekał,

Wlatuje, węchem sledzi tę miłość pieczoną.
I porywa oliarę na zęb następczoną.

Chwała Bogu chwyta Jasia,
Klaszcząc w dłonie, woła Basia;
Ach! a Bartka nie porywa,
Małgorzata się odzywa;
Porwał Antka i Wojciecha,
Jakaż dla Kachny uciecha.

Jedna skacze,
Druga płacze,
Tamta ścicha
Tylko wzdycha,
A ta klaszcze
I psa głaszczce,
Że dostała
Czego chciała.

I na tēm się ta kończy wyrocznia sobacza,
Że się chwyconej bułki, damulka odznacza;
Że której się czekana uišci nadzieja,
Wielbi Świętego Andrzeja;
Swojego wspomina imie,
I wśród słodkich marzeń drzemie. —

A ta, której się srogim los wydał w psiem zębie,
Popuściwszy cugle gębie,
Obiwszy psu boki,
Z początku łaje i swarzy,
Potem chowa zazdrość w twarzy,
I w żart mieni, żal głęboki.

ANTONI GOŁEK.

1826 roku

w Barze.



ROZBIÓR ŚWIETNEGO KSIĘŻYCA.

„Dla czego u Waćpana zbity łeb tak szpetnie?
 — Łaziłem po księżycu, wyglądam więc świetnie,
 Upadłszy z krętych wschodów, ścigany pogonią...

—Naprzód trzeba wiedzieć, że wzrost czyli zwierciadło wieku tego starego franta, bardzo dwuznaczne. Jedni powiadają, że on wyśmienicie może być dziadkiem ziemi, że służył jakoby za staroświeckich czasów kometą, wagetował po całym świecie jak wieczny Izraelita i mimochodem zmieniał według humoru systemy światów, podobnie jak my systemy filozofij, potem jakoby zwabiła go centralna namiętność ziemi; z tej daty

jegomość nasz ustatkował się, nagrodzony został go-
dłem planety — towarzysza, i dotychczas ciąga się za
ziemią, wtrąca się do jej awantur i warjackich domów,
bucha na nią platonicznymi wulkanami i czasami ura-
cza prezentami aerolitów i bolitów. Powiadają, że pię-
tna, które dla poetów wydają się oczyma, nosem i usta-
mi księżycy, a gminowi wizerunkiem Kaima, osądzonego
jakoby wiecznie nosić trup zabitego brata, — są to cie-
nie ogromnych gór księżycowych i dnem przepaści, o-
świeconych promieniami słońca; — lecz nade wszystko
pewniej, że te piętna są marszczki starca — księży-
ca. Wiadomo, że miękkość i płynność stanowią nie-
wątpliwe cechy — czyli wyrażając się górniej, nie odłą-
czne przymioty młodości; a nasz jegomość wysechł jak
szkielet, zacerstwiał jak chleb żołnierski i najpewniej
popękał się i zmarszczył się jak grzyb.

Drudzy twierdzą, że z pomiędzy planet, księżyc nie
jest starszy od lubego — pazia; że u niego nie rospu-
ściło się jeszcze na brodzie roślinne życie; gdyż wszy-
skie perjody organicznej natury przejdą do jego swoją
koleją za pośrednictwem drogi płynnej, że on znowu
przeistoczy się w kometę, zerwie się z swojej 28-dnio-
wej drogi, — i podczas jakiego pięknego wieczora do-
kwiemy się, że on zaleciał za dziesiąte niebo, dla u-
ształcenia rozumu i serca. Wtedy to biada dla poe-
tów i budeczników; na czem wtedy pierwsi piec będą

swoje oracje, czém posypywaó swoje poemy; na kogo pokládać będą nadzieję ci ostatni, kradnąc z latarni oliwę?! Wielu, bardzo wielu pożałują księżycy, ale ja wcale o niego nie dbam. Dawnoby pora zegnać z nieba tego łysego jegomościa. Dla miłości jego, ja razy dwa tylko co niepopadłem się w ręce zazdrośnego mę-
ża. no, ale to rzecz skończona, a co zeszło to i przeszło.

Wprawdzie księżycowi nie brakuje i na chwalebnych zaletach; naprzykład grzeczny, jako nadworny sługa ziemi, on nigdy nieodwracał się tyłem; umizga się do niej, nakręca się, nie spuszcza oczu i bezustannie do niej się uśmiecha. Jednakże ja sądzę, że on jak hiszpański lli-dalgo Ranudo de Kolibrados, dla tego tylko nie odświeca grzbietu, że on musi być szkaradniejszy od jego twarzy. Z resztą to tylko podejrzenie oparte na tem, że księżyc od wieków wiecznych lubi błysnąć na cudze konto, i na kredyt używa słonecznych promieni, jak gdyby on był członkiem wiecznego cechu naszych literatów, którzy ciebie okradną i jeszcze ciebie wyłają; a kiedy zabraknie cudzego, to oni wyrzynają szmaty ze swego grzbietu i podnawiają niemi dziury na przodzie.

Jakiś Niemiec, (a Niemcy naród dowcipny) wypatrzył przez teleskop, że na księżycu są fortece, zbudowane nakształt gwiazdy, że tam są powyprowadzane drogi, i w poprzek tego nowego świata stoi ogromna

ściana;— „to zapewno dla odporu dessantnych wiatrów”—
 odzywa się poważnie Pan Jan dobrodziej! Szalona sprawa!
 No, zgoda jeszcze, że mieszkańce księżycy mogą pić pło-
 mien miasto wody jak Salamandry, lecz zkądże tam dla
 Boga, owe stałe wiatry, kiedy niema powietrza?

Jednakże jakkolwiek bądź, chociaż księżyc bez płodny i
 bez ludny, a Aleksander Macedoński dla którego mało było
 jednego ojca i jednego świata, strach jak żałował, że
 nie ma drogi do tej pięknej krainy. On chciał ją pod-
 bić i założyć tam obóz dla swojej falangi. Ja chociaż
 i nie Macedoński, lecz równie człowiek grzeszny, mam
 żyłkę do zawojowań; dla tego tedy objawiam funda-
 mentalnie, że przy pierwszej okazji puszcę się paro-
 lotem na księżyc, wstąpię w zarządy jego, według praw
 najnowszej intromisji, i zrobię z księżycy kolonją dla
 mojej fantazji, wiejskie pomieszkanie dla mojej satys-
 faksji. Tu z rzeczy wypada mi się przyznać, że naj-
 piękniejsze sceny mojej romantyczności odbywały się
 na poziomie księżycy, podobnie jak najpiękniejsze po-
 wieście mojej rzeczywistości przy jego świetle.

Pamiętam noc, świeżą, aromatyczną noc północy, świa-
 tłą, wiosenną noc rodziny mojej. Było to jeszcze w tę
 porę życia, kiedy młodość jak wznoszący się kwiatek,
 nie grzebie się w ziemi, lecz rośnie i żyje oddechem
 powietrza. Fale ojczystej rzeki kołysały się w dali, jak-
 by pokryte muślinem zmroku i światła, nad głową szcze-

biotwały klonowe liście; ona pierwiosnka mojej miłości, schyliła swą głowę na pierś moją... Objęcia moje opasały jej kibić, jej włosy pierścieniami zwiły się w mym ręku; ona przelewała westchnienia swoje w me usta, moje serce biło się odgłosem jej serca, jak gdyby one złączyły się w jedno... To nie była chwila namiętna; to była chwila upojenia, długa, spokojna, czarowna chwila, w której dwie istoty i cały świat obecny nikną, łącząc się w harmoniją i uniesienie. Ona odkryła znużone oczy, z pieśczołą patrzała na mnie i z łudzącem szemraniem zdawała się wymawiać, — po coś ty mnie polubił? — zapytaj księżycu, dla czego on świeci? — była moja odpowiedź... Słowa, które we mnie dopiero wzbudzają ironiczny uśmiech, te słowa proste, były na ówczas wyrażeniem nieskalanego młodzieńczego serca, one wyrwały się wprost z duszy i przeszły do duszy... i znowu skwarliwy pocałunek stopił przerwana rozmowę...

Ale, ale; z tymi którzy utrzymują, że w księżycowym świetle, według najczulszego termometru, jakoby niema ciepłika, — ja zgodzić się nie mogę. Księżycu promień może rostopić serce kobiety, a przynajmniej wzbudzić w niem wzajemność lub nie stałość, rozumie się w takim razie, kiedy najbliższe ku niej serce ma chemiczną styczność z jej własnem sercem; — potrzeba tylko dodać kilka słodziutkich słówek, ręcznych uści-

śnień i objęciów, — a w ostatku rzecz całą porządnie westchnieniami rozdmuchać. Główną więc rolę rozkładową, rozegrywa tu księżyc. Za cóż tedy o potężny Merkury! nazywają księżyc czystym i nieskalanym? za co oddają go w wieczne i potomne władanie łowczy- ni — Dyannie? mnie dotychczas nie zdarzyło się widzieć polowania w nocy — przynajmniej na zwierząt. Wre- ście niech i tak będzie; Dyanna lubiła polowanie nie na jednych jeleni i w dzień tylko szczyła zuchwałych Akteo- nów za to, że zastawali ją bez gorsu; a tym czasem pod nocną dobę spuszczała się z nieba całować się z mileńkim Edymionem. Zgoda, że w pogańskim niebie nie mogło być prawdy, lecz za cóż jej być niema na ziemi świętej? Ja formalnie protestuję przeciw pla- tonicznym tytułom księżycy i dowiodę wyraźnie, że on był głównym winowajcą i współnikiem milionowych upadków. Zauważcie moi Panowie i Panie, tu o was idzie, — *par un beau clair de lune* — jak chytrze po- ściela on drożyny światła i złudza kochanków nie- przejrzanym swym cieniem, jak dowcipnie przeraża zmieniając odległe przedmioty w strachy — dla tego tylko, ażeby zbliżyć ku sobie działające osoby, a po- tём jak pochlebnie upiększa ich oblicza, jak sztucznie skrywa niedostatki; w jego państwie wszystko piękne, wszystko czarowne; a między tём on leje na was świe- ży płomień jako poncz-glacé, pryska świeżością rosy

jak kował na węgle, ażeby silniej rozpalić. Jeżeli będę miał ładną żonkę lub córkę, za nic nie pozwolę im spacerować przy świetle księżycy, — za nic nie wpuszczę księżycy do ich pokoju! Vade retro, Satana! . . .

PIOTR TURCEWICZ.

6 Grudnia 1842 r.

Petersburg.



ZEMSTA.B A L L A D A .

Już się kilka gwiazd pali, już księżyc nad lasem,
Gdzie wieczornym skryta cieniem
Mogła i droga;
Kijan patrzy tam ze drżeniem,
Jakaś w myśli trwoga,
Chociaż strzelba na plecach, pugiął za pasem.

A na górze dom nowy, w oknach światło błyska,
Tam baluje zgraja pijana,
Brzmią śpiewaków chory,
I młoda żona Kijana,
Płąsa, traci zbiory;
Kijan spieszy do domu, już mogła bliska.

Z mogiły wstaje upior, twarz ziemią pokryta,
 I do księżycy otarte
 Z piasku zwraca oczy,
 Obnaża piersi rozdarte,
 Z rany krew się toczy,
 Podchodzi do Kijana i za ramię chwyta.

Zmienia się w karła, w gnoma i wnet czarna ręka,
 W koło się szyi obwija,
 I przylgnął do ciała;
 Ciemna chmura w górze mija,
 Gwiazda przeleciała,
 Miesiąc świeci, a Kijan niosąc trupa stęka;

A w domie świecą ognie; hej daj, krzyczą wina.
 Tam baluje zgraja pjana,
 Brzmią spiewaków chory,
 I młoda żona Kijana,
 Płasa, traci zbiory,
 A o nim w tłumie gości nikt i niewspomina.

Upior wpił się do ciała i duszę w nim dręczy,
 Wszystkie zbrodnie przypomina,
 Dodając cierpienie;
 Tak gryzła wspomnień gadzina
 Kaima sumnienie;
 Cierpi dusza i ciało, Kijan w mękach jęczy.

Księżyc świeci wysoko czas samej północy,
 Głucho w polu o tej porze,
 Tylko szumią sosny,
 I daleko słychać w borze,
 Sowy krzyk żałośny,
 Po drodze nikt niejedzie, nikt nieda pomocy.

A wróg mruczy nad uchem, ha już czas zapłacić.
 Za wszystkie haniebne czyny;
 Ciebie weseliła
 Łza ziomków, klęska rodziny
 Niczem tobie była,
 I wiara nawet ojców chciała cię wzbogacić.

Wszystkiego na tej ziemi było tobie mało,
 Chciałeś żyć tysiączne lata,
 Nie myśląc o grobie;
 Płacze sierot i krew brata,
 Niczem były tobie;—
 To mówiąc dręczy duszę, pali ogniem ciało.

Naszły chmury, noc ciemna, a po drodze syczą
 Jakieś gady, strasznym okiem
 W krąg strasydła świecą,
 Okropne pomiędzy mrokiem
 Niedoperze lecą,
 I śmieją się cha, cha, cha, brawo, brawo krzyczą.

A w domie świecą ognie, więcej, więcej wina,
Woła, szumi zgraja pjana;
Północ na zegarze,
I młoda żona Kijana,
Płąsa z młodym w parze,
A o nim w tłumie gości nikt i nie wspomina.

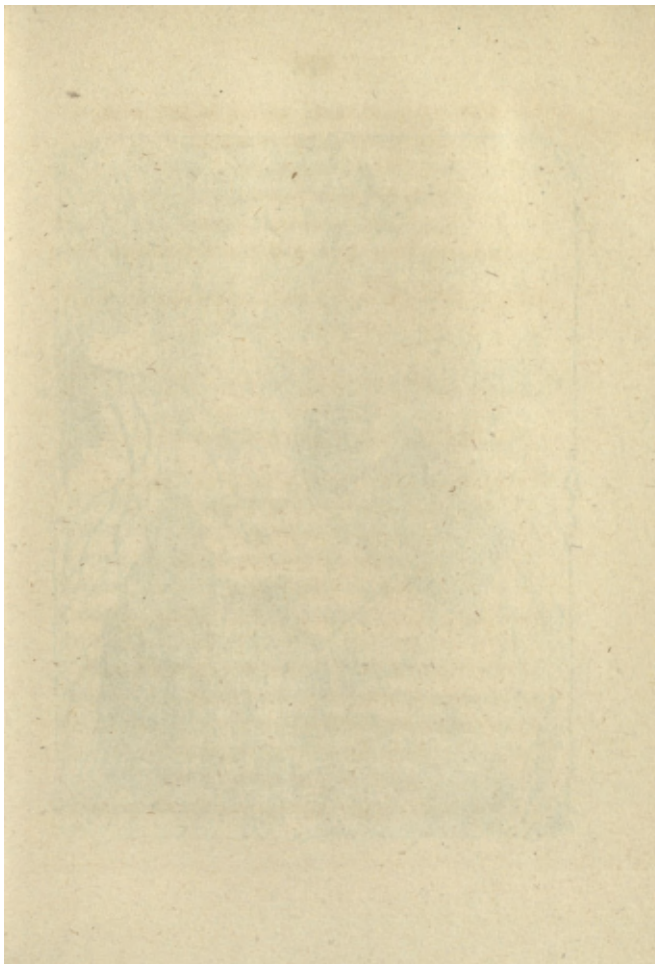
Kijan w domie, już na progu i tak rzekł do żony,
Spotkałem gościa na drodze,
Niosłem na ramieniu;
Pada kona na podłodze,
W konwulsyjnym drżeniu
I trup jego poczerniał gangreną spalońy.

Zamilkł chór, goście stoją zdumiali w milczeniu;
A w tym nowa w domie trwoga
Spokojność zakluca,
Stoły, krzesła, zemsta sroga
Łamie i rozrzuca;—
Wnet pożar, dom i zbiory zgingły w płomieniu.

JAN BARSZCZEWSKI.

1842 roku.

Petersburg.



<http://rcin.org.pl>



WYJĄTKI Z FANTAZIJ HISTORYCZNEJ

pod tytułem:

„ZBURZENIE KOROSTENU.”

Wśród morza piasku, wśród nizin błotnistych,
Gdzie czarna w okrąg ciągnie się osłona,
I wiatr odbity od sosen strzelistych,
Zwolna i z jękiem po gałęziach kona;
I zda się płakać stepów Ukrainy,
Po których wolny szybko przelatywał,
I zda się dumać, że wpadłszy w niziny,
Tęm już nie będzie, czem wśród stepów bywał;—
Jak rycerz w polu gdy zwycięstwem włada,
Przy murach twierdzy zwalczony upada.

To morze nizin od brzegów Prypeci,
Po brzeg Kozarów co Teterów dzieli,

I od Horynia co do Niemna leci,
 Pod swą siedzibę Drewlanie zajeli.
 Środkiem Usz kręta równinę przebiega,
 I gród Drewlanów na poły przecina,
 I szuka Dniepru, do niego przylega;
 Z nim się złączywszy, równiny przerzyna,
 I potem razem w morze Czarne w biega.—
 Jak rozróżnione dwa serca w miłości,
 Gdy po łzach żalu w jedność się zlewają,
 Chcąc zatrzeć pamięć bolesnej przeszłości,
 Czulszemi bardziej dla siebie się stają.—

Stolica Drewlan nad Uszy brzegami,
 Rodzinny granit przygniata stopami,
 A zdobiąc skały domy sosnowemi,
 Zda się ją wieńczyć wieńcy laurowemi;
 W pośrodku grodu dwa zamki wyniosłe,
 Do dwóch olbrzymów podobne z wejrzenia,
 Wałem i wodą w około obroste,
 Strzegą mieszkańców wolności i mienia.
 Po drugiej stronie twierdza Korostenu,
 Dumnie ku wrogom zda się zwracać oczy,
 A wraz z zamkami, gdy nad gród się wznosi,
 Życie i wolność Drewlanów jednoczy.
 Trójne okopy, jako ziemne zmije,
 W około twierdzy groźne wznoszą szyje,
 A żądłem śmierci każdy uzbrojony,

Śmierć zadać wrogom gotow z każdej strony.

Rada Wiecowa z najpierwszych złożona,
 Rządziła ludem prawami sumienia,
 Każda ustawa przez nią uchwalona,
 Spełnioną była z chęcią bez wzruszenia.
 Bo naród kochał swej ojczyzny dzieje,
 W radzie pokładał wszystkie swe nadzieje,
 I na niej licząc wielkość przyszłej chwały,
 Slepco to spełniał co Wiece kazały.

Miskin najwyższe niósł w narodzie trudy,
 Był pierwszym wodzem, najpierwszym radnikiem,
 A przez Drewlanów i sąsiednie ludy,
 Zwany Książęciem lub też Posadnikiem.
 Godność tę przyjął od przodków w puściznie,
 Rządził narodem od pół wieku prawie,
 Jednak pamiętał w podeszłej siwiznie,
 Co winien sobie i ojczystej sławie.
 Dla tego smutek nad czołem się szerzył,
 Ilekroć przyszłość myślą tęskną zmierzył,
 Ilekroć wspomniał, że naród Drewlanów,
 Daninę płacił dla Kijowskich Panów.

On chciał pokoju, lecz pragnął swobody,
 W żądzy wolności przepędził wiek młody,
 I tej nie widział pociechy w starości,
 Że kiedyś, kiedyś, w odległej przyszłości,
 Z krwi jego wstanie obrońca wolności.

I w tych dumaniach, właśnie w takiej porze,
 Wilgotne oczy zwracał ku Izorze,
 I długo w córki oblicze poglądał,
 I wszystkie tajnie w jej sercu chciał czytać,
 I pragnął zbadać i nieśmiały zapytać,
 Choć sercem ojca znać myśli jej żądał.

Lecz córka ojca, widząc zamyślenie,
 Chcąc przerwać straszne, acz skryte cierpienie,
 Lutnię chwytala — a strony wstrząśnione,
 Zgodnie wtórzyły jej pieśń ulubioną.

Pewnej ja nocy,
 O samej północy,
 Wysłałam samotna na ganek;
 Nademną w górze,
 W przejrzyściej chmurze,
 Topił się ziemi kochanek.

Jasnym spojrzeniem,
 Żółtym promieniem,
 Żądał się dostać do ziemi;
 Lecz nowe chmury,
 Spłynąwszy z góry,
 Kryły go cieńmi swojemi.

Czasami tylko,
Małą chwilką,
Uściśnie lubą kochankę,
I znowu płynie,
I znowu ginie,
Gdy czarną spotka poślanek.

W tem wiatr zbudzony,
Z zachodniej strony,
Rosproszył chmury po niebie;
Kochanek ziemi,
Ramiony swemi,
Czulej ją zgarnął do siebie.

Lecz tę katuszę,
Co gnębi duszę,
Czyliż wiatr kiedy rozwieje?
Czyż los pozwoli,
Na ojców roli,
Wskrzесиć umarłą nadzieję?!

Ojciec westchnieniem czule jej dziękował,
Z smutnym uśmiechem czoło jej całował;
Jak echo w górach głosem obudzone,
Przeciagliłm jękiem w tąż powraca stronę.

Jednak myśl jego w nadziei tonęła,
Której rozjaśnić nie było sposobu,
A jeśli chwilę w duszy zabłysnęła,
Znowu wracała, jak gdyby do grobu; —
Tak fale wzdęte choć wichry chwytają,
W bezdenność morską na powrót wpadają.

Jeśli w tej chwili wchodził na pokoje,
Synowiec księcia Truwer złotowłosa,
I w pieśni wspólne gdy słyszał ich głosy; —
Wtenczas obracał na nich oczy swoje —
I widział oczy Truwera przykute
Do lic Izory; — i słyszał głos tkliwy,
Co z piersi jego zdał się w jej pierś wpadać;
Bo on miłością miał serce zatrute,
Chciał się w tym spiewie z duszy wypowiadać,
Chciał wzrokiem swoim uczucia wybadać,
Chciał jedną chwilę widzieć się szczęśliwy.

Lecz jak jest straszne w rodzeństwie kochanie,
Gdzie człowiek ciałem tylko spokrewniony,
A z duszą lubej wiecznie rozłączony,
Żąda ją poznać i poznać nie wstanie!
Ustami mówi i patrzy oczyma,
Lecz w oczach wzroku, w ustach głosu niema;
Chce duszę przejrzeć, lecz duszy niewidzi,
Chce ją poruszyć, lecz ona niestucha,
I błędzić za nią zmuszonym się widzi,

Jak do wiecznego przykuty łańcucha.

Często te chwile młody Abon dzielił;
 Książę go chował przy sobie jak syna,
 I młody Abon w myśl się jego wcieił,
 I zbadał duszę wielkiego Miskina;
 I żądze jego chciał spełnić w przyszłości,
 I stać się godnym księżęcia miłości!
 On był sierotą po wielkim radniku,
 Lecz wielką duszę ojca odziedziczył;
 A chociaż młody, wojskom przewodniczył,
 A chociaż młody, już zasiadał w radzie;
 Truwer go kochał, duszę swą mu przelał,
 Bo od powicia swój wiek z nim podzielał.

(WYJATEK DRUGI)

III Z W Y Z N A N I A.

Truwer widząc wzgardzoną miłość swoją przez Izorę córkę księcia Drewlańskiego, przed przyjacielem lat swych dziecinnych Abonem uskarżając się, poprzy sięga zemstę nie tylko nad Izorą, lecz i nad całym narodem Drewlan.

—Dawniej Abonie w myślach zatopiony,
 Marzyłem cudnie o roskoszach życia,
 I byłem wesół, — gdyż myślą wzniesiony,
 Widziałem niebo z pierwszego powicia. —
 A niebem moim — była przeszłość błoga,
 A rajem moim — był myśli ideał,
 A życiem moim — była nowa droga,
 Po której rokosz szlak swój rospościerał.
 I wtenczas jeszcze ognistym polotem,
 Rzuciwszy przeszłość, w przyszłości latałem;
 I tam szczęśliwy, gdyż pod niebem złotem,
 Cały świat w złocie widziałem. —

W późniejszych czasach, nowe wyobraźnie,
 Szukać kazały zwycięzkich wawrzynów;
 Serce rozwite marzyło przyjaźnie,
 A żądza sławy nowych w boju czynów.
 Zbierałem laury przy Miskina boku,
 Czerpałem przyjaźń w twym sercu i oku,
 Byłem szczęśliwy — gdyż pieściłem w łonie,
 Przyjaźń dla ciebie, a laury na skronie! —

Wśród tego jednak, czczość w sercu nosiłem,
 Myślą i sercem coś jeszcze marzyłem,
 Chciałem świat cały zgarnąć w moje dłonie,
 I czczość zapełnić jaką czułem w łonie.
 W krotce poznałem żądz moich spełnienie,
 Wpiłem się cały w Izory wejrzenie;

I najszcęśliwszy! — gdyż miałem w tej porze,
Laury, i przyjaźń, i miłość w Izorze.!!! —

Jak orzeł w błękitnej latając krainie,
Puszcza wzrok dumny na około siebie,
I coraz wyżej, wyżej w górę płynie,
Aż się tak wzniesie i zawiesi w niebie,
Że byстрыm okiem zmierzy obszar ziemi,
Mieniąc się panem nad światy całemi; —
Tak w owej chwili myślą upojony,
Jak orzeł w chmurach, tak ja w świecie żyłem;
Nad trony Bogów, nad ziemskie korony,
Siebie być wyższym nad wszystkich liczyłem!

Dziś gdzie to szczęście? — gdzie są te marzenia?
Wszystko zniknęło! — lecz ja mam wspomnienia!
Bo w drodze szczęścia, kto kresu dopłynie,
I raptem straci pomyślności wątek,
Ten zbrzydzi światem! — a w nowej krainie,
Żyć będzie cały wśród samych pamiątek!
Nawet z uśmiechem piekielnej radości,
Spójrzy na bliźnich rozsypane kości! —
O! patrzeć będę, jak dymy wzniesione,
Opaszą chmury w ogniste ramiona,
A czarna ziemia, narody zwalczone,
W mych oczach schwyci do zimnego łona!
Z jakąż radością wśród płaczu i jęku,
Spójrzę na zemstę wyległą w mem ręku,

I rzeknę z dumą przed sobą i światem,
Wzgardem zapłacił i dość mi jest na tem!—

— Co słyszę? Truwer tak do mnie przemawia?

Truwer co ze mną młode spędził lata;

Dziś żądzę zbrodni przedemną przedstawia,

I z niej chce chlubę wynaleść u świata?

Ty zemsty szukasz, lecz na kim? i za co?

Dziś inne czasy! — rzuć próżność na stronę,

Dzwignij miecz zemsty, a zwyciężską pracą,

Wróć wolność braciom, a ojcu koronę!—

Jeśli Izora, serca nie podziela,

Gdyś się rzekł dla niej ojca, przyjaciela,

Wspomnij przynajmniej, żeś przyjął w puściznie,

Wdzięczność jej ojcu, a miłość ojczyźnie!!

W nie ja wierzyłem, jako w słowa święte;

.....

.....

Po cóż mi mówisz o długach wdzięczności,

Kiedym je spełniał do dzisiejszej pory,

I o ojczystej wspominasz miłości,

Kiedym ją kochał, w oczach mej Izory!—

Wszak piersi moje w żelazo ubrałem,

Od pierwszej chwili zaczętego boju;

Rodzinne pola trupami usłałem.

I walcząc nigdy nieuczulem znoju! —

Już się z żelazem zrosły piersi moje,
 Rękojeść miecza w dłoń się moją wpiła,
 Życiem się dla mnie stały krwawe boje,
 I tam namiętna dziś ciągnie mnie siła! —
 Walczyłem więcej niżli wódz powinien,
 Gdyż bojom wszystkie, wszystkie poświęcałem chwile
 A jeślim jeszcze ojczyźnie co winien,
 Zapytaj wrogów co gniją w mogile;
 Oni zaświadczą, gdy wskażą swe blizny,
 Wdzięczność jej ojcu i miłość ojczyzny! —
 Jak rzeka po kamieniach rozbijając wody,
 Znika spokojnie w odległej płaszczyźnie,
 Tak najburzliwszy spłynął wiek mój młody,

.....

(WYJATEK TRZECI).

VI. Z ROZWIĄZANIA.

Truwer zdradziwszy ojczyznę, tknięty sumieniem na
 czele Drewlan walcząc przeciw Kijowjanów, raniony
 śmiertelnie w piersi. — Wyniesiony na wały twierdzy,
 tam przed księciem Miskinem przyznaje się do zbrodni
 i umiera.

I stanął starzec, a łzy nie miał w oku,
Lecz wewnętrzna boleść spłynęła na lica,
Jak w zwierciadlanym płynącym potoku,
Widne odbite promienia księżyca.

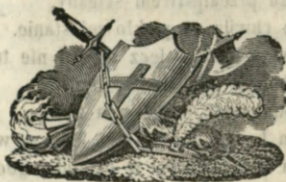
A młody Truwer ołowianną rękę,
Jeszcze przeciągnął jakby w znak żegnania;
Oczyrna zdał się jakąś nieść podziękę,
W ostatnią chwilę skonania! —

—Ojczy! ja umrę! — patrzaj na mą ranę,
Piersi me przeszył wróg mojej ojczyzny,
Lecz ojczy, rany dziś piersiom zadane,
Są niczem przeciw tu.. palącej blizny.—
Wszakżeś ty zasiał laury na me skronie,
I jam je zlewał własną krwią lat tyle,
One urosły! — ale dziś przy zgonie,
Laur tak rozkwitły usechł przy mogile! —
Lecz znasz ty ogień co pomimo chęci,
Przez oczy wchodząc duszę rozpłomienia,
Przyszłość zalewa wodą niepamięci,
Straszne acz lubę wzniecając cierpienia!
Ogień ten pożarł, laury krwią zebrane,
I w koniec życia gorzkie wlał trucizny,
A grób gdzie koście będą me zsypane,
Przywdzieje napis, dla zdrajcy ojczyzny! —
Lecz po cóż, po cóż, i w tej chwili właśnie,
Ogień czułości jeszcze się podnieca,

Po cóż gdy życie widocznie już gaśnie,
 Światło jej wspomnień po cóż mi przyświeca!
 Po cóż konając cierpieć jeszcze muszę,
 I walkę toczyć z wyrzutem sumienia,
 I kląć me życie i kląć moją duszę,
 I wszystko przekląć nawet i wspomnienia!—
 Ojczel ja pójdę, pójdę w kraj nieznany —
 Lecz robak wspomnień gryść mnie nieprzestanie,
 A od narodu przekleństwem ścigany,
 Najmniejsza chwila za piekło mi stanie.
 Taka ma przyszłość — lecz się jej nie trwożę,
 Bo ciągłą boleść ona słodzić będzie;
 Na jej wspomnienie udręczenia złożę,
 I szczęsnym będę choć w tym jednym względzie!—
 Zreszto jam zbrodzień — w ostatniej godzinie
 Nawet nieżądam od was przeznaczenia,
 Lecz jeśli czułość w sercach waszych płynie,
 Puśćcie mą bytność w rzekę zapomnienia.
 Ty jedna tylko na mojej mogile,
 Rózczkę cyprysu zasadź własną dłonią,
 Niech jej warkocze rozrosną się tyle,
 Że mój grobowiec swym cieniem osłonią;
 Niech nawet słońce co wszystkim przyświeca,
 Zdrajcy ojczyzny grobu nieoświeca!!!—
 I skrzywił usta przez śmiertelne bole,
 Spojrzał w tę stronę, z kąd pił uczuć jady;

A śmierć w tej chwili na umarłym czole,
 Wyryła piętno — miłości i zdrady.—
 Tak wulkan zgasły na jedno spojrzenie,
 Maluje przestach, pięknność i zniszczenie!!!

EMERYK KAROL SIEDROTSKI.



OSMIO - WIERSZ.

(IMPROWIZACJA).

Człek chciwy.... chciwem okiem na wszystko spogląda:
Mało mu co los zdarzy, nowych łupów żąda;
Walka z losem.... patrz— sztandar zwycięstwa powiewa,
I znów mało — o inne sili się trofea.
Pracuje głową, sercem, rękami obiema;
A żeby mógł osiągnąć czego jeszcze niema...
Słowem człek (mimo skarbów co mu dały Bogi),
Nigdy nie jest bogaty, a zawsze — ubogi.

W. G. REUTT.

Do W. R.**PO STRACIE CÓRKI.**

Poprzestań matko próżno się smuć,
Przedmiot ci luby już spoczął w grobie;
Jego snu łzami nie zdołasz ocucić,
Rospacz go nawet nie wróci tobie.

Pozostaw w błogiej przyszłości objęcie,
To, co tu drogiem było dla ciebie;
Zapomnij — dozwał twemu dziecięciu,
Cieszyć się szczęściem — na zawsze — w niebie.

Ten co najskrytsze tajnie przenika,
Jeden twe troski zdoła osłodzić;
On zwykł doświadczać krótko grzesznika,
By w przyszłym życiu hojniej nagrodzić.

Świat na doczesny pobyt utworzył
Dla człeka, który tu jest nicością;
Grą losów jego granicę złożył,
Na jednym kroku — obok z wiecznością.

Przestań więc matko żal we łzach koić,
Oddal od serca boleść surową,
I nie szczędź starań twoich podwoić,
By przyjąć w duszę — pociechy słowo.

TEODOR HOŁUZIŃSKI.

1842.



D O
POD IMIENIEM**P R Z Y J A Ż Ń.**

Luba przyjaźni, drogi niebios darze,
 Tobie śmiertelni wzniesć winni ołtarze,
 Na twojem chcieć winni łonie,
 Spocząc za życia — spocząc i po zgonie.
 Tyś tylko jedna, bóstwa na ziemi obliczem,
 Tyś jedna wszystkim! — bez ciebie wszystko jest niczem!
 Dla tego właśnie,
 Nim pamięć, czucie i życia mdły wątek,
 Życia z którego końcem tak bliski początek,
 Na zawsze zgaśnie;
 Chcę cię upewnić, że wszędzie,
 Zawsze, w każdym wieku stanie,
 oł

Pokąd to serce bić będzie,
Dla ciebie bić nie przestanie.
Wiesz o kim mówił bo znasz moje myśli,
Znasz czucie, które słabe pióro kreśli,
Przyjm więc je, i ten upominek mały,
W którym się one najszczerzej wylały.
I wierz powtarzam, że wszędzie,
A nawet i w ciemnym grobie,
Jeśli tylko wolno będzie,
Pamiętać będę o tobie.

ANTONI GOLEK.



RUBON. ⁽¹⁾

Któż to podsłuchał me skargi i żale,
 I tak je wdzięcznie na lutni przedzwonił?
 Oddawna we śnie gnuśnieją me fale,
 I czas mych brzegów ozdoby roztrwonił! —

W tumanie wieków znikły liczne bóstwa;
 Upadły święte pod toporem gaje;
 I dziwów moich starożytnych mnóstwa
 Ledwo w pamięci gminu ślad zostaje!

Jeszcze niekiedy w wrotłej rybak łodzi,
Luli, Poluli (2) śpiewem swym wspomina;
 Jeszcze do rzeki, gdy po wodę schodzi,
 Nóci o *Ladzie* (3) brzegów mych dziewczyna.

Jeszcze lud wiejski pośród nocy cienia
 Na wzgórzach ognie roznieca Kupały;
 I dawnych Liwów potomek plemienia
 Marzy w mych wodach *Dugny* i *Gudally* (4).

Jeszcze się Rusin boi mroku lasów,
 Gdy się Rusałki po drzewach kołyszą; (5)
 I dziwna paproć kwitnie pewnych czasów,
 Pod strażą duchów, pod nocy zaciszą.

I przelót-trawa w powietrzu się nosi; (6)
 I woda igra o ciemnej północy; (7)
 Król lasów w państwa swe wędrowca prosi,
 I tam go więzi w czarodziejskiej mocy.

Tam się mu zabaw, uciech marzą roje,
 Złote pałace, i rokoszne sady;
 Wyborne jadła, kosztowne napoje,
 I złotowłose lesnych nimf gromady.

A gdy kto wolny od zaklęć uroku,
 Lesnego króla przestąpi granice;
 Nic tam nieznajdzie wśród gęstwy i mroku,
 Tylko zawały, bagna, trzęsawice.

I czarnoksięskim otoczony kołem,
 Wędrowiec, — gdy się pyszne śnią mu gody,
 I że ucztuje za wspaniałym stołem, —
 Ułamkiem gniłej, głód opędza, kłody.

Są też i święte w krajach mych jeziora,
 Gdzie się gród dawny skrywa zatopiony;
 Gdy tajemnicza błysnie ranku pora
 Gmin prosty słyszy w nich śpiewy i dzwony.

I w zastawione sieci i węcierze,
 Ryba zaklętej jeśli wpadnie wody,
 Wnet je z nich *Wodna Staruszka* zabierze,
 Mówiąc: „Któż moje zapędził tu trzody?”

I krążą jeszcze w narodzie powieści
 O dziwnych w świecie dawniejszym zdarzeniach;
 I wiele prawdy w cudownej ich treści,
 Wiele uroku w czarownych zmyśleniach!

—A te kwitnące krasą Horodyszczą,
 Miejsca ustałych ofiar i ołtarzy;
 Tam starożytność u dawnego zgliszczą,
 O przeszłych czasach wspomina i marzy.

A w tych kurhanach jeszcze tleją szczątki,
 W zaciętych walkach poległych tu ludzi;
 I śpią lat! zbiegłych szanowne pamiątki,
 Nim je kto ze snu wdzięcznem pieniem zbudzi.

I wieki przeszły! — W długim lat obiegu,
 Kiedy tonęły w niepamięci nocy;
 Żaden na moim wieszcz nie powstał brzegu,
 Coby je wydarł zgubnej czasu mocy!

I próżno — kiedy miesiąc zamyślony
 Po śpiących wodach rozrzucił promienie, —
 Błąkać się na mój brzeg osierocony,
 Dawnych rycerzy schodziły się cienie!

Próżno wędrowiec o spóźnionej porze,
 Kiedy szedł mimo omglonych mych toni,
 Słyszał gwar wojska w ocuconym borze.
 I tentent jazdy, i tłumny szcęk broni. (8)

I przy niepewnej poświacie księżycy
 Widział, jak lekkie widma przemykały;
 Mgliste postaci i posępne lica;
 Na zbroi z krzyżem płaszcz powiewał biały.

I długoż tego?... lecz dzięki wam, dzięki,
Nadbrzeża mego nowi wajdeloci!
Już słyszę zgodne strojnych lutni dźwięki
I nowe słońce nurty moje złoci.

Już pieśń rodzinna po falach mych płynie,
Co mi o dawnych moich nocy synach,
O sławnych bitwach w ojczystej krainie;
Żyje Gercike w swoich rozwalinach! (9)

Niosąc nowego dźwięki liry Skalda
Echa w Naddźwińskie piękne okolice,
Cieszą mężnego cienie Wissewalda, (10)
Kojąc w nim długie żale i tęsknice.

I wdzięczną głosów ożywione zgodą,
Ondiny, złote odgarnawszy sploty,
Śnieżyste piersi podnosząc nad wodą,
Chciwem rodzinne piją uchem nóty:

O tém, jak gąska, do Wasilka, biała,
Wieść przynosiła od troskliwej matki; (11)
Jak łzami listki kukawka połała,
Jaś i Marylka zmienili się w kwiatki,

Dzięki wam, dzięki! — niech pieśń wasza płynie;
 Niech się jej złoty nieprzerywa wątek!
 Wiele uroku na waszej rodzinie,
 Wielka jest słodycz drogich jej pamiątek!

— Tak stary Rubon — i wieńczoną trzcina,
 Skrył siwą głowę w jasnym wód kryształe;
 I nurty jego żywszym biegiem płyną.
 Uradowane wdzięczniej szumią fale.

GAUDENTY SZEPIELEWICZ.

PRZYPISKI.

- (1) *Rubon*, starożytne nazwisko zachodniej Dzwiny. Szanowny autor „Wędrówki po małych drogach” wydaje pod tytułem: *Rubona*, zbiorowe pismo zawierające w sobie artykuły mieszkańców naddziwińskich prowincji. Umieszczony tam piękny wiersz P. Ignacego Chrapowickiego: *Dzwina*; w którym rzeka ta uskarżając się na nieczynność mieszkańców swych brzegów, wzywa ich do *zagła, liry i pługa*, dał powód do napisania tych wierszy.
- (2) *Luli i Poluli*, Kupido i Hymen dawnych Słowian, powtarzające się często w śpiewach gminnych białoruskich.
- (3) *Lada*: Wenus słowiańska często powtarzająca się w pieśniach naddziwińskich wieśniaków.
- (4) Nimfy Dzwińskie u Lotwy.

- (5) Jest dzień w roku, w które mniema gmin białoruski, iż Rusalki kołyszają się na gałęziach drzew i uzbrojone długimi żelaznymi paznociami, zadają śmierć łoskotaniem tym, którzy się odważą wejść do lasu.
- (6) *Przelot-trawa* należy także do cudów tej nocy. Piękna, lekka, iskrząca się, unosi się w powietrzu, zawodząc usiłowania ścigających ją. Kto ją złowi, będzie na całe życie szczęśliwym.
- (7) W nocy też przed Ś. Janem, o pewnej godzinie igra woda po stawach, jeziorach i rzekach, burząc się, błyszcząc i rozrzucając tysiące promieni.
- (8) Jest mniemanie o wielu lasach na Białorusi, iż się w nich w nocy daje słyszeć szcęk oręża i gwar wojenny.
- (9) Wiersz Hr. Michała Borchy w piśmie *Rubon*.
- (10) Wissewald, bohater Łotewski, w temże artykule Hr. Borchy.
- (11) Gminna powiastka P. Grozy: *Maryna*: umieszczona w *Rubonie*.



SZEŚĆ ELEGIJ

NA ODJAZD DO PETERSBURGA

KAROLINY . z L. S.

1.

Odjeżdżasz zostawując wygnańca na ziemi
Dręzonego rozpaczą, żalami srogimi,
Odjeżdżasz niedawszy mu nawet poznać czyli
Szala szczęścia kiedy się ku niemu przychyli,
Czy mu kiedy zabłyśnie dzień fortunny luby
Któryby go wiecznemi złączył z tobą śluby,
Któryby w jedno ciało dwie dusze spoiwszy
Zapewnił dwojga istot pobyt najszczęśliwszy.

Cóż nas różni od siebie? — taż skłonność, te chęci,
Taż łatwość pojmovania i ten dar pamięci,
Jedne siły umysłu, jedno serca bicie,
Jedne uczucia duszy, jedno tchnienie, życie,
Twój wzrok dla mnie wymową, twój gest mym wyrokiem
Nie rzekniesz co bym ja mym nieuprzedził krokiem.
Twoje myśli przenikać, twoje chęci wiedzieć,
Przebóg! któż mię w nauce tej może uprzedzić?
Jedna tylko różnica dzieli nas od siebie,
Ty żyjesz dla drugiego, ja żyję dla ciebie —
Żyję... ach jeśli tylko życiem zwać się godzi
Ten pobyt który troski i boleści rodzi,
Który każdej godziny zgryzoty przymnaża
Co chwila nas ożywia, co chwila umarza,
A cedząc jak po kropli śmiertelną truciznę,
Dręczy srożej im wolniej zadaje nam bliźnę —
O! ty Boski pośłańcze! gieniuszu dzielny!
Rzadkiej stałości męstwa wzorze nieśmiertelny!
Mądry Seneko przyjmij hołd mych uczuów święty
Którymi dziś mój umysł zostaje przejęty!
Zacny mistrzu coś pierwszy gdy ci los dokuczył
Pogardzać błahym życiem i śmiercią nauczył —
W twojej szkole uczony poznałem widocznie,
Że dopiero za grobem człek sobie wypocznie,
Tam dopiero swe długie ukończy cierpienia,
I na miejscu swojego stanie przeznaczenia —

Czegoż mam się spodziewać? czyliż w dni mych biegu
 Spocząłem kiedy przecie na szczęśliwym brzegu?
 Czyim doznał w życiu moim rzetelnej przyjaźni?
 Czyliim kiedy wśród uciech nie uczuł bojaźni?
 Czyliż wówczas kiedym się roskoszą napawał,
 Na dnie złotego kubka, smutku nie zastawał?
 Nie zdradził mię miłość, przysięga i wiara?
 Ominęłaż mię kiedy mściwych losow kara?
 Byłże kiedy błąd który, bym na nim niestracił?
 I spokoju ciężkim smutkiem nieprzyplacił?
 Cóż powiem o ubytkach zwiedzionej nadziei,
 Zazdrości, zwykłej wszystkim talentom kolei?
 Niestety! gdym po takiej doświadczenia próbie
 Zakładał szczęście moje na pewnej rachubie,
 Gdym w twej osobie całą mą złożył nadzieję
 Gdy w tobie tylko żyję, dla ciebie isnieję,
 Gdym wszystkie życia mego poświęcił ci kroki,
 Jakież nadal z mych czuciów mogę mieć widoki?
 Czyś się kiedy mej ciężkiej doli użaliła?
 I z płaczącym przynajmniej choć łzę uroniła?
 Czyż się kiedy dotknęły me smutki, zgryzoty?

.

Wróć się o luba myśli ku swój pierwszej mecie
 Bo czyż jest nad twój przedmiot co droższego w świecie?

3.

Jakiż mi na wsiadaniu niezabud dać raczysz?
 Jak mi serce, jak mi myśl twoją wytłumaczysz?
 Nigdyż się kajdan moich nie zerwą ogniwa?
 Na próżnoż cię twój więzień o ratunek wzywa?
 Próżnoż ze łzami w oczach będę ślad twój ścigał?
 I brzemię ciężkich bólów na mem sercu dzwigał?
 Ach jeżeliś jest dziełem doskonałem Boga,
 Jeżeli cię rozrzewnia żal i boleść sroga,
 Jeśli umiesz rzetelnie czuć cierpienia ludzi
 Czemuż cię do litości głos mój nie pobudzi?
 Lękasz że się podejścia? — czy jakowej zdrady?
 Lub smutne może w myśli wystawiasz przykłady?
 Dla ciebie żaden przykład nie jest niebezpiecznym,
 Kochać cię — to jest moim hasłem ostatecznym;
 Powiększać twoje szczęście to jest mym wyrokiem.
 I gdybyś mię czułości obdzieliła wzrokiem?
 Gdybyś mi szczęścia mego zrobiła nadzieję
 Wówczas niech się świat cały i wstrząsa i chwieje,
 Niechaj jeden po drugim grom bije z obłoku
 I w każdym śmiertelnika zatrzymuje kroku,
 Niech wszystko drzy z popłochu i ginie na globie
 Ja dość będę szczęśliwy, gdy będę przy tobie.

Jak owa jeśniejąca pod ośnikiem zorza,
Co oświeca swym blaskiem lodopławne morza,
I na czas zabłysnąwszy Laponom zdziczałym
Kryje się gdzieś za światy z swym blaskiem wspaniałym
Tak podobnie twój pobyt dla mnie w tej krainie
Zabłysnął na czas jakiś, już znika i ginie —
Wnet się na zmysłach moich czarność rozpostarła,
Ponura ciemność jakaś światło mi wydarła,
Szukam blasku rozumu co by mi przyświecał
I choć kroplę pociechy w duszy mojej wzniecał
Lecz próżno wzywam zmysłów i niebios pomocy
W pośród obłądnych cieniów najczarniejszej nocy
Wpośród sprzecznych widziadeł trapiących bojaźni
Twój tylko jeden obraz widzę najwyraźniej,
Twój włos ciemny, twe oko roskoszne i żywe,
Twój rumieniec niewinny, spojrzenia łekliwe,
Twój głos, postać, ruszenie, twój wdzięk prawie Boski, ,
Oto takie rozumu wezwanego wnioski!
Im więcej szukam ulgi w rozumie i niebie
Tęm więcej bóstwo moje zbliżam cię do siebie
A oddając się cały ludzeniom zwodniczym,
Czczę Boga, wielbię miłość, resztę sądzę niczem.

5.

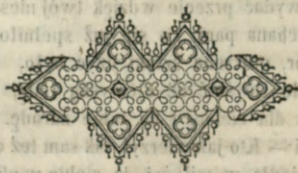
Odjeżdżasz — O! boleścił o losie zbyt srogim!
Czemuż ci uprzyjemnić nie mogę tej drogi?
Czemuż jako przyjaciel wierny przy twym boku
Nie mogę być z tobą w każdym życia kroku?
Nie mogę twoich cierpień, twej roskoszy dzielić?
Razem z tobą się smucić i razem weselić?....
Czyli ci południowa spocząć każe chwila,
Gdy słońce palne, swoje pożogi wysila,
Czy gdy kiężyc swe srebrne rostoczywszy koła,
Strudzone do spoczynku członki twe zawoła,
Pomnij wówczas, że lada przykróść w twej podróży,
Tysiącem cierpień sercu memu się przysłuży.
Przeczuje ono wiernie twe troski, twe smutki,
Twe westchnienia przyniesie do mnie wiatr ledziutki,
Na jego lekkich skrzydłach twój głos dojdzie do mnie
O jakże cierpieć będę pod ówczas ogromnie!
Że ceniąc cię nad wszystkie dobra w naszym świecie
Przybyć ci na ratunek nie będę mógł przecie —
Ach gdybym miał pod ówczas orła skrzydła lotne
Lub rącej jaskółeczki sterowanie zwrotne,
Przyleciałbym do ciebie w twoim przykrzym bycie
Poświęciłbym me czucia, me siły me życie,

Abyś wolna od wszelkiej dręczącej przygody,
 Potrzebne płci twej wszędzie znalazła wygody —
 Lecz, o! jak próżne myśli wyobraźnia kleci!
 Któraż kiedy ptaszyna gdzie bez celu leci?
 Każda z nich ma cel jakiś z przedwiecznej kolei
 Ja sam jeden ni szczęścia, ani mam nadziei. —

6.

Cóż ci dam na pamiątkę ma droga mistrzyni?
 Jakaż ci serce moje ofiarę uczyni?
 Znam aż nadto wyniosłość twojej pięknej duszy,
 Dar kosztowny może cię urazi, obruszy,
 Nie przyjmiesz nic, wiem pewnie, w rozstaniu pamiętnem
 Co by było przepychu naznaczone piętmem,
 Przyjmij więc ten dość słaby rys twego oblicza,
 Który chociaż robiła ręka pracownicza,
 Choć tyle się wysiłał kunszt artysty dzielny,
 Nie zdołał wydać przecie wdzięk twój nieśmiertelny.
 Przebac kochana pani, co się już spełniło,
 Zrobić ci dar, potrzeba sztuki użyć było,
 Potrzeba było zmyśleć aż ojcowską radę,
 By wykonać dla ciebie, i na tobie zdradę.
 Kwit z nami — Kto jak mierzył, tak sam też odbierze,
 Tyś mię zwiodła w miłości, ja ciebie w ofierze.

Obyś ile kroć razy wzrok nań rzucisz boski,
Tyle dni przepędziłaś bez smutku i troski;
Byś nigdy niewzajemnej miłości nieznała,
Byś zawsze czystym blaskiem fortuny jaśniała,
Byś wśród ciągłej uciechy, którą rokosz zmniejsza,
Jeszcze była szczęśliwsza i jeszcze piękniejsza.
Niech nigdy na twym progu zły wróg niepostanie,
Za twą przyjaźń miej przyjaźń, za miłość kochanie;
Niech nigdy czarna chmura dni twych nie zakrywa,
Niech ci wśród burzy bije godzina szczęśliwa,
I niech ci przypomina, że był jeden z ludzi,
Który na głos twój z grobu nawet się obudzi,
Którego prochy nawet dla ciebie się wzruszą,
Który ci był przychylny usty, sercem, duszą,
Który wzgardziwszy wszystkim co istnieje na globie,
Swe szczęście, swe nadzieje całe złożył w tobie.



O SZCZĘŚCIU CZŁOWIEKA.

(wyjątek z rękopismu).

... Tylkom to znalazł, iż Bóg
uczynił człowieka prawym, a on
się sam wdał w niezliczone gadki.
ECL. ROZ. VIII. W. 30.

Każdy co tylko nosi nazwisko człowieka, co tylko
pojmuje, lub zna siebie, od kolebki aż do grobu wzdy-
cha, wszelkimi nieraz siłami na szczęście pracuje, a
każdy prawie umiera z bolem, że podług własnych na-
wet o szczęściu swem wyobrażeń, nigdy szczęśliwym

nie był. — I w rzeczy samej! — przebiegnijmy myślą życia przekazane nam wiekami wieków ludzi — zastanowmy się wreszcie sami nad sobą, kto z nas był kiedy i jak długo szczęśliwym? — kto jak człowiek sumiennie powiedzieć może, byłem, jestem lub umieram szczęśliwy? — Jedna pomyślność! jedna chwila szczęścia! w oceanie chwil życia ludzkiego, tysiącem przygod oplaconą, tysiącem cierpień zatarta! — Cóż to jest? — dla czego? — czy Stwórca najulubieńszemu stworzeniu swemu, na to był ten nadał, by to cierpiało, a On na cierpienia jego, jak na swe igrzysko patrzył? — czy może mści się, i pokoleniem pokoleń za winę przodków pokutować każe? — O nie! — Zwierzęca rokosz co lży drugim rodzi! — nie ludzkie prawo, co w dzieciach błąd rodziców karze! — nie jedno przeto ani drugiej sprawą najlepszego Stwórcy byź może! — Cóż więc jest? — może dla człowieka i nie ma na tej ziemi szczęścia? — o! i to nie! — myśl w nas wszystkich, wśród samych nieszczęść o szczęściu — popęd do niego wśród zupełnej nieznajomości go nawet — moc nadania nam obracania na korzyść lub szkodę wszystko, co tylko jest stworzonym — władza panowania nad światem tak, iż ledwie słońce i ziemia niepowodują się rozkazom naszym — niepowstrzymane nakoniec niczem zażalenia i skargi w ucisku, dowodzą dla nas tu na tej ziemi bytu i potrzeby szczęścia — i istotnie jest szczęście, szczę-

ście ze szczęściem żadnego stworzenia niezrównane, szczęście prawdziwie wielkie, prawdziwie godne człowieka — nie pojęliśmy go tylko, i jak niegdyś z mnóstwa rozmaitych o samym Bogu pojęć, natworzyliśmy byli ich tyle, ile jakich mieliśmy o nim wyobrażeń — wznieśliśmy im ołtarze — biliśmy przed nimi czołem — krwią nieraz własną okupywaliśmy przywiązaną do nich wiarę, którą za przyjściem światła rozumu, odstąpiliśmy ze wstydem; tak teraz z massy mnóstwa żadną jeszcze zdrową rozumą niewyrobionych pojęć o szczęściu, utworzywszy sobie liczbę szczęścia odpowiedną liczbie o niem wyobrażeń; przyjęliśmy za szczęście to, co jest raczej nieszczęściem, a nie szczęściem naszym — to jest, to wszystko co tylko bawi, łechce, zachwyca zmysły nasze — co je mami i tem umarza w nas wszystko, co jest prawdziwie naszym ludzkim; a przeistacza w zwierzęta i rodzi w nas niczem nie wstrzymaną ponęte nasylenia ich chęci, dogodzenia której, my za roskosz życia, za szczęście mamy.

Człowiek! którego Stwórca i Bóg nieba i ziemi, zesłał na świat, by ten przez zamieszkanie swe na nim, uporządkowanie i upiększenie go z korzyścią przez czas tego poselstwa ze wszystkiego własną okazał i dowiódł prawdziwą wielkość Boga! — Człowiek! który przez to dziś już jest drugim prawie Bogiem ziemi, a kiedyś ma jeszcze osiągnąć i niebo! Człowiek mówię.

którego tak wysokie przeznaczenie, może mieć za szczęście, za roskosz życia to, co jest nie jego, a ziemi, a zwierzęcem, a naturą, że tak powiem jego nie jako stworzenia?! — Nie! roskosz jego życia, jego szczęście powinno być godne jego i tak wielkie jak on sam — z nim się rodzić, z nim trwać, z nim się do wieczności przenosić — i stąd to właśnie zanurzony z głową w morzu wszelkich świata dostatków, nie gasi ich pragnienia! — wzniesiony do najwyższego szczytu wielkości, nie nasycza jej żądy! — bo to wszystko premijające, znikome, nie zgodne z naturą jego — bo mu wreszcie coś wewnętrznego, coś niepojętego w nim zawsze mówi, że nie na tem tylko prawdziwe jego szczęście, prawdziwa wielkość zależy — nie tu i nie na tem ich koniec! — i w rzeczy samej — jeśli świat mieści w sobie wszystko, co jest pięknem, miłem, roskosznem do zapomnienia nas maniącem; a człowiek odebrał w udziale Stwórcy zmysły, któremi to pojmuje i przez które tem się wszystkim zadawalnia: nie na to jednak wcale świat ma wszystko, by tem nasyczał człowieka, a człowiek zmysły, by na nasyceniu ich tylko poprzestawał — Stwórca poruczając człowiekowi wielkie dzieło wzniesienia wszystkiego co stworzył, a tem okazania prawdziwej Jego wielkości; szanował w nim zawsze część swoją, niechciał go stąd nigdy robić ślepem, niewolniczym narzędziem swej woli, by go tem

przed samym nawet sobą nie uniżył; a tylko jako stworzeniu, dał zmysły czyli pojęcie co jest pięknem, miłym, rokosznym, by się sam przez to przywiązał, zamieszkał w świecie; wzbudził w sobie mimowolnie przez samą chęć dogodzenia swym zmysłom, ponęę urzędzenia na nim wszystkiego, a tak dobrowolnie niejako odpowiedział celowi Stwórcy, a razem widział w tem, że jest ktoś wyższy jeszcze od niego, co temu wszystkiemu być nadał, co go do użycia tego usposobił i przez to już samo jego czci i uwielbienia godzien — jako zaś człowiekowi, częśćce swej, dał rozum by wszystko i siebie poznał i ocenił, a wolą by nie znał tamy w użyciu tego najszacowniejszego z darów. — Człowiek przeto, świat nie ma uważać jedynie za miejsce szczęścia, za źródło wszelkich rokoszy życia swego, a za pole, na którym ma spełnić wysokie przeznaczenie swoje, ma dowieść wielkość Boga, który go przez rozum i wolę uczynił podobnym sobie, nie jako spokrewnił — nie ma następnie i na ziemi ani na jedną chwilę przestać być człowiekiem. — Cóż mu wreszcie samemu po całym świecie bez tego? — chociaż tu jest wszystko, co pierwszej potrzebie, wygodzie człowieka dogadza — tu niewyczerpane źródło zgaszenia nawet wszelkich pragnień jego, rokoszy — drugi raj! drugie niebo! — Ale człowiek zwierze! skorzystał co z tych drogich Stwórcy darów?! nie będzie zimny na wszystko? dziki na to

wszystko? skoro jako człowiek, jako drugi Bóg ziemi, z rozumem w ręku, z rozumem — tem narzędziem zdolnym drugi prawie świat, drugiego siebie utworzyć, sam to wszystko nieukształci, nie przerobi, nie odżywi, nie upiększy i korzystnym nieuczyni?! — możeż cokolwiek z tego co jest pod słońcem, brać za swe jedynie szczęście, za roskosz życia; gdy to wszystko jest martwem, jest niczém bez niego, jak on sam niczém, dopokąd jest zwierzem, ani człowiekiem, ani bogiem ziemi! Nie! o nie! szczęście jego, szczęście jedyné, jest to jedno Ja! to jest, iż człowiek jest człowiekiem; a roskosz życia, że spełnia to wysokie Stwórcy przeznaczenie, że okształceniem, obracaniem wszystkiego na dobre, okazuje wielkość dzieła Stwórcy! — Kto więc chce być szczęśliwym, niech będzie człowiekiem! a kto chce być człowiekiem i czuć roskosz życia, niech spełnia o wysokie Stwórcy przeznaczenie!

ANTONI GOŁEK.



MIZANTROP.

W koło gwar, łączny z dziarskim radości uśmiechem,
 Drażnią moją samotność balnych tonów echem;
 Lecz odgłos Życia, wpadłszy w pustelnicze mury —
 Zamiera w dzikim lochu z odludkiem natury.

— Cudowny kraj
 Majowy gaj
 Różanej młodości przebyłem w czwał;
 Zaginął ślad
 Roskosznych lat,
 Jako dym wśród burzy, jak wichru szwał!...

Dziś samotne westchnienie tleje w zmarzłej pleśni,
 Pamięć tęskna spoczywa w ruinach przeszłości,

I harmonja dzwiczna ukochanej pieśni,
Nie wzbudzi już z letargu otrętwiałych kości.
— Chyba ty znowu, zabłyśniesz z za chmury
Zjawiona istność nieba, odkryjesz swe oczy,
W gwiazdziste niebo przejdą dzikie mury,
Myśl spętana dziś w więzy, z niebem się zjednoczy.

PIOTR TURCEWICZ.

S. Petersburg



COŚ PODOBNEGO BYĆ MOGŁO.

—
Od rana do wieczora smutek siedział na progu, a każdy kąt patrzył żalobą i pustkowiem.

STANICA HELAJPOLSKA.

Wiatr zawiewa — i przez stępy,
I po górach i po lesie,
I pod same niebios sklepy
Ciemną, śnieżną zamćc niesie.

Gdzież nahasać się bujnemu,
Jak nie w pustej Ukrainie?
Kiedyż, kiedy szalonemu,
Jak nie w północnej godzinie?

Rozdyma się, burzą toczy,
Z chmur na chmury przeskakuje;
Księżycowi jasne oczy,
Złotym gwiazdom zasypuje —

I do dołu znów przypada,
Czy co żyje, czy nie żyje,
Tnie, rozrywa, depce, bije:
Złością, mordem się rozjada.

Drżą i skrzypią stare gmachy,
Jak nie były stogi, domy;
Pozrywane płoty, dachy
Rozmiecione idą w łomy.

Tylko chatka w wązkim dole,
Co się czepia starej gruszy,
Stoi cała, ni się ruszy,
Niby w czarownicy kole.

Przez okienko, co zapadłe
Ledwo szyby pół wysuwa,
Światełeczko złąkłe, zbladłe
Pomaleńku się przekluwa.

Rozciąga się, zwęźła, ściska,
 Zakołysze nad kagankiem,
 Pada, zgasza i rozbłyska
 Pół zamierzchłym, jasnym wiankiem.

A staruszka tuż przy stole,
 Nad kądzielą zgięta siedzi;
 Ni się jedna stracha, biedzi,
 Przędzie i przędzie. powoli.

I od siebie nic wywodzi
 Cienką, cieńszą, wycienioną;
 Wartkiem kółkiem na wrzeciono
 Nitka wchodzi i wychodzi.

Drugą ręką wciąż przeciera,
 Szybę mokrą, zabrudzoną;
 Słucha, czeka i wyziera
 Wprzestrzeń śniegiem zawaloną.

Nic nie widać ciemno, mroźno,
 Nikt w spruchniałe drzwi nie puka,
 Gdzież to bawi się tak późno
 Jej kochana, mała wnuka.

Faworytka, kotka siwa
Drzemie, mruczy tuż na ławie;
Świerszcz do świerszcza się odzywa,
Z jedną śpiewką wciąż w zabawie.

Za okienkiem wiatr dziwy
Z biednym światem dokazuje.
Rwie go, szarpie — i złośliwy
Jęczy, skomli, wyświstuje.

Stara prządka wciąż z przędziwa
Szcypie kosmyk do kosmyka,
Nić się z myślą ciągnie, styka,
Myśl się z nicią z wiatrem zlewa.

I złała się — i na oczy
Sen nasuwa ciemną marą,
Chwieje, chwieje ręką starą,
I wrzecziono do nóg toczy.

Sierota płacze, oziera się w koło,
Wszędzie step dziki, i pusto, i goło.
A tu noc blisko, a do wsi daleko,
Mówi Ojczy nas i Zdrowaś i Wierzę.

Świętych się Pańskich zastania opieką,
Żegna się — wszystkie, co znała pacierze
Mówi — a idzie, idzie bez spoczynku.
Najświętszej Panny obrazek malenki,
Co od matuli wzięła w upominku,
Całuje, ściska, niewypuszcza z ręki —
A idzie, bieży sporo, coraz sporzej.
Oddech się ściska, wstrzymuje, przerywa,
Czoło się potu strumieniem oblewa,
Ból i pragnienie pali coraz srożej;
A ona idzie, wszystko idzie, idzie,
Ni końca strasznej opłakanej biedzie —
I stanie nagle, i załamie dłonie,
Ach mamciu droga, ja biedna, zginiona!
Ni żywej duszy nie widać przez błonie,
Któż wasze dziecko przygarnie do łona!
Ja jeszcze mała - A wy mamó w grobie,
A ja żebraczka — od wioski, do wioski
Żywi mnie, wspiera miłosierdzie Boskie;
Chodzę, a tęsknę, a płaczę po tobie —
I w głos zajęczy — W tem bicz zatrząska,
Z turkotem wali poszustna kolaska.
Czy to pan, czy to król,
Czy dziedzic tych długich pól!

Staruszka, się budzi zrywa,
 Krzyżem goni nocną zmorę;
 Mój ty, Boże! w taką porę
 Zmarła przeszłość znów odżywa.

Gdzież to wnuczka, przez zawieje,
 Nie — jej nie brnąć teraz w śniegu;
 Ona w kumy na noclegu,
 Z nocy się i ze strachów śmieje.

Wrzeczono się z furkiem kręci
 Od kądzieli do kądzieli;
 Cicho, zwolna po pamięci
 Łazi nuda, niewesele.

Jak to więcej wiary było,
 Poczciwości i prostoty,
 Gdzież to ludzie, gdzież to cnoty?
 Wszystko, wszystko się zmieniło.

Jak to kiedyś nie tak było,
 Jak za młodu to prawdziwie,
 Kochało się wiernie, tkliwie;
 Wszystko, wszystko się przeżyło.

Jak to jak to było wtedy . . .
I w krąg myśli się puściły;
Rozerwane, pstre czeredy
Zakręciły się, zmąciły.

Pod szum wiatru nastrojone,
Senne widma wstają nowe;
Młode, bystre i szalone
Odurzają siwą głowę.

Tuż przed oczyma ledwo ust nie sięga,
Śmieje się, mruga, kiwa, bierze w boki;
A jaki wąsik, jaka mina tęga!
Złoto nie chłopiec, to czary, urokil!

A jak przykłaśnie, świeśnie i pobieży
Kółkiem w przysiudy z przyskokiem, odskokiem!
A jak w bandurkę raz, dwa, trzy uderzy,
Brzęknie ostrogą, w krąg powiedzie okiem
Śmiałem, hardem, rozigranem,
Nie woskowemu to sercu dziewczyny,
Przed takim zuchem, ująć takiej godziny.

Dziewko młoda, dziewczko hoża,
Do mnie, na koń, w nasze strony,

Ze mną, ze mną w kraj rodzony,
Na futory Zaporoża.

Tam to rajem sady, pola —
Lachom, biesom od nich wara!
Tam to hula nasza wiara,
Tam kozacka żyje wola.

Jasny sokoł tam w sokoła,
Orzeł w orła nasze braty.
Hej orlico, orzeł woła,
Pokochaj mnie, ja szlę swaty

Niby niezważa, niby to nie do niej,
Bez myśli rzuca oczyma po stronie;
A jak w jej sadku malina, kalina,
Tak się rumieni, tak płonie dziewczyna

Gołąb grucha z gołębicą,
Topol rośnie przy topoli,
Moje orle serce boli,
Za twem sercem krasawico.

Wrogom szablą pod nos błyskać
Umiem, ja gracz do rąbania,

Białe rączki umiem ścisnąć,
Ja mołojec do kochania.

Łbów, buńczuków krymskich kopy,
Sypnę luba ci pod stopy;
Będziesz w złocie jak królowa,
Ukraińska hetmanowa.

Do mnie, na koń, popędzimy
Z całusami, szumką, śpiewką;
Obejmie się, polecimy,
Moja śliczna czarnobrewko.

Co nie domówił piosenką, oczami,
To dopowiada bandurka strunami:

Jeszcze czulej i donośniej,

I pojętniej, i miłośniej —

Bo w niej kozacza dusza utajona,
Cała się w dźwięki rozlewa, rozwiewa,
I w podniebiesie za niemi puszczona,
Do duszy, duszki dziewczyny przelewa —
Ona by rada z nim za sine morze,
I znów nie rada — Żal ją i strach bierze.
„Cóż o mnie ludzie powiedzą mój Boże?
„Nie—nie, ty kłamiesz nie słucham, nie wierzę —
„Puść mnie kozacze, ja z tobą nie mogę;
„Ja mam starego Lacha dobrodzieja —

„On mnie nie odda w tak daleką drogę —
 A serce w śnieżnem łonie się rozbija:
 Lubo mu, słodko przy takim chłopczyku,
 Choćby i zdrajcy, niegodnym zwadniku —
 Nie patrzy, niby gniewa się straszliwie,
 Piers się jej wzburza, upada i wznosi;
 Już, już biedaczka zapłacze rzewliwie,
 Już, już — i uśmiech, znów straszy, znów prosi—

 A wąsik czarny kręcony,
 Zmijką w górę podwiedziony;
 Bliżej i bliżej do ust koralowych,
 Tuż, tuż do ustek miodowych, cukrowych.
 O roskosze, włosy krucze!
 Lica, rączki upojenie —
 Lica, oczy, brwie w pół łucze,
 O niebiosa, o płomienie!
 Łzy, uściski i wzdychania,
 Całowania, całowania!
 Życie, serce, duszo moja,
 Na wiek wieczny moja, moja!
 Puk, puk w okno — kto tam, kto tam;
 Czy. to upiór, czy pan sam?

Wzdrygnęła się prządka siwa
 „Trup, trup mrczy oszaleniec;

„Kozaczeńku, gdzież mój wieniec?
„Cóż ja pocznę nieszczęśliwa!

Krew się w żyłach zatrzymała,
Drgają usta, serce mdleje;
W zmarszczkach rospacz zapleśniała
Z trwogą siedzi i blednieje.

Ręka ze snu się wygrzebie,
I wyciągnie z ręką drugą;
Coś chwytają, łowią długo,
I ściskają tylko siebie.

Noc się z dwóch stron ciemniej, gęściej
Nad kagankiem zwodzi, ściska;
Płomyk coraz głębiej, częściej
Pochyla się, spada, błyska.

Dużem kołem się rozbiega,
Obumiera, znów się zrywa;
Noc go dusi, noc straszliwa,
Sama panią się rozlega.

To ci wieszczu w świata puszczy
Równe życie z zgonem takim;

Zadeptany od złej tłuszczy,
Giniesz świecącym robakiem.

Bodaj dzień ten z tą minutą
Poszły pierwiej do mogiły;
Nim ci bole pierwszą nutą
Pierwszej pieśni przemówiły —

A wiatr cichy, już nie skory
Resztą szumu się odzywa;
Powynosił z śniegu góry,
I na wierzchu odpoczywa.

Spi staruszka, spi nieboga —
Jak na jawie los odgania
Ja od ludzi i od Boga,
Tak i we śnie nie ochrania.

Ćmy za ćmami z jękiem, wrzawą,
Mary serce rozgryzają;
Z serca straszno, dziko, krwawo
Wstają, serce dojadają.

Z tej i z tej strony, szeroko i głośno, Δ Δ
 Idzie zgiełk wrzawa, tłumy z tłumów rosną;
 Cisną się, biegną, klną, wrzeszczą i śmieją;
 I w końcu stają, patrzą i blednieją.
 Przed nimi duży plac jak do igrzyska,
 Lecz nie do walki tu przygotowanie —
 Na placu wzniosłe z desek rusztowanie,
 Wkoło trębacze, zbrojna straż się ściska.
 Trębacze trąbią, szablami straż brzęczy,
 Rospacz z boleścią we dwa głosy jęczy —
 Na rusztowaniu kozak skrępowany —
 Kat za kozakiem z toporem u boku.
 Na dole rzędem tuż wielmożne pany
 Z śmiercią w dekrete i sędziowskim wzroku.
 Cicho — Czytają — przeczytali — cicho —
 Kozak wniósł czoło, trzy razy wstrząsł głową;
 Po drżących ustach coś nakształt uśmiechu,
 I wzgardy jakieś przemknęło mu słowo.
 Lica buchnęły wściekłości płomieniem,
 Znów blade, sine, śmierci zaszyły cieniem —
 „Litości dla nas miłościwe pany,
 „Litości, względów króle, senatory!
 „My nieszczęśliwe — och, zwróćcie tu wzory,
 „Przez Boga niebios, przez Chrystusa rany,
 „Ostatkiem życia, was krwawymi łzami
 „Zaklinamy — ratunku, ratunku błagamy —

Rospacz z boleścią dwa niewieście czoła
Po ziemi tarza, u nóg pańskich woła;
Duszona łkaniem niemieje omdlewa,
I znów się łzami, prośbami rozlewa —
„To mój jedynak, mój syn, moje dziecko!
„Ja jego matka, najnędzniejsza z matek!
„Czyż nie widzicie? dwadzieścia mu latek,
„Tylko dwadzieścia, pany czy słyszycie?
„Synie, mój synu, kochanie matczyne,
„W nieszczęsny na świat przyszedłeś godzinę
— „Milcz stara płakso, twój syn hajdamaka,
„Jaki był żywot, i śmierć jemu taka” —
Sędzia odrzeka pełen świętej zgrozy,
Skrzętny kat chwyta, poprawia powrozy —
„On hajdamaka! — On — Czci swęj obrońca!
„Wy macie prawo — gdzież sumienie, serce?
„Wy wściekle wilki, dzikie ludożerce!
„Bodaj wam przyszło dożyć tego końca,
„Bodaj tak wasze dzieci krępowali,
„Jak hajdamaków wieszali, ścinali!
Rospacz bez zmysłów pada wysilona,
Dziewicza boleść jeszcze ręce łamie;
Rzuca się, jęczy skargami, prośbami,
Nieprzemóżona i niewysłowniona!
Kozak nie klęka, duszy niepoleca,
Bez czucia, zimno poziera do słońca,

Niby nad trumną zapalona świeca,
Była mu światłość jego wszechmogąca —
Spojrzy do dołu — tam naród zebrany,
A tam kochanka z jego matką starą —
Zadrżał — i na nim zabrzękły kajdany,
Zapiekle serce drży miłością, wiarą;
Staje mu w oczach łza jedyna, duża,
Po twarzy spływa, ciągnie się przedłuża —
Nie czas ci bracie płakać — topor błysnął,
Wrzasnęły trąby, strumień krwawy trysnął.

Temże jękiem, wyrzekaniem,
Stara jęczy jak przed laty;
Kiedy lica, ust szkarłaty
Tchęły wdziękiem i kochaniem —

Też łzy płyną jak spływały
Przy śmiertelném pożegnaniu;
Co noc płyną przez wiek cały,
Po kochanka rusztowaniu.

Darmo ze snem się pasuje
Dusza słaba, umęczona;
Jakby chciała uciec z łona,
Zimnym potem ustępuje.

Sen ją więzi, na powieki
Powyciągał martwe dłonie;
Samo piekło go niezgoni,
Bo świt jeszcze mu daleki.

A wiatr idzie dołem, górą,
Przepasany chmur całunem,
Syczy wojskiem zmij, piorunem
Grzmi, przewodzi nad naturą.

Szatanem się wścieka, toczy,
Trzęsie ziemią i szmalami,
Jej gruzami, wnętrzościami
Ciska, miota niebu w oczy.

Oto masz, oto masz twoje twory!
Urąga się, wywołuje,
Pola, skały, całe bory
Depce, łamie, rozsypuje.
O jęcz, lamentuj głośno, jeszcze głośniej!
Na chwilę tobie wichrów nie zagłuszyć.
O skarz się, stękaj przeciąglej, żalostniej!
A przeznaczenia na włos nie poruszyć.
Serce boleści miecz przeszedł niestety!
I raz przy razie, kładł ranę na ranie.

O, jeszcze nie dość ich na twe zękanie,
Jeszcze mąk nowych przejdą go sztylety.
Jutro wystąpi słońce w blasku, sławie,—
Monarszem okiem po górnej krainie,
Spójrzy po cierpień, zbrodni, łez dolinie;
I uśmiechnie się do świata łaskawie.
I świat mu cały olśniony, zwiedziony
Uśmiechem odpowie.

Wesołe — z góry jutro na wsze strony,
Dzieci swe nowym dniem, życiem pozdrowi.
Jakby nieznało, że groźni siepacze,
Na jego woli wszechwładnej skinienie,
Burzliwe wichry z nocą to zniszczenie,
Rozniosły postrach i mordy i płacze.
Ono wśród niebios stanie złotolice,
I hojne — Morze światłości poleje;
Za nim krociami nowe obietnice,
Po karach nowe cacka i nadzieje.
Ach! ileż szczęścia dla wszego stworzenia!
Nad życzenia, dziękczynienia!
A tobie — w czystym polu na noclegu,
Tam twoja wnuczka pod zaspami śniegu.
Jaśne jej włoski na piersi, na czoło,
Jak zawsze w gęste spływają pierścienie.
Błękitne oczki pogodnie, wesoło,
Jak zawsze w niebios patrząją sklepienie.

Rączki złożone jakby do pacierza,
Kiedy wysławia miłosierdzie Boga;
Niby się modli, aniołom powierza —
Zda się pobożna, taka piękna, błoga —
Ale już nieżyje.

STANISŁAW AUGUST M.



PRENUMERATOROWIE.

- Adamowicz Leonard b. Prezes G. G. Grod.
Bajkowski Walerjan Chorąży Owrucki.
Baranowska Pelagja.
Baranowski Zygmunt Deputat.
Berezowski.
Bessarabska Wiktorja.
Bienkiewicz Aloizy.
Błocki Mikołaj.
Bohdanowicz Ignacy.
Bohdaszewski Cyrjak odst. Rotmistrz Huzarów.
Bohel Antoni Aptekarz
Bohomolec Leukadja.
Borowski Dyonizy.
Brzozowska Stefanja.
Buszyński Ignacy Radzca Honor.
Cerenowiczówna Józefa.
Chelchowski Wincenty Radz. Honor.
Chlebowski Michał.

Chmielewski Władysław.
Chodorowiczówna Julja.
Chrapowicki Ignacy.
Chreptowicz Aloizy.
Hrabia Czacki b. Prezes Kom. Eduk. Krzemien.
Czarnowski Eustachy.
Czarnowska Stanisława z Zienkiewiczów.
Czerniachowski Mikołaj.

Dittmar Klaryssa Półkownikowa.
Dejezman St. Kazań. Uniwers.
Dębrowa Antoni.
Dmitriew Ludwika.
Domoracki Aleksander.
Dowgiałło Aleksander.
Dutkiewicz Michał Senat. Regést.

Gajewski.
Gieczewiczowa z księżąt Gieddrojciów Józefa.
Gieczewicz Józef.
Gerłowicz Ignacy.
Glindicz Jan Radz. Honor.
Głowacki Władysław.
Gogolewski Leopold.
Gorska Paulina.
Gorth Edward Prowizor St. Peters. Głów. Apt.

Goselman Teodor.
Gnatowska Michalina.
Gnatowski Henryk.
Gnatowski Juljan.
Gnatowski Piotr.
Gumowski Aleksander Koll. Sekr. P. K. i B.
Gurski Seweryn.

Haupt Jan.
Herman Feliks.
Hermański Władysław.
Hłasko Modesta.
Hłuszanin Jan.
Holecki Oktawjan
Hołubicki Wincenty.
Hołuziński Hippolit.
Hrebnicki Stanisław.
Hryniewski Stefan.

Jacyna Józef.
Jankowska Honorata Chorążyna b. w. P.
Jankowski Edward.
Jankowski Michał Urz. Minis. Skar.
Janowska Henrietta.
Janowska Elżbieta.
Januszewska z Gorskich Kazimira.

Jarmołowicz Tomasz Radz. Honor.
Jeżowski Józef.
Hrabia Iliński Benedykt.
Józefowicz Adam.
Józefowicz Helena.
Jundziłł Stanisław Prezes Pow. Słomim.

Kawecki Stanisław.
Kochanowicz Szymon.
Komarnicki Leon.
Kondracki.
Korsak Julja.
Kosarzewska Kleotylda.
Kotowicz Edward.
Kowalewski Juljan.
Kozubowski Karol.
Krassowski Baltazar.
Królicka Karolina.
Królicki Jan b. Deput. Podol. Cywil. Izb.
Krzeczkowska Antonina.
Krzeczkowska Wiktorja.
Krzyżanowski Michał.
Kuczyński Dominik.
Kulesza Ignacy.
Lachowicz Emilja.

Lewicka Amelja.
Lewicki Stanisław.
Książę Lubomirski Henryk Szambelan Dw. Austr.
Łabuński Józef.
Ławrynowicz Maciej Urz. Minist. Skar.
Łaziński Adam.
Łotuszyński Ignacy.
Łoziński Stanisław Doktor Medycyny.
Łukaszewiczowa Julja.
Machnicki Antoni Prowizor.
Makarewicz Jan Kontr. Iz. Skar. Grodz.
Malinowski Józef.
Markiewicz Antoni.
Markiewicz Izabella.
Markiewicz Magdalena.
Markijanowicz Danjel.
Mianowska Franciszka.
Mianowski Józef Professor Kliniki.
Michalska Marja.
Michałowski Antoni.
Mieleniewski Kwiryn.
Miładowski Jan Brygadjer.
Miniatt Aleksander.
Minkiewicz Radca.
Mossakowski Wincenty.

Możejkowa Weronika.

Nagórna Aleksandra.

Nagórna Franciszka.

Nagórny Adam Stud. Peter. Uniw.

Narwid Norbert.

Newachowicz Aleksander.

Niemieszko Aleksander.

Nowowiejski Mikołaj.

Omieciński Wincenty Marszał. Rowień.

Ordyłowska Olimpia.

Osendowski Aleksander.

Osipowicz Jan Koll. Ass.

Ostrowiński Telesfor Porucz. Saperów.

Oszowski Pius odst. Kapit. wojsk Ross.

Padwiński Józef.

Perott Karolina Chorażyna.

Perott Tadeusz Choraży.

Perott Faustyn Porucz. Kor. Inż. Kom. Wod. i Łąd.

Perott Hilary Porucz. Kor. Inżyn. Kom. Wod. i Łąd.

Perott Klaryssa.

Perott Wiktoria.

Piasecki Marjan.

Piasecki Wincenty.

Pieslak Władysław.

Piotrowska Benedykta z Zaniewskich.
Książd Piotrowski Kajetan S. P.
Plisowski Bazyli.
Poczobutt Józef.
Podbereski Piotr Koll. Ass.
Podhorodecki Michał urzę. Min. Spr. Wewn.
Podwiński Józef.
Połoński Aleksander.
Popławska Józefa.
Popławski Józef.
Popowski Romuald.
Hrabina Potocka Aleksandryna.
Prażmowski Michał.
Praga Józef Doktor Medycyny.
Przesmycki Jan.
Przybylski Walenty Doktor Med.
Przysiecki Antoni.

Radomski Florenty Archit. Bach. Orł. Kad. Korp.
Radziejewski Jan.
Radziwiłłowicz Doktor.
Reutt Stanisław.
Reuttowa Barbara.
Reuttowa Tekla.
Reuttowa Teresa.
Rdułtowska Julja.

Rdułowski Chryzostom.
Rodziewicz Prosper.
Rogiński Konstanty.
Rosselli Franciszek.
Rosselli Karol.
Rotaryusz Franciszek.
Rouba Klemens Radz. Honor.
Rozwadowski Łukasz Gub. Sekr.
Rudowicz Józef.
Rudnicki Edward.
Rudnicki Leopold Sędzia Owrucki.
Rudziński Ignacy.

Sakowicz Tekla.
Salmonowicz Anetta.
Samowicz Piotr.
Samowicz Stanisław.
Książę Sanguszko Roman.
Samiszczka Franciszek.
Sągin Józef.
Serafinowicz Antoni Koll. Ass.
S. Annusia.
S. Felisia.
Sielawa Erazm St. Med. Kaz. Uniw.
Sikorski Cyrylli.
Skokowski Ildefons.

Słomowski Władysław.
Smolak Kazimierz.
Smuglewicz Piotr.
Sobolewski Tomasz Marszałek.
Spasowski Stanisław.
Hrabia Stadnicki Kazimierz Chorąży od Huzarów.
Hrabia Stadnicki Władysław St. Peters. Uniw.
Staniewicz Antoni.
Strojnowska Karolina.
Strojnowski Ludwik.
Suchodolski Teofil Porucz.
Sułkowski Leon St. Kaz Uniw.
Świątkowski Ludwik Kapitan wojsk Ross.
Szauman Józef.
Szczygielski Władysław.
Szeniawska Aleksandra.
Szczęśliło Johanna Julja Paulina.
Szulc Karol Porucz. w. Ross.

Trabszanka Amelja.
Trzeciak Wiktor Porucznik.
Tułowski Leopold Nadw. Sow.
Turcewicz Józef.
Tyszynska Joanna.

Ulnicki Korneliusz.

Wejdlich Izabella.
Wielamowska Klementyna.
Wielohorska Chorażyna.
Witerski Józef Radz. Honor.
Wolf Aloiza.
Wojciechowska Zofja.
Wojciechowski Józef.
Wojciechowski Stanisław.
Wojciechowski Stanisław Radz.
Wysocki Józef U. K. G. Kazań.
Wyszkowski Stanisław Koll. Reg.

Hrabia Zabięto Józef.
Załęska Gertruda Stol. Łucka.
Zbrożek Ksawera.

Żolkowski Juljan.
Żukowski Edward Porucz.
Żybon Marjanna.
Żyromski Ignacy.





<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

N.P.T. 645

1843